

**WILBUR SMITH**

**KATANGA**

## Rozdział I

- Nie podoba mi się ten pomysł- oświadczył Wally Hendry i czknął. Oblizał wargi i ciągnął dalej:- Myślę, że cały ten pomysł śmierdzi na kilometr.

Leżał w niedbalej pozie na jednym z łóżek, ze szklanką postawioną na odkrytej piersi, pocąc się obficie w upale panującym w Kongo.

- Niestety, to nie zmienia faktu, że jednak jedziemy- powiedział Bruce Curry skoncentrowany na rozkładaniu przyborów do golenia.

- Powinieneś był im powiedzieć, żeby to zatrzymali, że my zostajemy tutaj, w Elisabethville! Dlaczego im tego nie powiedziałeś, co?- powiedział Hendry i opróżnił zawartość swojej szklanki.

- Bo płacą mi za to, żebym nie dyskutował- stwierdził Bruce bez większego zainteresowania i spojrzął w upstrzone przez muchy lustro nad umywalką.

Patrzyła na niego ogorzała od słońca twarz z gęstwiną krótko przyciętych, czarnych, miękkich włosów, które, gdyby pozwolić im urosnąć, falowałyby niesforne. Czarne brwi unosiły się w górę nad zielonymi oczami obramowanymi gęstymi rzęsami. Bruce przypatrywał się sobie bez przyjemności. Dawno już nie nawiedzało go to uczucie, dawno już uśmiech czy grymas nie gościł na jego twarzy. Stracił tolerancyjne przywiązanie do swego dużego, lekko zakrzywionego nosa, który nadawał mu wygląd łagodnego pirata.

- Chryste!- burknął Wally Hendry z łóżka.- Rzygać mi się chce na widok tej armii czarnuchów. Nie mam nic przeciwko walce, ale nie uśmiecha mi się włożenie na setki mil w głąb buszu po to tylko, by niańczyć bandę cholernych uchodźców.

- To piekło, nie życie- zgodził się Bruce bezwiednie i rozsmarował krem do golenia na twarzy.

Krem odbijał się bielą od ciemnej opalenizny. Mięśnie ramion i klatki piersiowej falowały przy każdym ruchu pod skórą błyszczącą tak zdrowo, iż wydawało się, że właśnie natarto ją oliwą. Był w dobrej kondycji: od wielu lat nie czuł się tak sprawny.

- Zrób mi jeszcze jednego drinka, Andre.- Wally Hendry wcisnął pustą szklankę w rękę mężczyzny, który siedział na brzegu jego łóżka.

Belg wstał i posłusznie podszedł do stołu.

- Więcej whisky i mniej piwa tym razem- polecił Wally, po czym zwrócił się w kierunku

Bruce'a i znowu czknał.- Oto, co sędzę o tym pomysle!

Gdy Andre nalewał szkockiej do szklanki i dopełniał ją piwem, Wally tak długo szarpał za rewolwer umieszczony w kaburze, aż ten zawisł mu między nogami.

- Kiedy wyruszamy?- zapytał.

- Jutro rano na dworcu towarowym będzie na nas czekać pięć wagonów i lokomotywa. Załadujemy się do nich i startujemy jak najszybciej.

Bruce zaczął się golić, przesuwając maszynkę od skroni do brody i odsłaniając gładką, brązową skórę.

- Po trzech miesiącach walk z bandą brudnych Gurkhów oczekiwałem, że się trochę zabawię, nie miałem nawet żadnej ślicznotki w tym czasie, a tutaj masz, zaledwie w dwa dni po zaprzestaniu ognia znów nas wysyłają!

- C'est la guerre- wymamrotał Bruce z wykrzywioną twarzą.

- Co to znaczy?- zapytał podejrzliwie Wally.

- Taka jest wojna- przetłumaczył Bruce.

- No to gadaj po angielsku, koziołku.

To że Wally Hendry nie potrafił ani powiedzieć, ani zrozumieć adnego słowa po francusku po sześciu miesiącach pobytu w Kongo Belgijskim, dawało pewne pojęcie o nim.

Ponownie zapadła cisza przerywana tylko skrobaniem maszynki Bruce'a i szczękaniem broni czyszczonej przez czwartego mężczyznę.

- Napij się Haig- zaprosił go Wally.

- Nie, dzięki.- Michael Haig podniósł głowę, nie próbując ukryć obrzydzenia, gdy patrzył na Wally'ego.

- Kolejny drań zadzierający nosa! Nie chcesz się ze mną napić co? Nawet facet tej klasy co pan kapitan Curry pije ze mną. Powiedz mi, co takiego cholernie specjalnego jest w tobie?

- Wiesz, że nie piję.- Haig znowu skoncentrował się na broni, manipulując nią z dużą wprawą.

Nie rozstawali się z bronią. Bruce nawet podczas golenia trzymał ją w pobliżu i wystarczyło tylko opuścić rękę, by po nią sięgnąć, a karabiny dwóch mężczyzn wyciągniętych na łózkach leżały obok nich na podłodze.

- Nie pijesz!- zaśmiał się Wally.- To skąd masz tę cerę, koziołku? Jak to się stało, że twój nos wygląda jak dojrzała śliwka?

Haig zacisnął usta, a jego ręce znieruchomiały.

- Skończ z tym, Wally- powiedział spokojnie Bruce.

- Haig nie pije!- zapiał Wally i dźgnął małego Belga kciukiem w zębra.- Pojmujesz to, Andre? On jest cholernym abstynentem! Mój stary też był abstynentem. Czasami przez dwa lub trzy miesiące pod rząd był abstynentem, a potem przychodził wieczorem do domu i walił starą tak, że po drugiej stronie ulicy można było usłyszeć, jak szczeka zębami.- Zakrztusił się śmiechem i musiał chwilę odczekać.- Założę się, że ty też jesteś takim abstynentem, Haig! Jeden kieliszek i budzisz się dziesięć dni później. Tak jest, co? Jeden kieliszek i łup! Staruszka w kawałkach, a dzieciaki chodzą głodne przez parę tygodni.- Haig położył ostrożnie karabin na łóżko i spojrzał na Wally/ego z zaciśniętymi szczękami, ale on nawet tego nie zauważył. Zadowolony z siebie, ciągnął dalej:- Andre, weź tę butelkę whisky i podstaw pod nos staruszkowi abstynentowi. Popatrzymy, jak się ślini i oczy mu wyłażą z orbit jak psie jaja!

Haig wstał. Dwukrotnie starszy od Wally'ego- przekroczył już pięćdziesiątkę- miał włosy przeplatane siwizną. Rysy jego twarzy wciąż pozostawały wyraźne, nie zatarte przez ślady, które życie na nich zostawiło. Ramiona i barki miał potężne niczym bokser.

- Czas, żebyś się nauczył paru dobrych manier, Hendry. Wstawaj!

- Chcesz zatańczyć czy co? Nie tańczę walca, poproś Andre. On zatańczy z tobą, prawda Andre?

Haig stanął na palcach; jego ręce z zaciśniętymi pięściami były lekko uniesione. Bruce Curry położył maszynkę na półce nad umywalką i, mając jeszcze mydło na twarzy, cicho minął stół i zajął pozycję, która umożliwiała mu interwencję. Czekał, obserwując obu mężczyzn.

- Wstawaj, plugawy uliczniku!

- Posłuchaj go, Andre. Ładnie gada, co? Naprawdę ładnie gada.

- Wepchnę ci tę twoją krzywą gębę w to miejsce, gdzie powinieneś mieć mózg.

- A to dobre! Ten chłopak to istny komik.- Wally roześmiał się. W jego uśmiechu wyczuwało się jednak, że coś nie jest u porządku.

Bruce domyślił się, że Wally nie ma zamiaru się bić. Był to mężczyzna o dużych ramionach i atletycznej klatce piersiowej zarośniętej rudawymi włosami. Nad grubą szyją unosiła się płaska twarz z małymi jak u Mongoła oczkami. Mimo swej postury Wally nie chciał się bić. Zaskoczyło to Bruce'a; pamiętał dobrze tę noc przy moście i wiedział, że Hendry nie był tchórzem, a jednak teraz nie zamierzał podjąć wyzwania.

Mike Haig ruszył w kierunku łóżka.

- Zostaw go, Mike- odezwał się po raz pierwszy Andre miękki, niemal dziewczęcym głosem.- On tylko żartował. Nie mów tego serio.

- Hendry, nie myśl, że jestem takim dzentelmenem, że nie uderzę cię tylko dlatego, że leżysz na plecach. Nie rób tego błędu!

- Wielkie mi co- mruknął Wally.- Ten chłopak jest nie tylko komikiem, on jest również cholernym bohaterem!

Haig stanął nad nim, podniósł prawą pięść zaciśniętą jak młot wymierzył ją w twarz Wally'ego.

- Haig!- Bruce nie podniósł głosu, ale jego ton sprawił, że tamten oprzytomniał.- Dość tego- powiedział spokojnie.

- Ale ten mały, plugawy...

- Tak, wiem- powiedział Bruce.- Zostaw go!

Mike Haig zawahał się, stojąc z uniesioną ręką. Nikt się nie poruszył. Nad ich głowami dach z blachy falistej zadźwięczał głośno, rozszerzając się w południowym upale; poza tym słyhać było tylko oddech Haiga, który dyszał ciężko z twarzą czerwoną od nabiegłej krwi.

- Proszę cię, Mike- szepnął Andre.- On tego nie chciał. Powoli gniew Haiga zmieniał się w obrzydzenie. Opuścił rękę, odwrócił się i podniósł broń z drugiego łóżka.

- Nie zniosę tego smrodu ani chwili dłużej. Zaczekam na ciebie w ciężarówce, Bruce.

- Zaraz tam przyjdę- powiedział Bruce.

- Nie kuś losu, Haig- zawołał za nim Wally.- Następnym razem nie ujdzie ci to na sucho!

Mike Haig obrócił się błyskawicznie w drzwiach, ale Bruce zawrócił go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Daj spokój, Mike- powiedział i zamknął za nim drzwi.

- Ma cholerne szczęście, że jest takim wapniakiem- warknął Wally.- Inaczej już dawno załatwiłbym go na dobre!

- Pewnie- odparł Bruce.- To miło, że pozwoliłeś mu odejść.

Krem wysechł już na jego twarzy, więc zmoczył go pędzlem.

- Taa... nie mógłbym uderzyć takiego starego faceta, co- Nie, na pewno nie.- Bruce uśmiechnął się nieznacznie.- Ale nie martw się, wystraszyłeś go jak diabli. Nie będzie już więcej próbował cię zaczepiać.

- No, lepiej żeby tego nie robił- ostrzegł Hendry.- Następnym razem zabiję tego starego gnojka.

„Nie, nie zabijesz- pomyślał Bruce- znów spuścisz z tonu tak, jak właśnie to zrobiłeś i jak zrobiłeś to już dziesiątki razy przedtem. Tylko Mike i ja możemy cię zmusić do uległości. W ten sam sposób, w jaki zwierzę kuli się na trzask bata, mimo że warczy na swego tresera”. Zaczaj się znowu golić.

Powietrze w pokoju było ciężkie, mężczyźni pocili się, a kwaśny zapach ich ciał mieszał się ze smrodem zwietrzałych papierosów i oparami alkoholowymi.

- Dokąd się wybieracie?- przerwał długą ciszę Andre.

- Jedziemy zobaczyć, czy uda się zorganizować jakieś zapasy na wyprawę. Jeśli będziemy mieli szczęście, to zabierzemy je na dworzec towarowy i każemy Ruffy'emu wystawić straż na noc- odparł Bruce, pochylając się nad umywalką i obmywając twarz wodą.

- Jak długo nas nie będzie? Bruce wzruszył ramionami.

- Tydzień, może dziesięć dni.- Usiadł na łóżku i naciągnął jeden z butów, których używał w dżungli.- Jeśli nie będzie kłopotów.

- Kłopotów?- powtórzył Andre.

- Po minięciu węzła Msapa będziemy musieli przedzierać się dwieście mil przez tereny rojące się od Balubasów.

- Ale będziemy przecież w pociągu!- zaprotestował Andre.

- Oni mają tylko łuki i strzały, nie mogą nas tknąć.

- Andre, musimy przejechać przez siedem rzek, w tym przez jedną naprawdę dużą, a mosty można łatwo zniszczyć. Mogą rozmontować szyny.- Bruce zaczął sznurować but.- Nie sądzę, że to będzie piknik szkółki niedzielnej.

- Chryste! Myślę, że cała ta sprawa śmierdzi- powtórzył Wally markotnie.- A tak w ogóle to czemu jedziemy?

- Ponieważ- zaczął cierpliwie Bruce- przez ostatnie trzy miesiące cała ludność Port Reprieve była odcięta od świata. Tam są kobiety i dzieci. Żywność i inne rzeczy niezbędne do przetrwania kończą im się w zastraszającym tempie.- Przerwał, by zapalić papierosa. Wydmuchnął dym i kontynuował:- Wokół nich plemię Balubasów pali, gwałci i zabija, nie zważając na nic. Jak dotąd nie zaatakowali jeszcze miast, ale to tylko kwestia czasu. Krążą też pogłoski, że grupy rebeliantów z wojsk środkowokongijskich i oddziały naszych własnych sił

przekształciły się w bandy dobrze uzbrojonych shufta, które są postrachem północnej części terytorium. Nikt nie wie na pewno, co się tam wyprawia, ale cokolwiek to jest, mogę cię zapewnić, że nie jest to miłe. Jedziemy, sprowadzić tych ludzi w bezpieczne miejsce.

- Dlaczego ludzie z ONZ nie wyślą samolotu?- zapytał Andre.

- Nie ma lotniska.

- A helikoptery?

- Nie mają takiego zasięgu.

- Jeśli chodzi o mnie, to te dranie mogą tam zostać- mruknął Wally.- Jeśli Balubasi mają ochotę na mały stek z człowieka, to dlaczego mamy pozbawiać ich tego posiłku? Każdy ma prawo jeść i dopóki to nie ja jestem ich przysmakiem, to niech im zęby rosną dłuższe i mocniejsze, ot co!- Oparł nogę o plecy Andre i wyprostował ją nagle, zrzucając Belga z łóżka. Andre wylądował na kolanach.- Idź i przyprowadź mi jakąś ślicznotkę!

- Nie ma tu żadnej ślicznotki, Wally. Zrobię ci jeszcze jednego drinka.

Andre podniósł się i chciał wziąć pustą szklanke, ale Wally złapał go za rękę.

- Powiedziałem ślicznotkę, a nie drinka!

- Nie wiem, gdzie ich szukać, Wally.- Głos Andre brzmiał rozpaczliwie.- Nawet nie wiem, jak mam się do nich odzywać!

- Jesteś głupi, koziołku. Mógłbym ci złamać rękę, wiesz?- Wally powoli wykręcał mu nadgarstek.- Wiesz równie dobrze jak ja, że bar na dole jest ich pełen. Wiesz to, prawda?

- Ale co mam powiedzieć?- Twarz Andre była wykrzywiona od bólu.

- Na Boga, ty cholerny, głupi żabojadzie, po prostu zejdz na dół i pomachaj banknotem! Nie musisz w ogóle otwierać gęby.

- To boli, Wally!

- Tak? Żartujesz.- Wally uśmiechnął się do niego, wykręcając rękę jeszcze mocniej. Jego oczy były zamglone od alkoholu; Bruce widział, że bawiło go sprawianie bólu.- Idziesz, koziołku? Zdecyduj się. Albo ja będę miał ślicznotkę, albo ty będziesz miał złamaną rękę.

- Dobra, jeśli już tego chcesz, to pójdę. Zostaw mnie, pójdę- wyjęczał Andre.

- Chcę tego.- Wally puścił go i Andre wyprostował się, masując nadgarstek.- I dopilnuj, żeby była czysta i nie za stara, słyszysz?

- Tak, Wally. Przyprowadzę taką.

Kiedy Andre szedł do drzwi, Bruce zauważył wyraz jego twarzy. Była wykrzywiona

bólem, większym niż od wykręconej ręki. „Co za kreatury- pomyślał.- Ja też jestem jedną z nich. Obserwuję ich z takim zainteresowaniem, z jakim mógłbym oglądać kiepskie przedstawienie”. Andre wyszedł.

- Jeszcze jednego drinka, koziołku?- zaproponował wylewnie Wally.- Sam naleję.

- Dzięki- odparł Bruce i zaczął wkładać drugi but. Wally podał mu szklankę i Bruce spróbował. Napój był mocny: spleśniały smak whisky ostro kontrastował ze słodkim smakiem piwa, mimo to wypił go.

- Ty i ja- powiedział Wally- jesteśmy facetami z głową na karku. Pijemy, bo chcemy, a nie dlatego że musimy. Żyjemy tak jak chcemy, a nie tak, jak według innych powinniśmy. My obaj mamy ze sobą wiele wspólnego. Powinniśmy być dobrymi kumplami. Bo jesteśmy bardzo podobni.

Alkohol już na niego działał, utrudniając wymowę.

- Oczywiście, że jesteśmy kumplami, zaliczam cię do moich najlepszych kumpli- powiedział Bruce uroczyście, bez widocznego sarkazmu.

- Naprawdę?- zapytał Wally zadowolony.- Jak to się stało, co? Chryste, zawsze myślałem, że mnie nie lubisz. Chryste, tego nigdy się nie wie, co? Tego nigdy się nie wie.- Potrząsał głową zdumiony, whisky sprawiła, że stał się nagle sentymentalny.- Więc to prawda? Lubisz mnie. Taaa, moglibyśmy być kumplami. Co ty na to, Bruce? Każdy facet musi mieć kumpla. Każdy facet musi mieć jakieś oparcie.

- Jasne- powiedział Bruce.- Jesteśmy kumplami. Co ty na to?

- To świetnie, koziołku!- zgodził się Wally z głębokim przekonaniem.

„A ja nie czuję nic. Ani obrzydzenia, ani litości, nic. W ten sposób jesteś bezpieczny: nie mogą cię rozczarować, nie mogą napęlić cię wstrętem, nie mogą przyprawić cię o mdłości, nie mogą cię jeszcze raz rozwalić”- pomyślał Bruce. Obaj podnieśli głowy, gdy Andre wprowadzał do pokoju dziewczynę. Miała seksowną, płaską twarz i pomalowane usta- rubin na bursztynie.

- Doskonale, Andre- zawołał Wally, patrząc na ciało dziewczyny. Nosila buty na wysokich obcasach i krótką, różową sukienkę, która rozszerzała się od bioder w dół, nie zakrywając kolan.- Chodź tutaj, cukiereczku.- Wyciągnął rękę i dziewczyna podeszła do niego bez wahania, prezentując szeroki, profesjonalny uśmiech. Wally posadził ją obok siebie na łóżku.

Andre stał ciągle w drzwiach. Bruce wstał, wciągnął panterkę, zapiął pas i umocował kaburę, tak że spoczywała wygodnie na jego udzie.



- Wychodzisz?- Wally poił dziewczynę ze swojej szklanki.

- Tak.- Bruce nałożył na głowę kapelusz z odgiętym rondem. Czerwono- zielono- biała katangijska naszywka stwarzała nastrój sztucznej wesołości.

- Bruce, zostań chwilę.

- Mike czeka na mnie.- Bruce podniósł karabin.

- Olej go. Zostań chwilę, zabawimy się!

- Nie, dzięki.- Bruce podszedł do drzwi.

- Hej, Bruce! Spójrz na to.- Wally przewrócił dziewczynę na łóżko i przytrzymał ją, kładąc jej rękę na piersi, podczas gdy ona udawała, że chce się wyrwać, a drugą ręką zdierał jej spódnicę.- Przyjrzyj się dobrze temu i powiedz, że ciągle chcesz iść!

Dziewczyna nie miała niczego pod sukienką. Jej podbrzusze było wygolone tak, że można było zobaczyć jej małe, pulchne wargi sromowe.

- Dalej Bruce- zaśmiał się Wally.- Ty pierwszy. Nie powiesz, że nie jestem twoim kumplem!

Bruce rzucił okiem na dziewczynę, jej rozchylone nogi i wijące się ciało, gdy chichocząc próbowała wyrwać się Wally'emu.

- Mike i ja będziemy z powrotem przed godziną policyjną. Życzę sobie, żeby tej kobiety nie było tutaj do tej pory- powiedział Bruce.

„Żadnego pożądanego- pomyślał- to wszystko już skończone”. Otworzył drzwi.

- Curry!- krzyknął Wally.- Ty też jesteś cholernym świrusem! Chryste, myślałem, że jesteś mężczyzną. Jezu Chryste! Jesteś tak samo do niczego jak inni. Andre to laleczka, Haig niepewny. Co z tobą, koziołku? Tu chodzi o kobiety, co? Ty też jesteś cholernym pomyślnem!

Bruce zamknął drzwi i stał chwilę na korytarzu. „To wszystko już za mną. Ona już nie może mnie zranić”- pomyślał z determinacją, przypominając sobie kobietę- nie tę z pokoju, który właśnie opuścił, ale tę, która była jego żoną.- Suka- wyszeptał i zaraz dodał szybko, niemal z poczuciem winy:- Nie nienawidzę jej. Nie ma już nienawiści i nie ma żądy.

## Rozdział 2

Hol Grand Hotelu Leopold II był zatłoczony. Żandarmi ostentacyjnie obnosili swoją broń, rozmawiali głośno i opierali się niedbale o ściany i bar. Towarzyszyły im kobiety o różnym kolorze skóry, od czarnego do pastelowego brązu; niektóre były już pijane. Kilku oszołomionych uchodźców belgijskich wciąż jeszcze miało niedowierzający wyraz twarzy. Jakaś Belgijka płakała, kołysząc dziecko na kolanach. Inni biali, chociaż ubrani w cywilne ubrania, lecz z oczami zdradzającymi niepokój ludzi żądnych przygód, rozmawiali cicho z Afrykanami w garniturach biznesmenów. Grupa dziennikarzy w wilgotnych koszulach siedziała przy jednym ze stołów, czekając i obserwując wszystko z cierpliwością sępów. Wszyscy pocili się w upale.

Dwóch południowoafrykańskich pilotów czarterowych powitało Bruce'a z drugiego końca pomieszczenia.

- Cześć, Bruce! Co byś powiedział na małego?

- Cześć Dave, cześć Carl.- Bruce machnął do nich ręką.- Teraz bardzo się śpieszę, może wieczorem?

- Wylatujemy dziś po południu.- Carl Engelbrecht potrząsnął głową.- Wracamy w przyszłym tygodniu.

- To napijemy się, kiedy wrócicie- powiedział Bruce i wyszedł frontowymi drzwiami na Avenue du Kasai.

Gdy zatrzymał się na chodniku, oślepiający blask słońca odbijającego się od białych ścian budynków uderzył go prosto w twarz.

Nagły upał spowodował, że Bruce skrzywił się i poczuł, jak świeży pot spływa mu po ciele. Wyjął z górnej kieszeni okulary przeciwsłoneczne i nałożył je, przechodząc przez ulicę i kierując się ku trzytonowej ciężarówce marki Chewolet, w której czekał już na niego Mike Haig.

- Ja poprowadzę, Mike.

- Okay.- Mike przesunął się z siedzenia kierowcy i Bruce wszedł do kabiny. Ruszył na północ, wzdłuż Avenue du Kasai.

- Przepraszam za tamtą scenę, Bruce.

- Nic się nie stało.

- Nie powinienem był tak stracić panowania nad sobą.

Bruce nie odpowiedział; przypatrywał się opuszczonym budynkom po obu stronach ulicy.

Większość z nich została splądrowana, wszystkie zaś były podziurawione odłamkami szrapneli. Tu i ówdzie przy chodniku stały wypalone karoserie samochodów; wyglądały jak pancerze dawno nieżyjących chrząszczy.

- Nie powinienem mu pozwolić się tak łatwo zranić, a jednak prawda boli jak diabli.

Bruce milczał- nacisnął tylko mocniej pedał gazu i ciężarówka nabrała prędkości. „Nie chcę o niczym słyszeć- pomyślał- nie jestem twoim spowiednikiem. Po prostu nie chcę o niczym wiedzieć”. Skręcił w Avenue UEtoile, jadąc w kierunku ogrodu zoologicznego.

- Miał rację. Przejrzał mnie na wylot- uparcie ciągnął Mike.

- Wszyscy mamy jakieś problemy, inaczej nie byłoby nas tutaj

- powiedział Bruce. Potem, chcąc zmienić nastrój Mike'a, dodał:

- My, kilku szczęśliwców. Nasza paczka, jak bracia.

Mike uśmiechnął się i jego twarz stała się nagle chłopięca.

- Przynajmniej jako najemnicy możemy się poszczycić drugim co do starszeństwa zawodem świata.

- Tyle że ten najstarszy zawód jest lepiej płatny i daje więcej frajdy- odparł Bruce, skręcając na podjazd dwukondygnacyjnej rezydencji. Zaparkował pod drzwiami frontowymi i wyłączył silnik.

Jeszcze nie tak dawno w tym domu mieszkał główny księgowy Union Miniere Corporation. Teraz w budynku mieściły się kwatery sekcji „D” Specjalnych Sił Uderzeniowych, którymi dowodził kapitan Bruce Curry.

Na niskim murku otaczającym werandę siedziało sześciu czarnych żandarmów: podnieśli się na widok kapitana, salutując i witając go okrzykiem, który wszedł do ich tradycji od czasu interwencji ONZ.

- ONZ gównno!

Bruce uśmiechnął się do nich, wyrażając w ten sposób rodzaj koleżeństwa, jakie wytworzyło się między nimi w ciągu ostatnich miesięcy.

- śmietanka armii Katangi!- odwzajemnił się. Poczęstował ich papierosami i przez kilka minut rozmawiał z nimi o błahych sprawach, po czym zapytał:- Gdzie jest sierżant sztabowy? Jeden z żandarmów wskazał kciukiem na szklane drzwi prowadzące do holu. Bruce i Mike weszli do środka. Sprzęt porozrzucany był niedbale na drogich meblach, kamienny kominek wypełniony był w połowie pustymi butelkami, na perskim dywanie chrapał jakiś żandarm. Jeden z olejnych

obrazów, wiszący krzywo na ścianie, nosił ślady bagnetu, stolik do kawy zrobiony z drewna imbuia miał złamaną nogę, a cały hol cuchnął mężczyznami i tanim tytoniem.

- Cześć, Ruffy- powiedział Bruce.

- Nareszcie, szefie.- Sierżant sztabowy Ruffararo uśmiechnął się ucieszony, siedząc w fotelu, z którego jego cielsko wprost się wylewało.- Tym cholernym Arabom skończył się materiał do pakowania.- Wskazał na żandarmów, którzy tłoczyli się przed nim przy stole.

Ruffy używał słowa „Arab”, kiedy chciał wyrazić krytykę lub pogardę. Nie miało ono żadnego związku z narodowością osoby, której dotyczyło. Doskonały akcent Ruffy'ego zawsze szokował Bruce'a. Nikt nie spodziewałby się usłyszeć tak czystej amerykańskiej angielszczyzny wydobywającej się z tego ogromnego, czarnego ciała. Trzy lata wcześniej Ruffy powrócił ze stypendium w Stanach z płynną znajomością języka, dyplomem z rolnictwa, z ogromnym upodobaniem do butelkowego piwa (najlepiej Schlitz, chociaż nie gardził też innym), a także z solidną porcją wirusów rzeżączki, pożegnalnym podarunkiem od wysokiej dziewczyny pochodzenia azjatyckiego, studentki drugiego roku Uniwersytetu Kalifornijskiego. Wspomnienie to powracało szczególnie boleśnie kiedy Ruffararo był podchmielony. Tak boleśnie, że mógł je złagodzić tylko rzucając najbliższym obywatelem USA, który znalazł się w jego zasięgu. Na szczęście rzadko się zdarzało, aby jakiś Amerykanin i wymagane dwadzieścia litrów piwa znajdowały się w tej samej okolicy równocześnie, tak więc nieczęsto Ruffy mógł dać wyraz swej antypatii rasowej. Rzut taki w jego wykonaniu był niezapomnianym przeżyciem zarówno dla ofiary, jak i dla widzów. Bruce przypomniał sobie pewien wieczór w hotelu Lido, gdzie był świadkiem jednej z najbardziej spektakularnych serii rzutów Ruffy'ego. Ofiarami byli trzej dziennikarze, reprezentujący poważne i renomowane czasopisma. Ich rozmowa stawała się coraz głośniejsza. Amerykański akcent ma taką nośność jak dobrze uderzona piłeczka golfowa- Ruffy rozpoznał go już z tarasu. Umilkł i w milczeniu wypił ostatnie parę piw potrzebnych do przechylenia szali. Wytarł pianę z górnej wargi i wstał z oczyma utkwionymi w grupę Amerykanów.

- Ruffy, nie rób tego!- Równie dobrze Bruce mógłby wcale się nie odzywać.

Ruffy ruszył z tarasu. Dziennikarze widzieli, jak nadchodzi i zapadli w nerwową ciszę. Pierwszy rzut miał charakter rozgrzewki. Dziennikarz nie miał aerodynamicznej budowy i jego brzuch stawiał zbyt duży opór powietrza, dlatego rzut nie wyniósł więcej niż siedem metrów.

- Ruffy, zostaw ich!- krzyknął Bruce.

Przy następnej próbie Murzyn już się rozgrzewał, ale rzut był za wysoki. Amerykanin poleciał na odległość dziesięciu metrów, siejąc spustoszenie na tarasie i lądując na trawniku poniżej, ciągle ściskając w ręce pustą szklankę.

- Uciekaj, głupcze!- ostrzegł Bruce trzecią ofiarę. Mężczyzna jednak stał jak sparaliżowany.

To był najlepszy rzut Ruffy'ego: zastosował dobry uchwyt- za szyję i spodnie na siedzeniu- i włożył w tę próbę całą siłę. Musiał wiedzieć, że wykonał doskonały rzut, ponieważ jego okrzyk „Rzeźączka!” w momencie, gdy wypuszczał swą trzecią ofiarę, brzmiał triumfalnie.

Później, kiedy Bruce uspokoił Amerykanów, a oni doszli do siebie na tyle, by docenić fakt, że mieli przywilej wzięcia udziału w udanej próbie bicia rekordu w rzutach, wszyscy odmierzyli krokami odległości. Dziennikarze poczuli sympatię do Ruffy'ego i przez resztę wieczoru stawiali mu piwo i chwalili się rzutami każdemu, kto właśnie pojawił się w barze. Jeden z nich, ten, którym Ruffy rzucił na końcu i który poleciał najdalej, chciał napisać o nim reportaż. Pod koniec wieczoru rozprawiał z zapalem o wznieceniu międzynarodowego zainteresowania rzutem człowiekiem, po to aby włączyć tę konkurencję do Igrzysk Olimpijskich. Ruffy przyjmował zarówno ich pochwały, jak i piwo ze skromną wdzięcznością. A kiedy trzeci Amerykanin zaproponował mu, by jeszcze raz nim rzucił, ten odrzucił ofertę, twierdząc, że nigdy nie rzuca tym samym człowiekiem dwa razy. W sumie był to pamiętny wieczór.

Poza tymi rzadkimi wypadkami Ruffy miał zwykle mocniejszą głowę i bardziej pogodną naturę niż jakikolwiek człowiek, którego Bruce znał, i dlatego też nie mógł nic poradzić na to, że go lubi, i nawet teraz uśmiechał się, próbując odrzucić zaproszenie Ruffy'ego do gry w karty.

- Mamy teraz robotę, Ruffy. Kiedy indziej.

- Niech pan usiądzie, szefie. Zagramy kilka razy, a potem pogadamy o robocie- powiedział, tasując w rękach trzy karty.

- Niech pan usiądzie, szefie- powtórzył i Bruce, wykrzywając twarz w grymasie zrezygnowania, zajął miejsce naprzeciw sierzanta.

- Ile zamierza pan postawić?- Pochylił się ku niemu Ruffy.

- Tysiąc.- Bruce położył tysiącfrankowy banknot na stole.

- Kiedy zniknie, idziemy.

- Nie ma pośpiechu- uspokoił go Ruffy.- Mamy cały dzień.- Położył trzy karty koszulkami do góry.- Stary, chrześcijański monarcha jest tam gdzieś wśród nich. Wszystko, co

musi pan zrobić, to znaleźć go i będzie to najłatwiej zdobyty tysiąc w pańskim życiu.

- W środku- wyszeptał żandarm stojący obok Bruce'a.

- Jest w środku.

- Proszę nie zwracać uwagi na tego stukniętego Araba

- poradził Ruffy.- Stracił już pięć tysięcy dziś rano.

Bruce odkrył kartę leżącą po prawej stronie.

- Pech!- wrzasnął Ruffy.- Odkrył pan królową kier!

Chwycił banknot i wepchnął go do kieszeni na piersi.- Za każdym razem zwodzi człowieka ta słodko wyglądająca suka.

- Szczerząc zęby, odkrył środkową kartę, by pokazać waleta pik o chytrych oczkach i kręconych włosach.- Używała sobie na boku z waletem pod samym nosem starego króla.- Odwrócił kartę z królem.- Niech pan się przyjrzy temu staremu, głupawemu facetowi: nawet nie patrzy w tym kierunku, co trzeba!

Bruce spojrział na kartę i poczuł mdłości. Karty znów przypomniały mu o całej historii. Nawet imię tego faceta – Jack- zgadzało się, tyle że ten z talii kart powinien mieć jeszcze brodę i czerwonego jaguara, a królowa kier nigdy nie miała takich niewinnych oczu... Otrząsnął się i powiedział ostro:

- Dość tego, Ruffy. Ty i dziesięciu ludzi jedziecie ze mną.

- Dokąd?

- Do Działu Zaopatrzenia. Musimy zrobić specjalne zapasy. Ruffy kiwnął głową i wkładając karty do górnej kieszeni, wybrał żandarmów, którzy mieli im towarzyszyć. Potem zapytał Bruce'a:

- Możemy potrzebować czegoś do posmarowania. Jak pan myśli, szefie?

Bruce zawahał się. Z tuzina skrzynek whisky zagrabionych w sierpniu zostały im już tylko dwie. Siła nabywcza butelki autentycznej szkockiej była ogromna, toteż Bruce korzystał z niej jedynie w wyjątkowych sytuacjach. Teraz jednak zdawał sobie sprawę, że szansę na zrobienie zapasów, których potrzebował, były nikłe, chyba że weźmie ze sobą sporą łapówkę dla kwatermistrza.

- Okay, Ruffy. Przynies skrzynkę.

Sierzant podniósł się z fotela i nałożył stalowy hełm na głowę. Paski podtrzymujące brodę zwisały luźno po bokach okrągłej, czarnej twarzy.

- Całą skrzynkę?- zapytał i uśmiechnął się do Bruce'a.

- Chce pan kupić pancernik? wrócił niemal natychmiast, niosąc skrzynkę Grant Standfast pod pachą jednej ręki i kilka butelek piwa Sinba w palcach drugiej.

- Może nam się zachcieć pić- wyjaśnił.

Żandarmi wskoczyli na tył ciężarówki, szczękając bronią i wykrzykując żartobliwe przekleństwa pod adresem kolegów siedzących na werandzie. Kiedy Bruce, Mike i Ruffy wcisnęli się do kabiny, Ruffy umieścił whisky na podłodze i postawił na niej swoje olbrzymie stopy.

- O co w tym wszystkim chodzi, szefie?- zapytał, podczas gdy Bruce zjeżdżał z podjazdu w Avenue UEtoile. Kiedy Bruce wyjaśnił mu, Ruffy mruknął coś wymijająco i otworzył butelkę piwa wielkimi, białymi zębami. Gaz zasyczał cicho i trochę piany pociekło po butelce, kapiąc mu na kolano.- Nie spodoba się to moim chłopcom- stwierdził, podając butelkę Mike'owi. Mike potrząsnął głową i Murzyn zaoferował piwo Bruce'owi. Potem otworzył butelkę również dla siebie.- Będą przeklinać to jak diabli- powiedział i potrząsnął głową.- Kłopoty dopiero się zaczną, kiedy dotrzemy do Port Reprieve i zabierzemy diamenty.

Bruce spojrzał na niego kątem oka, zaniepokojony.

- Jakie diamenty?- zapytał.

- Te wydobyte przez pogłębiarki- odparł Ruffy.- Chyba nie myśli pan, że posyłają nas tam tylko po to, by sprowadzić tych paru gości! Oni na pewno niepokoją się o diamenty.

Nagle Bruce zrozumiał wiele niejasności. Przypomniała mu się na wpół zapomniana rozmowa, którą odbył na początku roku z inżynierem z Union Miniere. Rozmawiali o trzech pogłębiarkach wydobywających diamenty ze żwiru zalegającego dno bagien Lufira. Stateczki pochodziły z Port Reprieve i na pewno wróciły tam, gdy niebezpieczeństwo zawisło nad okolicą. Trzy- lub czteromiesięczny urobek diamentów musi być ciągle na tych łodziach. Jakies pół miliona funtów w nie szlifowanych kamieniach... To dlatego katangijski rząd przyznał tej ekspedycji absolutny priorytet! Dlatego postanowiono użyć tak dobrze uzbrojonego i wyszkolonego wojska, nie zwracając się w ogóle do władz ONZ w sprawie przeprowadzenia akcji ratunkowej.

Bruce uśmiechnął się sardonicznie, przypominając sobie humanitarne argumenty, którymi w rozmowie z nim szermował minister spraw wewnętrznych. „To nasz obowiązek, kapitanie Curry- mówił.- Nie możemy zostawić tych ludzi na pastwę plemion. Jesteśmy

cywilizowanymi ludźmi i jest to nasz obowiązek!”

Byli również inni, odcięci w odległych stacjach misyjnych czy agendach rządowych w całym południowym Kasai i południowej Katandze. Od miesięcy nie było od nich znaku życia, ale ich los był wyraźnie drugorzędny w stosunku do losu mieszkańców Port Reprieve.

Bruce znów podniósł butelkę do ust, prowadząc jedną ręką i mrużąc oczy, gdy pił. „W porządku- myślał- dostarczymy diamenty, a potem oni załadują je na wyczarterowany samolot, by później złożyć kolejny depozyt na tajnym koncie w Zurychu... Po co się martwić? Płacą mi za to”.

- Myślę, że nie powinniśmy chłopcom nic mówić o diamentach- powiedział Ruffy.- Chyba nie byłby to dobry pomysł.

Kiedy przejechali przez tory kolejowe i znaleźli się w dzielnicy przemysłowej, Bruce zwolnił. Patrzył uważnie na mijane budynki, aż znalazł ten, którego szukał. Zjechał z jezdni i zatrzymał się przed bramą. Na odgłos klaksonu wyszedł żandarm, by sprawdzić przepustkę. Stwierdziwszy, że wszystko w porządku, krzyknął do kogoś za bramą i otworzył ją. Bruce wjechał ciężarówką na dziedziniec i wyłączył silnik.

Parkowało tam już sześć innych ciężarówek, wszystkie oznaczone godłem Katangi i otoczone przez żandarmów ubranych w mokre od potu mundury. Jakiś biały porucznik wychylił się z kabiny jednego z wozów i krzyknął:

- Ciao, Bruce!

- Co u ciebie, Sergio?- zapytał Bruce.

- Szaleństwo, szaleństwo!- odpowiedział Włoch.

Bruce uśmiechnął się. Dla Sergia wszystko było szaleństwem. Curry pamiętał, jak w lipcu, w czasie walk przy moście, położył go na masce Landrovera i bagnetem wyjął odłamek szrapnela z jego włoskich pośladków- to również było szaleństwo.

- Trzymaj się!- krzyknął do Włocha i poprowadził Mike'a i Ruffy'ego przez dziedziniec do magazynu.

Na dużych dwuskrzydłowych drzwiach widniała tabliczka z napisem: Depot Ordinance-Armee du Katanga, a za nimi, przy biurku w oszklonej kabinie, siedział major w okrągłych okularach w drucianej oprawie, osadzonych na twarzy przypominającej czarną, jowialną ropuchę. Podniósł głowę i spojrzał na Bruce'a.

- Non- powiedział stanowczo.- Non, non!



Bruce wyciągnął zapotrzebowanie i położył je przed majorem, który odsunął je na bok z pogardą.

- Nie mamy tych rzeczy. Zabrakło. Nie mogę wam nic wydać. Nie mogę! Są ważniejsze sprawy, okoliczności, które trzeba rozważyć. Przykro mi.- Chwycił plik papierów i całkowicie zagłębił się w nich, ignorując Bruce'a.

- Sam monsieur le president podpisał to zapotrzebowanie- stwierdził łagodnie Bruce.

Major odłożył papier, wstał i podszedł blisko do Bruce'a; czubek jego głowy sięgał Bruce'owi do brody.

- Nawet gdyby je podpisał sam Wszechmogący, nie dałbym rady! Przykro mi. Naprawdę.

Bruce podniósł wzrok i przez sekundę pozwolił swoim oczom oglądać góry zapasów umieszczonych we wnętrzu magazynu. Z miejsca, w którym stał, zdołał odnaleźć co najmniej dwadzieścia potrzebnych mu artykułów. Major zauważył jego spojrzenie i tak się zdenerwował, że z jego francuskiej paplaniny Bruce zrozumiał tylko powtarzane co jakiś czas słowo „non”. Dał znak wzrokiem Ruffy'emu, który postąpił krok naprzód i uspokajająco otoczył majora ramieniem. Potem poprowadził go, ciągle protestującego, przez dziedziniec do ciężarówki. Otworzył drzwi kabiny i major zobaczył skrzynkę whisky. Ruffy podważył wieko skrzynki bagnetem i pozwolił mu sprawdzić lak na zakrętkach. Kilka minut później major i Ruffy wrócili do biura, dźwigając skrzynkę.

- Kapitanie- powiedział major, biorąc zapotrzebowanie z biurka.- Widzę, że się pomyliłem. Rzeczywiście monsieur le president podpisał ten dokument. Moim obowiązkiem jest udzielić panu absolutnego pierwszeństwa.- Bruce mruknął coś w podziękowaniu, a major uszczęśliwiony dodał:- Dam panu ludzi do pomocy.

- Jest pan naprawdę zbyt uprzejmy. To by naruszyło pański tok zajęć. Mam swoich ludzi.

- Cudownie- rozpromienił się major i wskazując pulchną dłońią na magazyn, powiedział:- Bierzcie, co tylko chcecie!

### Rozdział 3

Bruce jeszcze raz spojrzął na zegarek. Brakowało jednak dwudziestu minut do szóstej, kiedy kończyła się godzina policyjna. Do tego czasu musiał się denerwować, patrząc jak Wally Hendry kończy śniadanie. Nie był to szczególnie ciekawy widok, jako że Hendry, dokładnie wymiatając jedzenie z talerza, jadł bardzo niechlujnie.

- Czy nie możesz trzymać gęby zamkniętej?- warknął Bruce.

- A czy ja się ciebie czepiam?- Hendry podniósł głowę znad talerza.

Jego szczęki pokrywała rudawa szczecina, oczy miał przekrwione i opuchnięte po nocnej orgii. Bruce odwrócił wzrok i znów spojrzął na zegarek.

Samobójcza pokusa, by zignorować godzinę policyjną i wyruszyć na stację natychmiast, była bardzo silna. Potrzebował sporego wysiłku, aby się jej oprzeć. Gdyby tego nie uczynił, w najlepszym razie skończyłoby się na aresztowaniu przez jakiś patrol i dwunastogodzinnym opóźnieniu- tyle czasu potrzebowałby, aby wyjaśnić całą sprawę. W najgorszym razie taka decyzja mogłaby doprowadzić do strzelaniny.

Nalał sobie jeszcze jeden kubek kawy i pił powoli. „Niecierpliwość zawsze była moim słabym punktem- pomyślał.- Prawie każdy błąd, który popełniłem, miał swoje źródło w niecierpliwości. Ale chyba się trochę poprawiłem przez lata; mając dwadzieścia lat chciałem przeżyć całe życie w ciągu tygodnia. Teraz zadowolam się całym rokiem”. Skończył kawę i ponownie zerknął na zegarek.

Za pięć szósta- mógłby zaryzykować. Minie chyba z pięć minut, zanim dotrze do ciężarówki.

- Panowie, jeśli jesteście gotowi...- rzekł i odepchnął krzesło, nałożył swój plecak na ramię i wyszedł z pokoju.

Ruffy czekał na nich, siedząc na stercie zapasów w szopie z blachy falistej. Jego ludzie siedzieli w kucki wokół małych ognisk rozpalonych na betonowej podłodze. Gotowali śniadanie.

- Gdzie pociąg?

- Dobre pytanie, szefie- odparł Ruffy. Bruce jęknął i powiedział:

- Powinien tu być od dawna. Ruffy wzruszył ramionami:

- „Powinien być” diabelnie różni się od „jest”.

- Do jasnej cholery! Musimy się jeszcze załadować. Będziemy mieli szczęście, jeśli

odjedziemy przed południem- warknął Bruce.- Idę do zawiadowcy.

- Lepiej niech pan weźmie ze sobą prezent, szefie. Została nam jeszcze skrzynka.

- Cholera, jeszcze by tego brakowało! Nic z tego- powiedział Bruce.- Mike, chodź ze mną.Przeszli przez tory na główny peron. Grupa urzędników kolejowych gawędziła przy końcu peronu. Bruce ruszył na nich z furją. Dwie godziny później stał na stopniu lokomotywy obok maszynisty i powoli zbliżał się do dworca towarowego.

Maszynista był małym, pulchnym człowieczkiem o skórze zbyt ciemnej, by mogła uchodzić za zwykłą opaleniznę. Miał sztuczne zęby okolone jaskrawymi czerwonymi dziąsłami z plastiku.

- Monsieur, czy pragnie pan udać się do Port Reprieve?- zapytał niespokojnie.

- Tak.

- Trudno powiedzieć, jaki jest stan torów na tym odcinku. Nie były używane przez cztery miesiące.

- Wiem. Będziesz musiał jechać ostrożnie.

- W pobliżu starego lotniska jest zaporą obsadzona przez żołnierzy z ONZ- dodał maszynista.

- Mamy przepustkę.- Bruce uśmiechnął się, by go uspokoić. Teraz, kiedy miał już środek transportu, humor mu się poprawił.- Zatrzymaj się obok pierwszej szopy- polecił.

Pociąg zatrzymał się ze zgrzytem hamulców przy betonowym peronie. Bruce zeskoczył ze stopnia i krzyknął:

- W porządku, Ruffy. Ładujcie się!

Na przedzie składu Bruce umieścił trzy otwarte wagony platformy łatwe do obrony. Uzbroił je w ciężkie karabiny maszynowe Bren, które mogły skutecznie i daleko ostrzeliwać teren z obu stron. Za tymi wagonami znalazły się dwa pasażerskie służące za magazyn i pomieszczenia dla oficerów. W drodze powrotnej zamierzał ulokować w nich także uchodźców. Na końcu składu znajdowała się lokomotywa- tam była najmniej narażona na ogień karabinów, a pasażerowie nie musieli wdychać dymu i sadzy.

Zapasy załadowano do czterech przedziałów, których drzwi i okna dokładnie zamknięto.

Potem Bruce zajął się rozmieszczaniem punktów obronnych. Na dachu pierwszego wagonu pasażerskiego umieścił Breną otoczonego niską osłoną z worków wypełnionych piaskiem. To było jego stanowisko dowodzenia. Stąd obejmował wzrokiem wagony platformy,

parowóz oraz spory kawałek terenu. Pozostałe Breny ulokował w pierwszym wagonie, w którym dowodził Hendry. Od majora z działu zaopatrzenia otrzymał trzy walkie-talkie. Jeden zostawił sobie, drugi dał Hendry'emu, a trzeci maszyniście. W ten sposób powstał system łączności, dzięki któremu będzie wiedział, co się dzieje w pociągu. Była już prawie dwunasta, kiedy zakończyli te przygotowania. Bruce zwrócił się do Ruffy'ego, który siedział obok niego na workach z piaskiem:

- Wszystko gotowe?

- Gotowe, szefie.

- Ilu brakuje?- Bruce wiedział z doświadczenia, że nigdy nie należało oczekiwać, iż cała grupa pojawi się w tym miejscu o tej samej godzinie.

- Ośmiu, szefie.

- O trzech więcej niż wczoraj. Mamy więc pięćdziesięciu dwóch ludzi. Myślisz, że tamci przysnęli do buszu?- zapytał.

Pięciu jego żołnierzy zdezerterowało z bronią w dniu zawieszenia ognia. Z całą pewnością uciekli do buszu, by przyłączyć się do jednej z band shufta, które siały spustoszenie na drogach, urządzając zasadzki na transporty bez ochrony. Jeśli podróżni mieli szczęście, udawało im się ująć z życiem. Bandyci gwałcili przy każdej nadarzającej się okazji i ogólnie dobrze się bawili.

- Nie, szefie, nie sądzę, ta trójka to równe chłopaki. Pewnie siedzą w mieście i zabawiają się. Po prostu nie zdają sobie sprawy, która godzina.- Ruffy potrząsnął głową.- W ciągu pół godziny znajdziemy ich, wystarczy tylko zajrzeć do burdeli. Chce pan, żebyśmy poszli?

- Nie ma teraz czasu na włóczenie się po mieście, jeśli chcemy dojechać do węzła Msapa przed nocą. Poszukamy ich, kiedy wrócimy- odparł Bruce, zastanawiając się, czy od czasów wojny burskiej istniała jakakolwiek inna armia równie lekko traktująca dezercję. Odwrócił się do radia i nacisnął przycisk nadawania.- Maszynista!

- Oui, monsieur?

- Ruszaj. Jedź powoli do zapory ONZ. Kiedy tam dotrzesz, nie podjeżdżaj za blisko.

- Oui, monsieur.

Wytoczyli się z turkotem z dworca, zostawiając za sobą dzielnicę przemysłową po prawej stronie i stanowiska katangijskiej straży na skrzyżowaniu z Avenue du Cimetiere. Wokół nich rozciągały się przedmieścia; w oddali majaczyła zapora ONZ. Na jej widok Bruce odczuł

niepokój. Przepustka, którą miał w kieszeni na piersi munduru, była podpisana przez generała Rhee Singha. W tej wojnie zdarzało się już, że kapitan Sudańczyk nie przekazał sierżantowi Irlandczykowi rozkazów generała Hindusa. To co ich oczekiwało, mogło okazać się interesujące.

- Miejmy nadzieję, że wiedzą o nas- powiedział Haig. Z pozorną nonszalancją zapalił papierosa, chociaż w jego oczach widać było niepokój, gdy obserwował ciągnące się po obu stronach toru pagórki usypane ze świeżej ziemi, oznaczające stanowiska ogniowe.

- Ci chłopcy mają bazooki, a na dodatek jeszcze są irlandzkimi Arabami- mruknął Ruffy.- Myślę, że to najbardziej stuknięty rodzaj Arabów. Co pan powie, szefie, na bazookę z pełnym ładunkiem?

- Nie dzięki, Ruffy- odparł Bruce; pochylił się i uruchomił radio.

- Hendry!

W pierwszym wagonie Wally Hendry podniósł swoją krótkofalówkę.

- Curry?

- Powiedz strzelcom, żeby się trzymali z dala od Brenów. Reszta twoich ludzi niech odłoży broń.

- W porządku.

Bruce obserwował, jak Wally przekazuje jego rozkaz, odsuwając strzelców i przepychając się między żandarmami, którzy zajmowali czoło pociągu. Żandarmi niechętnie odkładali broń, stojąc z pustymi rękoma i wpatrując się ponuro w stanowisko ONZ.

- Maszynista!- zawołał Bruce do radia.- Zwolnij. Zatrzymaj się pięćdziesiąt metrów przed zaporą. Jeśli usłyszysz odgłosy strzelaniny, ruszaj pełną parą.

- Oui, monsieur.

Nie było widać członków komitetu powitalnego- tylko wrogo wyglądająca zapora ze słupów i beczek po benzynie przecinająca tory.

Bruce stanął na dachu i uniół ręce w geście wyrażającym neutralność. To był błąd; gest wywołał poruszenie wśród żandarmów. Jeden z nich również uniół ramiona, ale jego pięści były zaciśnięte.

- ONZ gównno!- krzyknął i w mgnieniu oka wszyscy żołnierze zaczęli skandować:

- ONZ gównno! ONZ gównno!- To był ich okrzyk bojowy. Początkowo śmiali się, ale wkrótce śmiech ucichł, a w ich głosach zaczęły pojawiać się nuty hysterii.

- Do cholery, zamknijcie się!- ryknął Bruce.

Otwartą dłonią uderzył w głowę żandarma stojącego obok, ale ten prawie tego nie zauważył. Jego oczy błyszczały zaraźliwą histerią, na którą Afrykańczycy są tak podatni. Złapał karabin i trzymał go na wysokości piersi, a jego ciało zaczęło wykonywać konwulsyjne ruchy. Skandował dalej. Bruce gwałtownym ruchem zsunął hełm z jego głowy i uderzył go precyzyjnie kantem dłoni, tak że żandarm osunął się na worki z piaskiem, wypuszczając karabin z rąk.

Bruce rozejrzał się rozpaczliwie. Coraz większa histeria opanowywała żołnierzy w wagonach.

- Hendry, de Sumer, zatrzymajcie ich! Na miłość boską, zatrzymajcie ich!- krzyknął, ale jego głos utonął w skandowaniu.

Jeden z żandarmów na sąsiedniej platformie podniósł karabin leżący u jego stóp. Bruce widział, jak przepycha się w kierunku brzegu, wprowadzając nabój do komory.

- Mwembe!- zawołał Bruce do niego, ale jego głos nie mógł się przebić przez wrzawę.

„W ciągu dwóch sekund to miejsce zamieni się w piekło”- pomyślał. Zawieszony na brzegu dachu, wychylił się na ułamek sekundy, by ocenić odległość dzielącą ich od zapory, potem podniósł się i skoczył. Wylądował na plecach żandarma, przewracając go ciężarem swojego ciała. Żandarm osunął się na podłogę. Jego palec spoczywał na spuście i karabin wystrzelił, gdy wyslizgiwał mu się z rąk. Zapanowała zupełna cisza. Bruce błyskawicznie podniósł się i wyciągnął pistolet.

- W porządku- krzyknął, oddychając z trudem i wymachując bronią.- Dalej, dajcie mi okazję, bym tego użył!- Wybrał jednego z sierżantów i wpatrując mu się w oczy, powiedział:- Ty! Czekam na ciebie! Dalej, zacznij strzelać!

Na widok rewolweru mężczyzna rozluźnił się i powoli szaleństwo zniknęło z jego twarzy. Spuścił wzrok i zaszurał niezgrabnie nogami.

Bruce spojrział na Ruffy'ego i Haiga stojących na dachu i podniósł głos:

- Pilnujcie ich. Zastrzelcie pierwszego, który znowu zacznie.

- Okay, szefie.- W dłoniach sierżanta pojawił się automat.

- No, który pierwszy?- zapytał wesoło, spoglądając na nich. Ale atmosfera już się zmieniła. Żołnierze czuli się zakłopotani; po chwili ciszę zaczął wypełniać nieśmiały gwar rozmów.

- Mike!- ryknął rozpaczliwie Bruce.- Powstrzymaj maszynistę! Chce przejechać przez zaporę.

Hałas jadącego pociągu wzmógł się, kiedy maszynista przyśpieszył na odgłos wystrzału. Pędzili teraz szybko w kierunku zapory ONZ.

Mike Haig chwycił krótkofalówkę i głośno wydał rozkaz. Hamulce zapiszczały natychmiast i pociąg zatrzymał się niecałe osiemdziesiąt metrów przed zapora.

Bruce wspiał się z powrotem na dach wagonu pasażerskiego.

- Niewiele brakowało- powiedział Mike.

- Mój Boże!- Bruce potrząsnął głową i drżącymi rękami zapalił papierosa.- Jeszcze jakieś czterdzieści metrów i...- Odwrócił się i zimno popatrzył na żandarmów.- Kanalie! Następnym razem, gdy będziecie mieli ochotę popełnić samobójstwo, mnie w to nie mieszajcie.

Żandarm, którego uderzył, siedział, obmacując palcami opuchliznę nad okiem.

- Przyjacielu- krzyknął do niego Bruce- później wymyślę coś, żebyś nie stracił dobrego samopoczucia!- Potem zwrócił się do żandarma, który siedział na dachu obok niego i masował kark.

- Dla ciebie też coś mam! Proszę zapisać ich nazwiska, sierżancie.

- Tak jest!- krzyknął Ruffy.

- Mike- powiedział Bruce zmienionym, miękkim głosem- idę podbechtać trochę naszych kumpli z bazookami. Kiedy dam ci znak, przeprowadź pociąg przez zapora.

- Nie chcesz, żebym poszedł z tobą?- zapytał Mike.

- Nie, zostań tutaj.

Bruce zarzucił karabin na ramię, opuścił się po drabinie na ścieżkę biegnącą wzdłuż torów i ruszył naprzód, chrzęszcząc butami po żwirze. „Udany początek, nie ma co- stwierdził niewesoło- byliśmy o włos od tragedii, nie wyjechawszy nawet z miasta. Dobrze przynajmniej, że te lalusie z bazookami nie próbowały dorzucić swoich wybuchowych argumentów do tej dyskusji”. Bruce mógł już rozróżnić kształt hełmów wystających nad ziemnymi barykadami. Bez przewiewu, który zapewniał jadący pociąg, było znów niemiłosiernie gorąco i poczuł, że zaczyna się pocić.

- Ani kroku dalej, mister- powiedział ktoś z wyraźnym irlandzkim akcentem. Głos dobiegał ze stanowiska usytuowanego najbliżej torów.

Bruce zatrzymał się, stojąc w słońcu na drewnianych podkładach. Mógł już zobaczyć twarze pod hełmami: były nieprzyjazne, bez cienia uśmiechu.

- Co to była za strzelanina?- spytał jakiś głos.

- Mieliliśmy wypadek.

- Lepiej, żebyście już nie mieli takich wypadków, bo i nam może się jakiś przydarzyć!

- Nie chciałbym tego, Irlandczyku- powiedział Bruce i wykrzywił usta w czymś, co miało przypominać uśmiech.

Irlandczyk nerwowo rzucił pytanie:

- Jakie jest twoje zadanie?

- Mam przepustkę, chcesz ją zobaczyć?- Bruce wyciągnął złożoną kartkę z górnej kieszeni.

- Jakie jest twoje zadanie?- powtórzył uparcie Irlandczyk

- Udać się do Port Reprieve i uwolnić ludzi w mieście.

- Wiemy o tym- Irlandczyk kiwnął głową.- Pokaż przepustkę.

Bruce zszedł z torów, wspiął się na barykadę usypaną z ziemi i podał różową kartkę Irlandczykowi. Zobaczył, że miał on cztery gwiazdki kapitana.

Irlandczyk rzucił okiem na przepustkę i zwrócił się do żołnierza, który stał obok:

- W porządku, sierżancie, usuńcie barierę.

- Czy mam dać znak, żeby pociąg ruszył?- zapytał Bruce. Kapitan w odpowiedzi skinął głową i dodał:

- Ale upewnij się, że nie będzie więcej wypadków! Nie przepadam za najemnymi mordercami.

- Na pewno. Tyle, że to nie jest twoja wojna i ty w niej nie walczysz- warknął Bruce.

Gwałtownie odwrócił się plecami do Irlandczyka i zeskoczył na tory, kiwając Haigowi, który siedział na dachu wagonu.

Sierżant z paroma ludźmi oczyścił tory. Gdy pociąg dudniąc ruszył powoli, Bruce starał się opanować ogarniające go rozdrażnienie- zniewaga irlandzkiego kapitana dopiekła mu do żywego. „Najemny morderca- pomyślał- oczywiście, jestem nim. Czy człowiek może upaść jeszcze niżej?”

Kiedy pociąg zbliżył się, Bruce wskoczył na stopień wagonu, pomachał ironicznie Irlandczykowi i wspiął się na dach.

- Bez kłopotów?- zapytał Mike.

- Trochę bezczelnej gadaniny w stylu irlandzkiego music- hallu- odparł Bruce.- Ale nie poważnego.- Podniósł krótkofalówkę.- Maszynista!



- Monsieur?

- Nie zapomnij moich poleceń.

- Nie będę jechał szybciej niż czterdzieści kilometrów na godzinę i cały czas będę przygotowany na hamowanie w nagłym wypadku.

- Dobrze!- Bruce wyłączył krótkofalówkę i usiadł na workach z piaskiem między Ruffym i Mike'em.

„No- pomyślał- nareszcie jedziemy. Sześć godzin drogi do węzła Msapa. To powinno być proste. A potem Bóg wie co będzie, tylko Bóg wie”.

Tory skręciły i Bruce odwrócił się, patrząc jak ostatnie białe budynki Elisabethville znikają wśród drzew. Byli teraz na otwartej sawannie. Za nimi czarny dym z lokomotywy krył się wśród drzew: koła stukotały w równym tempie, a przed nimi linia torów biegła prosto jak strzała, zlewając się z oliwkowozieloną ścianą lasu.

Bruce podniósł oczy. Pół nieba było czyste, miało kolor tropikalnego błękitu; na północy jednak pobrużdżone było chmurami, z których spływał szary deszcz. Słońce, prześwitujące przez krople, utkało tęczę. Cień chmury posuwał się po ziemi, czarny i leniwy jak stado pasących się bawołów.

Bruce poluzował pasek przy hełmie i położył karabin na dachu.

- Może piwko, szefie?

- Masz coś?

- Pewnie!

Ruffy krzyknął do żandarma, który wszedł do wagonu i po chwili wynurzył się z sześcioma butelkami piwa. Sierżant otworzył zębami dwie z nich. Za każdym razem pół butelki wpływało, pieniąc się i opryskując drewnianą ścianę wagonu.

- To piwo jest tak dzikie jak baba, która się wściekła- mruknął Ruffy, podając butelkę Bruce'owi.

- W każdym razie jest mokre.- Bruce spróbował piwa. Było ciepłe, silnie gazowane i za słodkie.

- Jeszcze jak!- powiedział Ruffy.

Bruce spojrzął na żandarmów przygotowujących sobie legowiska. Poza strzelcami przy Brenach wszyscy leżeli lub siedzieli w kucki, rozluźnieni i w większości rozebrani do bielizny. Jakiś chudy, mały człowieczek spał, leżąc na plecach. Głowę złożył na hełmie jak na poduszce, a

twarz wystawił na działanie tropikalnego słońca.

Bruce skończył piwo i wyrzucił butelkę. Ruffy otworzył następną i wręczył mu ją bez słowa.

- Czemu jedziemy tak wolno, szefie?

- Kazałem maszyniście ograniczyć prędkość, żeby móc zatrzymać się w porę, jeśli tory będą rozerwane.

- Taaa. Balubasi mogli to zrobić. Cholerne, szurnięte Arabcy! Ciepłe piwo, sączone w słońcu, zaczęło działać na Bruce'a. Czuł spokój, bez potrzeby podejmowania decyzji.

- Niech pan posłucha, jak koła gadają- powiedział Ruffy i Bruce skupił się na stukocie kół.

- Tak, znam to. Możesz sprawić, że będą mówić, o czym chcesz- zgodził się.

- Mogą nawet śpiewać- rzucił Ruffy.- Jest w tym prawdziwa muzyka.

Napełnił swą potężną klatkę piersiową powietrzem, uniósł głowę i zaczął śpiewać. Głos miał głęboki; przyciągnął uwagę ludzi na platformach. Ktoś dołączył się, nucąc z początku cicho i jakby nieśmiało, później nabierając pewności. Po chwili dołączył się jeszcze ktoś inny. Słowa były nieistotne; najważniejszy był rytm. Śpiewali wspólnie już wiele razy przedtem, dlatego- jak w dobrym chórze- każdy głos znalazł swoje miejsce. Soliści wyznaczali melodię, zmieniali tempo, improwizowali i przyśpieszali, aż początkowa melodia zatraciła się i ustąpiła miejsca pieśni plemiennej. Bruce rozpoznał ją: była to pieśń śpiewana na plantacjach, jedna z jego ulubionych. Siedział, popijając letnie piwo zasłuchany w pieśń. A pociąg jechał dalej w blasku słońca w kierunku deszczowych chmur na północy.

Wkrótce na platformie pojawił się Andre, lawirując wśród żandarmów, aż doszedł do miejsca, w którym znajdował się Hendry. Andre zadarł głowę i mówił coś poważnie wyższemu Hendry'emu.

Hendry nazwał go kiedyś laleczką i to określenie wydawało się bardzo trafne. Andre miał ładną, niemal dziewczęcą twarz, w której osadzona była para dużych, jasnobrązowych oczu. Hełm, który nosił, wydawał się zbyt duży i zbyt ciężki dla niego.

„Ciekawe, ile ma lat?- pomyślał Bruce, patrząc jak Andre nagle roześmiał się, wciąż zwrócony ku Hendry'emu.- Pewnie trochę ponad dwudziestkę. Nigdy nie widziałem kogoś, kto byłby bardziej niepodobny do najemnego mordercy”.

- Jak, u diabła, ktoś taki jak de Sumer wplątał się w to wszystko?- Bruce wypowiedział na

głos swoje myśli.

- Pracował w Elisabethville, kiedy się to zaczęło, i nie mógł wrócić do Belgii-  
odpowiedział Mike.- Nie wiem, dlaczego został najemnikiem, ale sądzę, że powody były natury  
osobistej. Kiedy to się zaczęło, zamknęto firmę, w której pracował. Przypuszczam, że to było  
jedyne zatrudnienie, jakie mógł znaleźć.

- Ten Irlandczyk przy zaporze nazwał mnie najemnym mordercą.- Myśl o Andre sprawiła,  
że Bruce przypomniał sobie te słowa.- Nigdy przedtem nie myślałem o tym w ten sposób, ale  
teraz sądzę, że miał rację. Tacy naprawdę jesteśmy.

Mike Haig milczał przez chwilę, a kiedy przemówił, jego głos zabrzmiał jakoś sztucznie.

- Spójrz na te ręce!

Mimowolnie Bruce zerknął na jego dłonie i dopiero teraz pierwszy raz zauważył, że są  
wąskie, o długich, kształtnych palcach, słowem ręce artysty.

- Spójrz na nie- powtórzył Mike.- Ukształtowano je w określonym celu, zrobiono je po to,  
by trzymały skalpel, by ratowały życie.- Rozluźnił dłonie i pozwolił im opaść na karabin ułożony  
na jego kolanach.- Zobacz, co trzymają teraz!

Bruce poruszył się nerwowo. Nie chciał powodować kolejnego wybuchu zwierzeń u  
Mike'a Haiga. „Do cholery z tym starym głupcem; dlaczego musi ciągle do tego wracać? Wiem  
równie dobrze jak każdy inny w całej najemnej armii Katangi, że przeszłość jest tabu. Przeszłość  
nie istnieje”.

- Ruffy- warknął Bruce.- Nie masz zamiaru nakarmić swoich chłopców?

- Już się robi, szefie- powiedział sierżant; otworzył kolejne piwo i podał je Bruce'owi.-  
Niech pan to potrzyma, nie będzie pan myślał o głodzie, gdy będę rozdawał jedzenie, rozsiewając  
przyjemne zapachy.

Ruszył ocieźzale po dachu wagonu, wciąż śpiewając.

- Trzy lata. Wydaje się, że to wieczność- ciągnął Mike, jakby nie zauważył, że Bruce mu  
przerwał.- Jeszcze trzy lata temu byłem chirurgiem, a teraz...- Pustka wyczierała z jego oczu i  
Bruce poczuł litość dla tego człowieka wzbierającą głęboko w nim, tam gdzie więził to uczucie  
razem z innymi emocjami.- Byłem dobry, byłem jednym z najlepszych. Royal College. Harley  
Street. Szpital Guy'a.- Mike zaśmiał się niewesoło, gorzko.- Czy możesz sobie wyobrazić, jak  
szofer wiózł mnie moim Rollsem do College'u, gdzie wygłaszałem wykład o zaawansowanej  
technice cholecystektomii?

- I co się stało?- Pytanie zabrzmiało, zanim Bruce mógł je powstrzymać: zdał sobie sprawę, jak bardzo pozwolił się ponieść fali litości.- Nie, nie mów mi- dodał zaraz.- To twoja sprawa. Nic mi do tego.

- Jednak opowiem ci, Bruce. Chcę ci powiedzieć. Gadanie o tym czasem jakoś pomaga.

„Na początku- pomyślał Bruce- ja też chciałem mówić, próbowałem zmyć ból słowami”.

Mike milczał przez kilka sekund. W wagonie pod nimi śpiew unosił się i opadał, a pociąg wciąż jechał dalej przez las.

- Przyjazd tutaj pochłonął dorobek dziesięciu ciężkich lat, ale w końcu to zrobiłem. Niezła praktyka; praca, którą kochałem, i zbieranie nagród, na które zasłużyłem. Żona, z której każdy mężczyzna byłby dumny, wspaniały dom, wielu przyjaciół, może zbyt wielu. Sukces przyciąga przyjaciół tak samo jak zapuszczona kuchnia przyciąga karaluchy...- Mike wyciągnął chusteczkę i wytarł spocony kark.- Ten rodzaj przyjaciół oznacza przyjęcia- kontynuował po chwili.- Przyjęcia po całym dniu pracy, kiedy padasz ze zmęczenia, kiedy chcesz się odprężyć... a cóż cię lepiej odpręży niż butelka? Nie wiesz, czy masz słabość do alkoholu, zanim nie jest za późno, zanim twoja praktyka nie jest już taka dobra.- Mike okręcił chusteczkę wokół palców i uparcie ciągnął dalej:- Potem nagle już to wiesz. Poznajesz to po tańcu twoich dłoni rano i po tym, że wszystko, czego pragniesz na śniadanie, to jest właśnie to. Po tym, że nie możesz doczekać się lunchu, że musisz operować, gdyż tylko wtedy ręce ci nie drżą. Dowiadujesz się o tym nieodwołalnie i ostatecznie, kiedy skalpel ślizga się w twoich rękach i tętnica zaczyna tryskać krwią, a ty patrzysz na to sparaliżowany, patrzysz, jak krew czerwieni twój fartuch i zbiera się w kałuże na podłodze sali operacyjnej...- Głos mu się załamał; wyciągnął papierosa z paczki i zapalił. Jego ramiona zgarbiły się, a oczy były pełne poczucia winy. Po chwili wyprostował się i przemówił silniejszym głosem:- Musiałeś o tym czytać. Byłem na pierwszych stronach gazet przez parę dni, w czołówkach wszystkich dzienników. Ale wtedy nie nazywałem się Haig. To nazwisko przeczytałem na naklejce jakiejś butelki w barze... Gladys naturalnie została ze mną, ona była tym typem człowieka. Wyjechaliśmy do Afryki. Z całej katastrofy udało mi się uratować tyle, że wystarczyło na opłacenie farmy tytoniowej w rejonie Centenary, w pobliżu Salisbury. Dwa udane sezony i odstawiłem butelkę. Gladys spodziewała się naszego pierwszego dziecka, którego tak bardzo pragnęliśmy... Wszystko znowu układało się dobrze.- Mike wepchnął chusteczkę z powrotem do kieszeni. Jego głos ponownie stracił swą siłę i stał się ochryply.- I wtedy pewnego dnia pojechałem ciężarówką do wioski i w drodze powrotnej zatrzymałem się w

klubie. Bywałem tam często przedtem, ale tym razem było inaczej. Zamiast pół godziny, zabawiłem tam tak długo, póki mnie nie wyrzucili przed zamknięciem. Kiedy dojeżdżałem do farmy, obok mnie na siedzeniu spoczywała skrzynka szkockiej.

Bruce chciał go powstrzymać. Wiedział, co będzie dalej i nie chciał o tym słuchać.

- Tamtej nocy zaczęły padać pierwsze deszcze; rzeki spłynęły, zalewając okolicę. Linie telefoniczne były pozrywane, byliśmy odcięci. Rano...- Mike znów przerwał i odwrócił się do Bruce'a.- Myślę, że to musiał być szok dla niej widzieć mnie w takim stanie i dlatego... Rano Gladys poszła na porodówkę. To był jej pierwszy raz, a nie była już taka młoda. Dzień później ciągle jeszcze była na porodówce, ale wtedy była już zbyt słaba, by krzyczeć. Pamiętam, jak cicho i spokojnie było bez jej krzyków i błagalnych próśb o pomoc. Widzisz, ona wiedziała, że miałem jeszcze wszystkie potrzebne instrumenty. Błagała mnie o pomoc. Pamiętam jej głos, przedzierający się przez opary whisky. Myślę, że nienawidziłem jej wtedy, pamiętam, jak jej nienawidziłem; to wszystko było takie mętne, pomieszane z krzykiem i alkoholem. Ale w końcu ucichła. Chyba nie zdawałem sobie sprawy, że nie żyła. Byłem po prostu zadowolony, że umilkła i miałem spokój.- Odwrócił oczy od twarzy Bruce'a.- Byłem zbyt pijany, by iść na pogrzeb. Potem spotkałem faceta w barze; nie pamiętam, ile czasu wtedy minęło od jej śmierci, nie pamiętam, gdzie to było. To musiało być gdzieś w Pasie Miedziowym. Rekrutował do armii Tshombe i zaciągnąłem się. Wydawało się, że nic innego nie pozostało mi do zrobienia...

Ani Bruce, ani Mike nie mówili nic, aż żandarm przyniósł im jedzenie: kromki chleba razowego posmarowane masłem i obłożone wołowiną z puszki i konserwową cebulą. Jedli w milczeniu, słuchając śpiewu, aż wreszcie Bruce odezwał się:

- Nie musiałeś mi o tym mówić.

- Wiem.

- Mike...- Bruce przerwał.

- Tak?

- Przykro mi; jeśli daje ci to jakąś ulgę...

- Daje- powiedział Mike.- Pomaga mi nie być zupełnie samotnym. Lubię cię, Bruce.- Mike wymówił ostatnie zdanie w sposób, w jaki zdradza się sekret.

Pod wpływem tych słów, Bruce skurczył się, jakby Haig napluł mu w twarz. „Ty głupcze- skarcił się gwałtownie.- Otworzyłeś się całkowicie. Niemalże pozwoliłeś jednemu z nich wniknąć znowu w twoje uczucia!” Bez żadnych skrupułów stłamsił sympatię, zaskoczony

wysiłkiem, jaki musiał w to włożyć. Kiedy podniósł krótkofalówkę, łagodność zniknęła z jego oczu.

- Hendry- powiedział.- Nie gadaj tyle. Umieściłem cię na przodzie, byś obserwował tory.

Wally Hendry, jadący w pierwszym wagonie, obejrzał się i pokazał niedbale Bruce'owi odwrócony symbol victorii. Bruce wzruszył ramionami.

- Lepiej idź i zwolnij Hendry'ego- polecił Mike'owi.- Przyślij go tutaj.

Mike wstał i spojrzał na Bruce'a.

- Czego się boisz?- Jego głos wyrażał zaintrygowanie.

- Dałem ci rozkaz, Haig!

- Tak, już idę.

## Rozdział 4

Samolot znalazł ich późnym popołudniem. Był to odrzutowiec „Vampire” należący do Indyjskich Sił Powietrznych. Nadleciał z północy. Najpierw usłyszeli przytłumiony huk, a po chwili zobaczyli go. Błyszczał w słońcu jak kawałek miki na tle burzowych chmur kłębiących się przed nimi na niebie.

- Stawiam tysiąc franków przeciw kupie łajna, że ten koziółek nic o nas nie wie- prorokował Hendry, patrząc jak odrzutowiec zmienia kurs i kieruje się w stronę pociągu.

- Teraz już wie- stwierdził Bruce.

Szybko spojrzął na ciężkie, ołowiane chmury. Były już blisko. Jeszcze dziesięć minut jazdy i znajdą się pod nimi, nie zagrożeni z powietrza, jako że chmury zwisały nisko nad ziemią, a deszcz tworzył grubą, niebieskoszarą zasłonę, która ograniczy widoczność do kilkuset stóp. Włączył radio.

- Maszynista, cała naprzód! Musimy się dostać w ten deszcz.

- Oui, monsieur.

Ledwo nadeszło potwierdzenie, a już z lokomotywy zaczęło się wydobywać więcej dymu i zmienił się rytm stukających kół.

- Zobacz, jak schodzi- mruknął Hendry.

Samolot opadał szybko na tle ciemnej chmury, ciągle oświetlony słońcem, podobny do rosnącego srebrnego punktu światła.

Bruce przesuwiał wskazówkę skali w radiu, szukając fali, której używał pilot samolotu. Sprawdził cztery długości, za każdym razem jednak słyszał tylko trzaski zakłóceń. Dopiero za piątym razem pojawiła się łagodna melodia języka hindi. Bruce nie rozumiał ani słowa, ale słyszał, że ton głosu wyraża zaskoczenie. Potem w eterze nastąpiła krótka przerwa, w czasie której pilot otrzymywał polecenie z bazy Kamina; Bruce nie słyszał tych rozkazów- baza była poza zasięgiem ich małego odbiornika- ale zdołał usłyszeć lakoniczne potwierdzenie pilota.

- Nadlatuje, żeby się lepiej przyjrzeć- powiedział Bruce i dodał, podnosząc głos:- Wszyscy kryć się i nie wścieć się ruszać!

Odrzutowiec zbliżał się do pociągu niesamowicie szybko, mimo że wykorzystywał zaledwie połowę mocy swoich silników, których dźwięk zostawał daleko w tyle. Kiedy tak leciał nad lasem, podobny był do rekina. Bruce mógł zobaczyć głowę pilota w oszklonej kabinie; był w

stanie dostrzec rysy jego brązowej twarzy pod srebrnym hełmem. Pilot miał mały wąsik, taki sam jak walet pikowy. Był już tak blisko, że Bruce widział dokładnie, w którym momencie Hindus rozpoznał barwy pociągu jako katangijskie- przewrócił oczyma i zmełł przekleństwo w ustach. Radio stojące obok Bruce'a przekazało jego metaliczno- chropawy dźwięk. Wkrótce samolot przechylił się stromo i wyjąc silnikami z otwartą przepustnicą, wzniósł się, pokazując srebrzysty brzuch i rakiety zawieszane pod skrzydłami.

- Tak się wystraszył, że skurczył się, jakby nie rósł przez siedem lat- roześmiał się Hendry.- Powinieneś pozwolić mi rozwalić go. Był na tyle blisko, że trafiłbym go w lewe oko.

- Za chwilę będziesz miał następną okazję.- Bruce zapewnił go ponuro.

Głos z radia trajkotał, wyrażając konsternację, podczas gdy samolot malał na niebie. Bruce szybko przełączył się na kanał maszynisty.

- Maszynista, nie można jechać szybciej?

- Monsieur, jeszcze nigdy ta lokomotywa nie ruszała się tak szybko jak teraz!

Bruce jeszcze raz przełączył się na częstotliwość pilota, wsłuchując się w jego podniesiony głos. Samolot zawracał szerokim kołem w odległości jakichś piętnastu mil. Bruce spojrział na skłębioną masę deszczowych chmur, które zbliżały się do nich z ociążałą godnością.

- Jeśli wróci- krzyknął do żandarmów- to na pewno nie po to, by sobie na nas popatrzeć. Otworzy ogień jak tylko znajdzie się w naszym zasięgu. Zaaplikujcie mu wszystko, co macie; musimy spróbować popsuć mu szyki. Andre nie patrzył na Bruce'a. Z zaciśniętymi nerwowo szczękami wpatrywał się w samolot oczyma, które wydawały się za duże na jego twarz. W eterze ponownie zapanowała cisza i wszystkie głowy odwróciły się, by obserwować odrzutowiec.

- Chodź tu koziołku, chodź tu!- mruczał niecierpliwie Hendry. Splunął na prawą dłoń i wytarł ją o kurtkę.- No, dalej, chcemy cię powitać.- Bawił się karabinem, odbezpieczając i zabezpieczając broń kciukiem.

Nagle radio znowu przemówiło. Padły dwa słowa, z pewnością potwierdzające rozkaz. Bruce rozpoznał jedno z nich. Słyszał je często przedtem w okolicznościach, które wryły je w jego pamięć. Było to słowo w języku hindi: „Atakować!”

- W porządku- powiedział i podniósł się.- Nadlatuje!- Wiatr rozwiewał koszulę na jego piersi. Nałożył hełm na głowę i umieścił pocisk w komorze karabinu.- Zejdź do wagonu, Hendry- rozkazał.

- Lepiej widzę stąd.- Hendry stał obok niego, szeroko rozstawiając nogi, by oprzeć się



gwałtownemu pędowi powietrza.

- Jak chcesz- zgodził się Bruce.- Ruffy, ukryj się.

- W tym pudle jest cholernie gorąco- rzekł potężny Murzyn, szczerząc zęby.

- Narwany Arab- rzucił Bruce.

- Pewnie, wszyscy jesteśmy narwanymi Arabami! Samolot zawrócił ostro, zanurkował w kierunku lasu i wyrównał.

Nadlatywał z boku, ale wciąż jeszcze był daleko.

- Ten koziołek to prawdziwy amator. Zamierza dobrać się do nas z boku, żebyśmy wszyscy mogli do niego strzelać. Gdyby był choć półprzytomny, uderzyłby w tył, załatwił lokomotywę i upewnił się, że wszyscy strzelamy ponad głowami- rozkoszował się sytuacją Hendry.

Cicho i szybko samolot zbliżył się, dotykając niemal wierzchołków drzew. Nagle ogień działek pokładowych zaczął się skrzyć cytrynowo na dziobie odrzutowca, a powietrze wokół wypełniło się głośnym świstem. Broń znajdująca się w pociągu natychmiast odpowiedziała ogniem. Pociski smugowe wystrzeliwane z Brenów ścigały się w pogoni za samolotem. Ich ryk został zagłuszony przez terkot karabinów.

Bruce wymierzył uważnie, jednak kołysanie spowodowane pędem pociągu uniemożliwiało dokładne celowanie. W końcu nacisnął spust i kolba karabinu uderzyła go w ramię. Poczul gryzący zapach prochu.

Samolot zwolnił nieznacznie.

- Mięknie!- wrzasnął Hendry.- Ten drań mięknie!

- Strzelajcie do niego!- krzyczał Ruffy.- Cały czas strzelajcie!

Samolot skręcił i uniósł dziób, tak że pociski z działek pokładowych poleciały nad ich głowami, nie wyrządzając nikomu krzywdy. Potem dziób samolotu znów opadł i pilot wystrzelił rakiety, po dwie spod każdego skrzydła. Ogień karabinowy z pociągu ustał nagle- wszyscy rzucili się szukać osłony. Tylko trójka mężczyzn na dachu wagonu ciągle strzelała.

Cztery rakiety nadleciały z odległości czterystu jardów, ciągnąc za sobą równoległe smugi dymu. Do osiągnięcia celu potrzebowały zaledwie tyle czasu, ile zabiera głęboki oddech, ale pilot za ostro opuścił dziób samolotu, wystrzelił za późno i rakiety eksplodowały w nasypie kolejowym pod torami.

Wybuch przewrócił Bruce'a. Upadł i toczył się po gładkim dachu, próbując rozpaczliwie

schwycić się czegoś, ale dopiero w ostatniej chwili palce zahaczyły się o rynienkę okalającą wagon i zawisł. Był oszołomiony wstrząsem; rynienka wrzynała mu się w palce, pasek od karabinu okręcił mu się wokół szyi dusząc go, a żwir, którym pokryty był nasyp, niebezpiecznie szybko uciekał spod jego stóp.

Ruffy pochylił się, chwycił go za przód kurtki i postawił z powrotem na dachu, jakby był dzieckiem.

- Wybiera się pan dokądś, szefie?- zapytał, uśmiechając się szczęśliwie. Jego wielka, okrągła twarz była pokryta pyłem.

Bruce miał niejasne uczucie, że potrzebna byłaby co najmniej skrzynka dynamitu, aby zrobić wrażenie na tej górze czarnego mięsa. Klęcząc na dachu, Bruce próbował dojść do siebie. Zauważył, że wybuch rozerwał część drewnianej ściany wagonu, a dach pokryty był ziemią i kamieniami. Hendry siedział obok niego, potrząsając powoli głową. Cienka stróżka krwi ciekła mu z zadrapania na policzku i kapłała z brody. W wagonach platformach żołnierze stali lub siedzieli; twarze ich wyrażały oszołomienie, ale pociąg pędził dalej w kierunku deszczu, pozostawiając daleko za sobą gęstą chmurę pyłów unoszącą się nad lasem.

Bruce pozbierał się i zaczął szukać samolotu na niebie. Odnalazł jego małą sylwetkę wznoszącą się daleko nad chmurami. Radio ocalało, osłonięte przed wybuchem workami z piaskiem. Wyciągnął je i wdusił przycisk transmisyjny.

- Maszynista, nic ci się nie stało?

- Monsieur, jestem strasznie zaniepokojony. Czy...?

- Nie ty jeden- zapewnił go Bruce.- Utrzymuj tę prędkość.

- Oui, monsieur.

Bruce przełączył się na częstotliwość samolotu. Chociaż przenikliwy dźwięk eksplozji wciąż jeszcze brzmiał w jego uszach, zdołał zauważyć, że głos pilota się zmienił. Mówił wolno, niektórych słów nie wypowiadał do końca, jakby brakowało mu oddechu. „Jest przerażony albo ranny- pomyślał Bruce- ale ciągle ma dość czasu, aby zaatakować nas jeszcze raz, zanim schronimy się w deszczu”.

Jego umysł zaczął się szybko rozjaśniać. Uświadomił sobie, że jego ludzie zupełnie nie są przygotowani na atak.

- Ruffy- krzyknął- postaw ich na nogi! Niech się przygotowują. Samolot wróci lada moment.

Ruffy zeskoczył do wagonu i Bruce usłyszał, jak rozdaje siarczyste policzki, zmuszając

ludzi do ruchu. Sam również zeskoczył do wagonu, w którym był Ruffy, a potem wspiął się do następnego i zaczął krzyczeć na ludzi.

- Haig, pomóż mi! Pomóż mi wyrwać ich z tego otępienia. Kiedy żołnierze otrząsnęli się z szoku wywołanego eksplozją, stłoczyli się na boku, zmieniając magazynki i sprawdzając broń. Bruce odwrócił się i krzyknął:

- Ruffy, czy ktoś z twoich jest ranny?

- Parę zadrapań, nic groźnego.

Na dachu wagonu pasażerskiego stał Hendry z twarzą umazaną krwią i karabinem w ręku, obserwując samolot.

- Gdzie Andre?- zapytał Bruce Haiga, gdy spotkali się w wagonie.

- Na przodzie. Myślę, że dostał.

Bruce ruszył dalej i znalazł Andre skulonego w kucki w kącie wagonu. Twarz zakrył rękoma. „Oczy- pomyślał Bruce- dostał w oczy!” Podszedł do niego i pochylił się, odsuwając jego ręce od twarzy i oczekując widoku krwi.

Andre płakał. Jego policzki były mokre od łez. Bruce patrzył na niego przez chwilę, a następnie chwycił go za kurtkę i podniósł. Wziął karabin Andre i sprawdził lufę- była zimna. Z karabinu nie padł nawet jeden strzał. Przeciągnął Belga na bok i wepchnął mu karabin w ręce.

- De Sumer- warknął.- Będę stał obok ciebie. Jeśli zrobisz to jeszcze raz, zastrzelę cię. Rozumiesz?

- Przepraszam, Bruce.- Wargi Andre były opuchnięte w miejscu, gdzie je przygryzł. Jego twarz była umazaną łzami.- Przepraszam, nie mogłem nic na to poradzić.

Bruce zignorował go i ponownie skierował uwagę na samolot, który przygotowywał się do następnego ataku. „Zaatakuj nas znowu z boku- pomyślał.- Tym razem dostanie nas. Nie może chybić dwa razy pod rząd”.

W milczeniu jeszcze raz patrzyli, jak samolot ześlizguje się w dolinę pomiędzy dwiema białymi górami chmur i wyrównuje nad lasem. Leciał w kierunku pociągu- mały, niemal filigranowy, niosący śmierć.

Jeden ze strzelców przy Brenach otworzył ogień. Działko zastukało ochryple, wypluwając pociski smugowe, podobne do koralików nanizanych na sznurek.

- Za wcześnie- mruknął Bruce.- O wiele za wcześnie Jest co najmniej milę poza zasięgiem.

Lecz efekt był natychmiastowy. Pilot skręcił gwałtownie, niemal zderzając się z wierzchołkami drzew, a następnie przesadził z poprawką lotu, schodząc z linii podejścia.

Z pociągu wzniósł się ryk drwin, który natychmiast utonął w odgłosie strzelaniny. Samolot wypuścił pozostałe rakiety, celując na oślepienie, bez nadziei i szansy na trafienie. Potem wspiął się stromo, zawracając w kierunku chmury. Dźwięk silników ścisł i w końcu zamilkł całkowicie.

Ruffy wykonywał taniec zwycięstwa, wymachując karabinem nad głową. Stojący na dachu Hendry wyklinał w kierunku chmur, w których zniknął samolot, jakiś Bren wciąż grzmiał ekstatycznie seriami, ktoś inny podniósł katangijski okrzyk wojenny, do którego dołączyli się pozostali. Maszynista również nie pozostał obojętny, wypuszczając parę z gwizdem.

Bruce przewiesił karabin przez ramię, zsunął hełm na tył głowy, zapalił papierosa i wyprostował się, patrząc, jak jego ludzie śpiewają, śmieją się z ulgą i rozmawiają.

Stojący obok Bruce'a Andre wychylił się i zwymiotował. Część wymiocin znalazła ujście przez nos, obryzgując przód jego panterki. Andre wytarł usta wierzchem dłoni.

- Przepraszam, Bruce. Naprawdę przepraszam- wyszeptał. Znajdowali się już pod chmurą. Chłód ogarnął ich jak powietrze z lodówki. Pierwsze krople deszczu zmyły zapach prochu i splukały kurz z twarzy Ruffy'ego, która znowu załśniła jak mokry węgiel.

Bruce poczuł, że kurtka przykleja mu się do pleców.

- Ruffy, dwóch ludzi do każdego Brena. Reszta może się schować do wagonów pasażerskich. Co godzinę zmiana.- Odwrócił karabin lufą w dół.- De Sumer, możesz iść. Ty też, Haig.

- Zostanę z tobą Bruce.

- Dobrze.

Żandarmi wspięli się do wagonów pasażerskich, ciągle śmiejąc się i rozmawiając. Pojawił się Ruffy, niosąc pałatkę, którą podał Bruce'owi.

- Wszystkie radia są przykryte. Jeśli nie jestem już potrzebny, szefie, to załatwię jedną sprawę z takim Arabem w wagonie. Ma przy sobie prawie dwadzieścia tysięcy franków. Pójdę i pokażę mu parę sztuczek z kartami.

- Pewnego dnia powiem co nieco chłopcom o twoich chrześcijańskich władcach. Pokażę, że szanse są trzy do jednego przeciw nim- zagroził Bruce.

- Nie robiłbym tego, szefie- powiedział poważnie Ruffy.- Wszystkie te pieniądze nie dają

im nic dobrego. Tylko wpadają przez nie w kłopoty.

- No, zmiataj stąd. Pogadamy później- rzekł Bruce.- Powiedz im, że odwalili kawał dobrej roboty, że jestem z nich dumny- dodał.

- Tak. Powiem im- obiecał Ruffy. Bruce uniósł brezent, który zakrywał radio.

- Maszynista, dosyć już, bo wysadzisz kocioł w powietrze! Pociąg zwolnił, jechał teraz bardziej równomiernie. Bruce nasunął hełm na oczy i owinał się pałatką aż po usta, zanim wychylił się, żeby sprawdzić uszkodzenia spowodowane przez rakiety.

- Wszystkie okna wyleciały po tej stronie i drewno trochę potrzaskane- mruknął.- Mimo wszystko niewiele brakowało.

- Wojna to kiepska zabawa- zauważył Mike Haig.- Ten pilot miał dobry pomysł, po co ryzykować życiem, jeśli to nie jest twój interes.

- Był chyba ranny- powiedział Bruce.- Myślę, że trafiliśmy go przy pierwszym ataku.

Umilkli. Deszcz siekł ich po twarzach i musieli zmrużyć oczy, aby obserwować biegnące przed nimi tory. Żołnierze siedzący przy Brenach zawinęli się w pałatki o brązowo- zielonych kolorach maskujących. Radość, jaką wyrażali jeszcze dziesięć minut wcześniej, zupełnie znikła. „Są jak koty- pomyślał Bruce, gdy zauważył ich przygnębienie.- Nie lubią nadmiaru wilgoci”

- Już wpół do szóstej- przerwał milczenie Mike.- Czy myślisz, że zdołamy dotrzeć do węzła Msapa przed zapadnięciem nocy?

- Przy tej pogodzie do szóstej zrobi się ciemno.- Bruce spojrzął na nisko zawieszoną chmurę, która przedwcześnie sprowadzała noc.- Nie mam zamiaru ryzykować jazdy po zmroku. Jesteśmy na skraju terenu Balubasów i nie możemy używać świateł lokomotywy.

- Więc chcesz się zatrzymać?

Bruce kiwnął głową twierdząco. „Co za cholernie głupie pytanie”- pomyślał z irytacją. Później zdał sobie sprawę, że jego złość wynikała z odreagowania po niebezpieczeństwie, na które jeszcze niedawno byli narażeni, i chcąc to jakoś naprawić odezwał się do Mike'a:

- Nie możemy być daleko od węzła Msapa; jeśli wyruszymy o brzasku, dojedziemy na miejsce przed wschodem słońca.

- Boże, jak zimno- poskarżył się Mike i zadrżał.

- Albo za gorąco, albo za zimno- zgodził się Bruce. Bruce wiedział, że to odreagowanie powodowało, że Mike stawał się gadatliwy i nie próbował go powstrzymać.

- To jedna z tych rzeczy, które znajdziesz w obfitości na tej naszej szczęśliwej planecie.

Nic tu nie jest w umiarze. Za gorąco albo za zimno, albo jesteś głodny, albo się przejadłeś, albo jesteś zakochany, albo nienawidzisz tego świata...

- Tak jak ty?- spytał Mike.

- Do cholery, Mike, jesteś jak baba! Czy nie możesz prowadzić obiektywnej rozmowy, bez wycieczek osobistych- oburzył się Bruce. Czuł, że traci panowanie nad sobą: było mu zimno, był wściekły i miał ochotę zapalić.

- Obiektywne rozmowy muszą mieć subiektywne zastosowanie by dowieść swojej wartości- zauważył Mike. Nikły ślad rozbawienia pojawił się na jego szerokiej, zniszczonej twarzy.

- Zapomnijmy o tym. Nie chcę gadać o sprawach osobistych- warknął Bruce. Jednak natychmiast zaczął o nich mówić:

- Mdli mnie, gdy za dużo myślę o ludzkości. De Sumer rzyga tak, jakby miał wyrzygać swoje flaki, ty próbujesz trzymać się z dala od butelki, Joan...- urwał nagle.

- Kto to jest Joan?

- Czy ja wsadzam nos w twoje sprawy?

- Nie, ale ja wsadzam w twoje. Kim jest Joan? „Dobra. Powiem mu. Jeśli chce wiedzieć, to mu powiem!” Gniew sprawił, że Bruce stał się lekkomyślny.

- Joan to ta suka, z którą się ożeniłem.

- A, to o to chodzi!

- Tak, o to! Teraz już wiesz. Więc możesz się ode mnie odczepić.

- Dzieci?

- Dwoje, chłopak i dziewczynka.- Gniew znikł z głosu Bruce'a, zastąpiony na moment bólem. Opanował się, przywracając głosowi neutralność:- I nie ma to już żadnego znaczenia, do cholery! Jeśli o mnie chodzi, to cała rasa ludzka może iść i się powiesić! Ja nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

- Ile masz lat, Bruce?

- Do diabła, zostaw mnie w spokoju!

- Ile masz lat?

- Trzydzieści.

- Mówisz jak nastolatek.

- A czuję się jak starzec.

Na twarzy Mike'a nie było już cienia rozbawienia.

- Co robiłeś przed wstąpieniem do tej armii?

- Spałem, oddychałem, jadłem i dałem się podeptać.

- Jaki miałeś zawód?

- Prawnik

- Byłeś dobry?

- A jak można to zmierzyć? Jeśli masz na myśli to, czy dobrze zarabiałem, to odpowiedź brzmi tak.

„Miałem dość pieniędzy, aby spłacić dom i samochód- pomyślał gorzko- i aby ubiegać się o opiekę nad dziećmi i w końcu sprostać wymaganiom rozwodowym. Wystarczyło na to wszystko, ale oczywiście i tak musiałem sprzedać moją spółkę”.

- Wyjdiesz z tego- powiedział Mike.- Jeśli odniosłeś sukces raz, będziesz w stanie to powtórzyć, jak tylko ochłoniesz z szoku. Jak tylko zmienisz swoje życie i przyciągniesz do siebie innych ludzi, którzy pomogą ci znowu stać się silnym.

- Już jestem silny, Haig. Jestem silny, ponieważ nie ma nikogo w moim życiu. To jedyny sposób, żeby być bezpiecznym, żeby być panem siebie. Zupełnie wolny i samodzielny.

- Silny!- Po raz pierwszy gniew zabrzmiał w głosie Mike'a.- Jesteś wolny i samodzielny, lecz jesteś nikim, Curry. Mimo że jesteś wolny i samodzielny jesteś tak słaby, że mógłbym na ciebie nasikać i spłynąłbyś z urną!- Nagle gniew wyparował i już spokojniej kontynuował:- Ale zobaczysz, tacy jak ty mają szczęście! Przyciągasz ludzi do siebie. Nie musisz być sam.

- Odtąd zamierzam właśnie być.

- Zobaczymy- mruknął Mike.

- Tak, zobaczymy- zgodził się Bruce i podniósł brezent przykrywający radio.

- Maszynista, zamierzamy się zatrzymać na noc. Jest za ciemno, aby bezpiecznie jechać dalej.

## Rozdział 5

Radio Brazzaville zabrzmiało cicho w odbiorniku. Głos był zniekształcony zakłóceniami- na zewnątrz wciąż padało, a gromy przetaczały się z hukiem przez niebo.

- ...nasz korespondent w Elisabethville donosi, że oddziały katangijskiej armii znajdujące się w południowym Kasai pogwałciły dzisiaj zawieszenie ognia, strzelając do nisko lecącego samolotu należącego do sił ONZ. Samolot, odrzutowy myśliwiec typu „Vampire” należący do Indyjskich Sił Powietrznych, powrócił bezpiecznie do bazy Kamina. Jednakże pilot został ranny. Stan jego zdrowia jest zadowalający. Komendant sił ONZ w Katandze, generał Rhee, wystosował do rządu katangijskiego stanowczy protest...- głos spikera utonął w szumie zakłóceń.

- Dostaliśmy go!- zawołał uradowany Wally Hendry.

- Zamknij się!- warknął Bruce.- Próbujemy usłyszeć, co się dzieje.

- Przecież, do cholery, nic teraz nie słyhać. Andre, w moim plecaku jest butelka. Przynieś ją! Wypiję za tego twardziela z kulą w...

Zakłócenia ustały i znowu słyhać było wyraźnie głos spikera:

- ...w misji Senwati, pięćdziesiąt mil od rzecznej przystani w Port Reprieve. Rzecznik środkowokongijskiego rządu zaprzeczył, jakoby wojska kongijskie działały na tym obszarze. Istnieją obawy, że duże siły uzbrojonych band wykorzystują nieustabilizowaną sytuację, aby...- ponownie trzaski zagłuszyły wiadomości.

- Do diabła z tym radiem- mruknął Bruce, próbując je dostroić.

- ...stwierdził dzisiaj, że usunięcie pocisków z rosyjskich baz na Kubie zostało potwierdzone przez powietrzne rozpoznanie...

- To wszystko, co nas interesuje.- Bruce wyłączył radio.- Co za bagno! Ruffy, gdzie jest misja Senwati?

- Przy północnym krańcu bagien, w pobliżu granicy z Rodezją.

- Pięćdziesiąt mil od Port Reprieve- wymamrotał Bruce, nie próbując ukryć zdenerwowania.

- Więcej niż pięćdziesiąt, szefie. Jakies sto.

- To powinno im zająć trzy albo cztery dni w tej pogodzie, plus czas na plądrowanie- obliczał Bruce.- To ich trochę opóźni. Musimy dotrzeć do Port Reprieve najdalej jutro wieczorem i wyruszyć z powrotem rankiem następnego dnia.



- Dlaczego nie jedziemy tej nocy?- Hendry odstawił butelkę od ust, aby zadać to pytanie.-  
Lepsze to niż siedzieć tutaj i być zjedzonym przez moskity.

- Zostajemy- odparł Bruce.- Wykolejenie pociągu po ciemku nie przyniesie wielkiego  
pożytku.- Odwrócił się do Ruffy'ego:- Trzygodzinne warty przez całą noc, sierzancie. Porucznik  
Haig obejmie pierwszą, po nim porucznik Hendry, potem porucznik de Sumer; ja obejmę swoją  
przed świtem.

- Okay, szefie. Lepiej upewnię się, czy chłopcy nie śpią. Ruffy wyszedł z przedziału.  
Potłuczone szkło z okien korytarza chrzęściło pod butami.

- Ja też już pójdę.- Mike wstał i naciągnął pałatkę na ramiona.

- Oszczędzaj baterie reflektorów, Mike. Zapalaj je co jakieś dziesięć minut.

- Okay, Bruce- potwierdził Mike i spojrzał na Hendry'ego.- Zajrzę do ciebie o dziewiątej.

- Doprawdy, co za pokaz, bracie.- Wally naśladował akcent Mike'a.- Jakie udane  
polowanie!- dodał, a kiedy Mike wyszedł z przedziału, rzucił:- Głupi stary kutas, czemu musi tak  
gadać?

Nikt mu nie odpowiedział. Wally podciągnął koszulę.

- Andre, mam coś na plecach?

- Pyszcz.

- No to wyciśnij go!

Bruce obudził się w nocy, z chmurą moskitów brzęczących wokół twarzy. Na dworze  
wciąż padało. Od czasu do czasu odbite światło reflektorów z dachu wagonu słabo oświetlało  
wnętrze.

Na jednej z dolnych kuszetek leżał na plecach Mike Haig. Jego twarz błyszczała od potu,  
a głowa na poduszczce nerwowo przetaczała się z jednej strony na drugą. Zgrzytał zębami- był to  
dźwięk, do którego Bruce już się przyzwyczał i który wolał od chrapania Hendry'ego.

- Ty stary, biedny wszarzu- wyszeptał Bruce.

Andre pisnął przez sen. We śnie wyglądał jak dziecko z czarnymi, miękkimi włosami  
opadającymi na czoło.

## Rozdział 6

O świcie deszcz przestał padać i słońce zaczęło mocno przygrzewać, rozświetlając horyzont. Z mokrego lasu podniosła się ciepła mgła. Im dalej posuwali się na północ, tym gęstszy stawał się las; drzewa rosły bliżej siebie, a podszycie stawało się bardziej zbite niż w okolicy Elisabethville.

Bruce wypatrzył we mgle wieżę wodną węzła Msapa wznoszącą się ponad lasem niczym latarnia morska; jej srebrna barwa była poznaczona brązowymi zaciekami rdzy. W tej samej chwili pociąg minął ostatni zakręt i przed oczyma żołnierzy wyrosła mała osada składająca się zaledwie z sześciu budynków. Wyczuwało się w niej atmosferę opuszczenia, która pojawia się, kiedy miejsce zamieszkiwane przez człowieka zostaje na powrót zagarnięte przez naturę.

Obok torów znajdowała się wieża wodna i składy węgla umieszczone na podwyższeniu. Dalej ciągnęły się budynki stacyjne, zbudowane z drewna i żelaza. Nad werandą jednego z nich wisiała duża tabliczka z napisem: WĘZEL MSAPA. WYSOKOŚĆ 963 m n.p.m.

Za tymi budynkami rozciągała się alejka drzew kasja, o ciemnozielonych liściach i pomarańczowych kwiatach. Dochodziła aż do szeregu domków położonych na skraju lasu. Jeden z domków został spalony, a jego rozrzucone szczątki były osmalone ogniem. W ogrodach na tyłach domostw bujnie rozrosła się roślinność, co świadczyło o trzymiesięcznym co najmniej zaniedbaniu.

- Maszynista, zatrzymaj się obok wieży wodnej. Masz piętnaście minut na napełnienie kotła.

- Dziękuję, monsieur.

Dyszac ciężko parą, lokomotywa zatrzymała się obok wieży.

- Haig, weź czterech ludzi i pomóż maszyniście.

- Okay.

Bruce włączył radio jeszcze raz.

- Hendry?

- Jestem.

- Weź sześciuosobowy patrol i przeszukajcie domki, a potem sprawdźcie skraj buszu; nie chcemy żadnych nieproszonych gości.

Wally Hendry machnął potwierdzająco ręką z pierwszego wagonu.

- Daj mi de Sumera- rzucił Bruce, patrząc jak Hendry przekazuje krótkofalówkę Andre.- De Sumer, przejmujesz dowodzenie nad czołowymi wagonami na czas nieobecności Hendry'ego. Osłaniaj go i obserwuj busz za nim. Atak może nadejść z tamtej strony.- Wyłączył radio i zwrócił się do Ruffy'ego:- Zostań tutaj, na dachu. Idę pogonić ich z pompowaniem wody. Jeśli coś zobaczysz, daj mi znać natychmiast.

Ruffy kiwnął głową.

- Niech pan weźmie ze sobą jakieś śniadanie- powiedział, podając Bruce'owi otwartą butelkę piwa.

- To lepsze niż jajka na bekonie- uśmiechnął się Bruce i zszedł na peron. Sącząc piwo, dotarł do parowozu i spojrzał na Mike'a i maszynistę znajdujących się na wieży.- Pusta?- zawołał do nich.

- W połowie. Wystarczy na kąpiel, jeśli masz ochotę- odparł Mike.

- Nie kuś mnie!- Pomyśl Mike'a wydał mu się nagle bardzo pociągający; czuł nieswieży zapach swego ciała, a opuchnięte powieki swędziły go od ukąszeń moskitów.- Królestwo za kąpiel!- krzyknął, pocierając palcami brodę pokrytą sztywnym zarostem.

Chwilę patrzył, jak Mike i maszynista przekładają płócienny wąż nad lokomotywą. Mały, gruby maszynista wspiął się na parowóz i usiadł okrakiem na kotle, mocując wąż.

Nagle usłyszał krzyk. Obrócił się szybko i zobaczył zbliżający się od strony domków patrol Hendry'ego. Ciągnęli za sobą dwóch małych więźniów.

- Ukrywali się w pierwszym domku- wołał Hendry.- Próbowali dać nogę do buszu.- Szturchnął jedno z dzieci bagnetem, dziewczynka krzyknęła, usiłując się wyrwać żandarmowi.

- Dość tego.- Bruce powstrzymał Hendry'ego od dalszego używania bagnetu. Podeszedł bliżej i przyjrzał się dzieciom.

Dziewczynka zbliżała się do okresu dojrzewania. Jej piersi dopiero nabierały kobiecych kształtów. Chude nogi miały nieproporcjonalnie duże kolana. Za ubranie służył jej tylko kawałek brudnego płótna osłaniający podbrzusze, zawieszony wokół pasa na sznurku z łyka. Piersi i policzki pokryte miała rytualnym tatuażem. Czoło znaczyły ślady blizn.

- Ruffy- krzyknął Bruce w kierunku wagonu- znasz ich język?

Ruffy zbliżył się, podniósł chłopca i posadził sobie na kolanach. Był młodszy od dziewczynki- miał siedem, może osiem lat. Jego ciało miało bardzo ciemny kolor i było zupełnie nagie.

Ruffy powiedział coś ostro i żandarm puścił dziewczynkę. Stała, trzęsąc się i nawet nie próbując uciekać.

Ruffy zaczął przemawiać uspokajająco do chłopca, uśmiechając się i głaszcząc go po głowie. Powoli przerażenie zaczęło znikać z twarzy malca i dziecko odpowiedziało Ruffy'emu ciekim, piszczącym głosem w języku, którego Bruce nie mógł zrozumieć.

- Co on mówi?- zapytał ponaglająco.

- Myśli, że chcemy go zjeść- roześmiał się Ruffy.- Nie wystarczyłoby nawet na porządne śniadanie- dodał i poklepał małe, chude ramię chłopca szare od brudu.

Wydał jakiś rozkaz i jeden z żandarmów zniknął w wagonie, by po chwili wrócić, niosąc w dłoniach czekoladowe batony. Nie przestając mówić, sierżant rozpakował jeden i włożył chłopcu do ust. Oczy dziecka rozszerzyły się, gdy poczuł smak czekolady. Zaczął szybko gryźć, patrząc na Ruffy'ego i mówiąc z pełnymi ustami.

W końcu sierżant odwrócił się do Bruce'a:

- Nic nam nie grozi, szefie. Pochodzą z małej wioski odległej o godzinę marszu stąd. Zamieszkuje tam pięć czy sześć rodzin. Te dzieciaki wyslizgnęły się, aby popatrzeć sobie na domki i przy okazji coś zwędzić. To wszystko.

- Ilu mężczyzn jest w wiosce?- zapytał Bruce i Ruffy powtórzył pytanie chłopcu.

W odpowiedzi dziecko podniosło palce obu rąk, nie przerywając żucia.

- Czy wie coś o linii kolejowej do Port Reprieve; czy spalono jakieś mosty albo wysadzono w powietrze tory?

Dzieci nie potrafiły odpowiedzieć na to pytanie. Chłopiec połknął ostatni kawałek czekolady i spojrzał głodnymi oczyma na Ruffy'ego, który wepchnął mu w buzię następny baton.

- Chryste- mruknął Hendry z głęboką odrazą.- Czy to jest żłobek, czy co? A może pobawimy się jeszcze w kółko graniaste?

- Zamknij się!- warknął Bruce i zwrócił się do Ruffy'ego:- Czy widzieli jakichś żołnierzy? Albo uzbrojonych ludzi z ich własnego plemienia?

Znowu poważne zaprzeczenie.

- W porządku, daj im resztę czekolady- polecił Bruce. To było wszystko, czego mógł się od nich dowiedzieć, a czas uciekał. Spojrzał na wieżę i zobaczył, że Haig z maszynistą skończyli już pompować wodę do kotła. Odwrócił głowę i przez chwilę przyglądał się chłopcu. Jego własny syn jest teraz w tym samym wieku. „To już dwanaście miesięcy od kiedy...”- pomyślał i

pośpiesznie odpędził napływające myśli; w ten sposób doprowadziłby się do szaleństwa.

- Hendry, zabierz ich z powrotem na skraj buszu i puść ich wolno. Pośpiesz się! Zmarnowaliśmy już dosyć czasu.

- Mnie to mówisz?!- mruknął Hendry i kiwnął na dwójkę dzieci.

Pomaszerowały posłusznie za nim w towarzystwie dwóch żandarmów i zniknęły za budynkiem stacji.

- Maszynista, skończyłeś już przygotowania?

- Tak, monsieur. Jestem gotów do wyjazdu.

- Wsyp cały węgiel do lokomotywy. Musi się dobrze toczyć- powiedział Bruce i uśmiechnął się do maszynisty. Lubił tego człowieka i z przyjemnością słuchał jego wykwintnego języka.

- Pardon, monsieur, ale...

- To był dowcip, żartowałem, przepraszam.

- A, dowcip!- Pulchny brzuch maszynisty zatrzęsł się wesoło.

- Okay, Mike- krzyknął Bruce.- Każ swoim ludziom wsiadać. Jedziemy...

Seria z broni maszynowej przerwała mu w pół słowa. Dochodziła z jakiegoś miejsca za budynkami stacyjnymi i rozdarła ciszę poranka z taką przerażającą gwałtownością, że przez chwilę stał jak sparaliżowany.

- Haig- ryknął w końcu.- Idź na przód i zmień de Sumera.

- To był słaby punkt; ludzie Mike'a zrozumieli to i pobiegli co sił wzdłuż pociągu.- Wy tam!- Bruce zatrzymał sześciu żandarmów.- Chodźcie ze mną.

Żandarmi przyłączyli się do Bruce'a, który rzutem oka upewnił się, że pociąg jest bezpieczny. Wszyscy żołnierze trzymali karabiny gotowe do strzału, a Ruffy przetaczał właśnie Brena, by chronić flankę. Pod taką siłą ognia nawet atak tysiąca Balubasów musiał zakończyć się fiaskiem.

- Szybciej!- rzucił Bruce i zaczął biec z żandarmami w kierunku stacji, która dawała im schronienie.

Oprócz pierwszej serii nie rozległy się już żadne inne wystrzały. Drzwi do biura zawiadowcy stacji były zamknięte. Bruce kopnął w nie nogą obutą w ciężki, wojskowy but i otworzył je z łomotem. „Zawsze chciałem to zrobić- pomyślał zadowolony i podniecony. Od chwili gdy zobaczyłem, jak robi to Clark Gable”.

- Wy czterej do środka! Oslaniajcie nas z okien- zawołał. Żandarmi weszli do pomieszczenia, trzymając karabiny gotowe do strzału. Przez otwarte drzwi Bruce zobaczył urządzenia telegraficzne na stole pod ścianą. Odzywały się metalicznie, przekazując telegramy wysyłane na linii Elisabethville- Jadotville. „Dlaczego dzieje się tak, że pod wpływem podniecenia mój umysł zauważa rzeczy błahe?- pomyślał Bruce.- A myślenie o tym jest kolejną błahostką”.

- Wy dwaj chodźcie ze mną- rzucił i poprowadził żandarmów wzdłuż zewnętrznej ściany, trzymając się blisko tej osłony.

Przy narożniku zatrzymał się, by sprawdzić magazynek i przygotować broń. Jeszcze przez chwilę się wahał. „Co zobaczę za tym narożnikiem? Setkę nagich dzikusów wokół okaleczonych ciał Hendry'ego i jego żandarmów czy też...”- pomyślał. Pochylony, gotowy schronić się z powrotem za ścianą, z karabinem na wysokości piersi, Bruce wyszedł bokiem na otwartą przestrzeń.

Hendry i dwaj żandarmi stali na polnej drodze za pierwszym domkiem. Byli rozluźnieni- rozmawiali ze sobą, podczas gdy Hendry zmieniał magazynek. Z dolnej wargi zwisał mu papieros. Nagle Hendry roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu. Popiół z papierosa spadł mu na piersi. Bruce zauważył długą, ciemną plamę potu na jego ramionach. Pięćdziesiąt jardów dalej leżało dwoje dzieci.

Bruce'a ogarnął paraliżujący chłód. Wyprostował się i ruszył w kierunku dzieci. Jego stopy poruszały się cicho w pyle pokrywającym ziemię. Minął Hendry'ego i dwóch żandarmów, którzy- mimo iż nawet na nich nie spojrzął- przestali rozmawiać, obserwując go niespokojnie.

Podszedł najpierw do dziewczynki. Ukłął koło ciała i przewrócił je delikatnie na plecy.

- To nieprawda- wyszeptał.- To nie może być prawda. Kula wyrwała część klatki piersiowej, pozostawiając dziurę wielkości filiżanki. Rana wciąż krwawiła- krew wyciekała powoli, wypełniając ją niczym lepki miód. Bruce ruszył w kierunku chłopca. Czuł się, jakby śnił mu się koszmar.

- Nie, to nieprawda- powiedział głośniejszym głosem, próbując słowami wymazać to, co się stało.

Chłopca trafiły trzy kule. Jedna rozdarła mu ramię, obnażając kość, której ostry koniec wystawał oskarżycielsko z rany. Dwie pozostałe rozerwały ciało dziecka niemal na dwie części.

To nadeszło z daleka jak huk pociągu jadącego tunelem. Bruce czuł, jak wszystko się w nim trzęsie; zamknął oczy i słuchał ryku powstałego w głowie. „Trzymaj się!- piszczał

rozpaczliwie cienki głos w jego głowie.- Nie pozwól zawładnąć sobą, zwalcz to. Zwalcz to, tak jak robiłeś już przedtem!” Uchwycił się jak tonący tej ostatniej deski zdrowego rozsądku, podczas gdy huk otaczał go ze wszystkich stron. Potem powoli osłabi, oddalił się, zmieniając się w szept, by pozostawić za sobą pustkę. Chłód ponownie ogarnął Bruce'a, chłód większy niż powódź wrzasku, w której przed chwilą tonął... Otworzył oczy i odetchnął głęboko, potem wstał i zawrócił do miejsca, gdzie stał Hendry z żandarmami.

- Kapralu- zwrócił się do jednego z mężczyzn. W jego spokojnym głosie nie słychać było zdenerwowania.- Kapralu, wróćcie do pociągu. Powiedzcie porucznikowi Haigowi i sierżantowi Ruffararo, że potrzebuję ich tutaj.

Kapral z widoczną ulgą oddalił się, a Bruce przemówił do Walh/ego tym samym beznamiętnym tonem:

- Powiedziałem ci, żebyś ich puścił wolno.

- Po to, żeby pobiegli do domu i sprowadzili na nas całą watahę? Czy o to ci chodziło, koziołku?- Hendry zdążył odzyskać już swój dawny wigor; uśmiechał się wyzywająco.

- Wiec zamiast tego zamordowałeś ich?

- Zamordowałem? Odbiło ci czy co, Bruce? To Balubasi, nie? To są cholerni ludożercy!- krzyknął gniewnie. Już się nie uśmiechał.- Co z tobą, chłopie? To wojna, koziołku, wojna! C'est la guerre, jak ktoś powiedział, c'est la guerre!- Nagle uspokoił się.- Zapomnij o tym- powiedział.- Zrobiłem to, co było słuszne, teraz nie mówmy już o tym. W tym całym zabijaniu, które tutaj trwa, dwójka cholernych Balubasów w tę czy w tamtą stronę nie stanowi różnicy. Zapomnij o tym.

Bruce nie odpowiedział. Zapalił papierosa i spojrzał za plecy Hendry'ego, wypatrując nadchodzących ludzi.

- Co ty na to, Bruce? Zgadzasz się, że powinniśmy zapomnieć?- nalegał Wally.

- Wprost przeciwnie, Hendry. Przysięgam święcie, biorąc sobie Boga na świadka.- Bruce nie patrzył na niego.- Oto moja obietnica: zrobię wszystko, żeby cię za to powiesili. Nie zastrzelili, lecz powiesili na dobrej linii konopnej! Posłałem po Haiga i Ruffararo, aby mieć świadków. Pierwszą rzeczą, którą zrobię po powrocie do Elisabethville, będzie przekazanie cię odpowiednim władzom.

- Nie mówisz poważnie!

- Nigdy w życiu nie mówiłem poważniej.

- Chryste, Bruce!

W tym momencie pojawili się Haig i Ruffy. Biegli i nagle zatrzymali się, przenosząc wzrok z Bruce'a na dwa małe, kruche ciała leżące na drodze.

- Co się stało?- zapytał Mike.

- Hendry ich zastrzelił- odparł Bruce.

- Za co?

- On jeden to wie.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że on ich ot, tak sobie zastrzelił?

- Tak.

- Mój Boże- powiedział Mike wstrząśnięty i po chwili powtórzył głucho:- Mój Boże.

- Przyjrzyj im się, Haig. Przyjrzyj im się uważnie, żebyś zapamiętał.

Haig ruszył w kierunku dzieci.

- Ty też, Ruffy. Będziecie świadkami na procesie.

Mike Haig i Ruffy podeszli do leżących dzieci i stanęli obok siebie, wpatrując się w nie. Hendry zaszurał niezgrabnie nogami i zaczął ładować magazynek.

- Na miłość boską!- nie wytrzymał.- O co to całe zamieszanie? O parę Balubasów?

Mike odwrócił się wolno w kierunku Hendry'ego. Jego twarz miała żółtawy kolor- tylko policzki i nos były wciąż zaczerwienione i pokryte drobnymi żyłkami. Z bezbarwnych ust wydobywał się urywany oddech. Ruszył w kierunku Hendry'ego, ściągając karabin z ramienia.

- Haig!- powiedział ostro Bruce.

- Tym razem... ty... ty cholerny... to już ostatni...- wymamrotał Haig.

- Uważaj, koziołku!- ostrzegł go Hendry. Cofnął się o krok, niezręcznie próbując umieścić pełny magazynek na swoim miejscu.

Mike Haig opuścił bagnet karabinu na wysokość żołądka Hendry'ego.

- Haig!- krzyknął Bruce.

Lecz Haig już zaatakował- zadziwiająco szybko jak na człowieka w jego wieku, pochylając się do przodu i celując bagnetem w brzuch Walhego. Cały czas z jego ust wydobywały się nieartykułowane dźwięki, które przeszły w bezkształtne wycie.

- No, dalej!- rzucił Hendry i ruszył do przodu.

Gdy byli już bardzo blisko siebie, Hendry odtrącił bagnet kolbą karabinu. Dwaj mężczyźni zderzyli się. Ciężar Haiga spowodował, że zatoczyli się do tyłu. Hendry opuścił



karabin i zacisnął ręce na szyi Mike'a, odciągając jego głowę do tyłu tak, że twarz znajdowała się pod kątem prostym w stosunku do reszty ciała.

- Uważaj Mike. Zaatakuje głową!

Bruce zorientował się w zamiarach Hendry'ego, ale ostrzeżenie było spóźnione. Głowa Walhego wykonała szybki ruch do przodu i Mike jęknął, gdy stalowy hełm przeciwnika uderzył go w nos. Karabin wypadł mu z rąk i upadł na drogę. Mike podniósł ręce i zakrył twarz rozczapierzonymi palcami, spośród których spływała krew. Hendry ponownie uderzył głową.

- Uderz go kolanem, Mike!- krzyknął Bruce, próbując rozdzielić walczących, ale oni obracali się w kółko i nie mógł się do nich zbliżyć.

Hendry stał na rozstawionych nogach, próbując kolejnego ataku głową. Mike wykorzystał to, uderzając silnie kolanem w krocze przeciwnika. Hendry zwinął się wpół z ustami otwartymi szeroko w niemym krzyku. Zaciskając ręce na podbrzuszu, powoli osunął się na kolana. Mike oszołomiony, z ustami pełnymi krwi, próbował niezdarnie otworzyć kaburę pistoletu.

- Zabiję cię, ty gnojku!

Niebieski pistolet o krótkiej lufie znalazł się w jego ręce. Bruce stanął za nim i naciskając kciukiem nerw poniżej łokcia, zmusił go do wypuszczenia pistoletu ze sparaliżowanej bólem dłoni. Broń zawisła na lince, uderzając właściciela w kolano.

- Ruffy, powstrzymaj go!- krzyknął Bruce, wskazując na Hendry'ego, który próbował chwycić karabin leżący na ziemi obok niego.

- Mam go, szefie!- Wielki but Ruffy'ego przygniół karabin, podczas gdy Hendry bezskutecznie wyteżał siły, by go wydobyć.

- Zabierz mu pistolet!- rozkazał Bru- Już go mam.- Ruffy błyskawicznie pochylił się nad pełzającym u jego stóp ciałem, jednym szybkim ruchem otworzył kaburę, wyciągnął pistolet i szarpnął linkę, która pękła jak bawelniana nitka.

W końcu wszyscy znieruchomieli. Bruce stał, trzymając Haiga od tyłu, a Hendry kulił się u stóp Ruffy'ego. Przez kilka sekund słychać było jedynie chrapliwe oddechy. Bruce poczuł, jak Mike rozluźnia się. Odpiął jego pistolet od linki i pozwolił mu upaść.

- Puść mnie, Bruce. Już wszystko w porządku.

- Jesteś pewien? Nie chciałbym cię zastrzelić.

- Naprawdę, już wszystko w porządku.

- Jeśli znowu zaczniesz, będę musiał cię zabić. Rozumiesz?

- Tak. Już tego nie zrobię. Na moment straciłem głowę.

- Z pewnością- zgodził się Bruce i uwolnił go. Mężczyźni otoczyli Hendry'ego, Bruce powiedział:

- Jeśli ty albo Haig znowu zaczniecie, odpowiecie mi za to, słyszysz?- Hendry spojrział w górę oczyma zwięzonymi od bólu. Nie odpowiedział.- Słyszysz?- Bruce powtórzył pytanie i Hendry kiwnął potakująco głową.- To dobrze. Od tej chwili, Hendry, jesteś aresztowany. Areszt jest zawieszony do czasu powrotu. Nie mogę pozwolić sobie na oddelegowanie ludzi jako strażników dla ciebie. Jeśli chciałbyś spróbować ucieczki, droga wolna. Tubylcy z pewnością godziwie by cię ugościli, prawdopodobnie wydaliby nawet specjalny bankiet na twoją cześć. Ale pamiętaj o mojej obietnicy, Hendry. Jak tylko wrócimy do...

- Wally, Wally, czy jesteś ranny?- przerwał Bruce'owi nadbiegający od strony stacji Andre.

- Zjeżdżaj stąd, zostaw mnie.- Hendry, zniecierpliwiony, uderzył Andre.

Belg cofnął się.

- De Sumer, kto ci pozwolił opuścić posterunek? Wracaj do pociągu!- Andre spojrział niepewnie na Bruce'a, potem znów na Hendry'ego.- De Sumer, słyszałeś? Ruszaj się! Ty też, Haig.

Bruce popatrzył, jak znikają za stacją, potem jeszcze raz spojrział na zwłoki dzieciaków. Policzek chłopca był umazany stopioną czekoladą i krwią, a jego szeroko otwarte oczy wyrażały zdumienie. Muchy zaczęły się już gromadzić nad ciałami.

- Ruffy, przynieś łopaty. Pochowajcie ich pod tamtymi drzewami- wskazał na alejkę drzew kasja.- Nie marudźcie.- Powiedział to szorstko, nie chcąc, by jego głos zdradził uczucia, które nim miotaly.

- Okay, szefie. Załatwię to.

- Chodź, Hendry- warknął Bruce.

Wally podniósł się i potulnie podążył za nim w kierunku pociągu.

## Rozdział 7

Opuściwszy węzeł Msapa, posuwali się powoli przez las na północ. Wszystkie drzewa wydawały się odlane z tej samej formy i mimo że każde z osobna było wysokie i pełne wdzięku, to jednak w masie dawały wrażenie paraliżującej monotonii. Ponad nimi rozpościerało się niebo, na którym kłębiły się chmury, w każdej chwili grożąc deszczem. Pocili się w wilgotnym upale, którego nie łagodził nawet podmuch wywołany ruchem pociągu.

- Co z twoją twarzą?- zapytał Bruce.

Mike Haig dotknął opuchlizny na czole. Skóra była pęknięta i posiniaczona.

- Ujdzie- zdecydował Mike. Podniósł wzrok i spojrzał na oddalonego o parę wagonów Hendry'ego.- Nie powinienes mnie zatrzymywać, Bruce.

Bruce nie odpowiedział, ale również wpatrywał się w Wally'ego opartego o ścianę pierwszego wagonu. Z pewnością doskwierały mu rany. Jego twarz, zwrócona ku Andre, była tylko w połowie widoczna.

- Powinienes być pozwolić mi go zabić- kontynuował Mike.- Człowiek, który z zimną krwią strzela do dwojga małych dzieci i jeszcze się potem z tego śmieje...- urwał, a jego dłonie otwierały się i zamykały.

- To nie twój interes- odparł Bruce, wyczuwając ukryty wyrzut.- Za kogo się uważasz? Za jednego z boskich aniołów zemsty?

- Nie mój interes, powiadasz?- Mike odwrócił się szybko i stanął twarzą w twarz z Bruce'em.- Na Boga, co z ciebie za człowiek? Mam nadzieję, dla twojego dobra, że nie wierzysz w to, co mówisz!

- Przesylabizuję ci więc, jakim człowiekiem jestem, Haig- odparł Bruce.- Jestem takim facetem, który pilnuje swego nosa i pozwala innym ludziom żyć ich własnym życiem. Jestem gotów przedsięwziąć odpowiednie kroki, w granicach rozsądku, by przeszkodzić innym w łamaniu zasad, które społeczeństwo ustaliło dla nas, ale to wszystko. Hendry popełnił morderstwo. Zgadzam się, że jest to okropna rzecz i kiedy wrócimy do Elisabethville, zwrócę na to uwagę ludzi, którzy się tym zajmują. Ale nie zamierzam wymachiwać sztandarami, cytować Biblii i dostawać piany na ustach.

- Skończyłeś?

- Skończyłem.

- Nie żal ci tych dwojga dzieciaków?

- Pewnie że mi ich żal. Ale żal nie leczy śladów po kulach, tylko napełnia mnie niepokojem, więc izoluję go; nikt nie może użyć go przeciwko mnie.

- Nie czujesz gniewu ani wstrętu Bruce?

- Tych uczuć dotyczy ta sama zasada- wyjaśnił Bruce, znów tracąc cierpliwość.- Dorobię się pęcherzy, jeśli pozwolę sobie na uczucia tak jak ty.

- Więc podchodzisz do takiego zła, jakim jest Hendry, z obojętną tolerancją?- zapytał Mike.

- Jezu Chryste!- warknął Bruce przez zaciśnięte zęby.- Czego ty, do cholery, ode mnie chcesz?

- Chcę, abys przestał zachowywać się tak, jakby ciebie tutaj nie było! Chcę, byś był w stanie rozpoznać zło i zniszczyć je.- Mike także zaczynał tracić panowanie nad sobą.

- A to dobre! Może wiesz, gdzie mogę kupić używany ekwipunek krzyżowca i białego konia, by wydać wojnę okrucieństwu i głupocie, pożądaniu i chciwości, nienawiści i biedzie...

- Nie o tym mówiłem...

Mike próbował mu przerwać, ale Bruce nie dopuścił go do głosu. Jego urodziwa, opalona twarz pociemniała od gniewu.

- Chcesz, abym niszczył zło, gdziekolwiek się z nim zetknę. Ty stary głupcze, czy nie wiesz, że zło ma sto głów i że w miejsce każdej odciętej głowy wyrasta kolejnych sto? Czy nie wiesz, że ono jest również w tobie, więc chcąc je zniszczyć, musisz zniszczyć siebie?

- Jesteś tchórzem, Curry! Raz się sparzyłeś i już uciekasz, budując wokół siebie bunkier.

- Bez wyzwisk, Haig. Opanuj się.

Mike przerwał; wyraz jego twarzy zmienił się, gniew zniknął, ustępując miejsca uśmiechowi.

- Przepraszam, Bruce. Próbowałem nauczyć cię...

- Dziękuję- szyderczo odparł Bruce, wciąż jeszcze chrapliwym głosem. Przeprasiny Mike'a nie ułagodziły go.- Zamierzasz mi dać lekcję, dziękuję bardzo! Ale jakiej lekcji chcesz mi udzielić, Haig? Czego ty możesz mnie nauczyć? Jak odnaleźć powodzenie i szczęście? napisane przez uśmiechniętego chłopca o imieniu Haig, który dochrapał się stopnia porucznika w murzyńskiej armii Katangi. Jak sądzisz, dobry tytuł? Czy może wolisz bardziej techniczny: Zastosowanie alkoholu w badaniach spirytualistycznych...

- W porządku, Bruce. Przestań, zamknę się już.

Bruce zorientował się, jak bardzo zranił Mike'a. Pożałował tego, dałby wiele, żeby cofnąć to, co powiedział. Ale jest to jedna z tych rzeczy, których nigdy nie można zrobić. Mike Haig wydał się nagle znacznie starszy i bardziej zmęczony: pomarszczone worki pod oczami jakby pogłębiły się w ciągu kilku sekund, a błyszczące oczy przygasły. Jego krótki śmiech był gorzki i pozbawiony wesołości.

- Gdy ujmujesz to w ten sposób, jest to naprawdę całkiem śmieszne.

- Zadałem cios poniżej pasa- przyznał Bruce i dodał:

- Może powinienem pozwolić ci zabić Hendry'ego. Byłoby to co prawda marnowanie amunicji, ale skoro chcesz tego tak bardzo...- Bruce wyciągnął pistolet i podał go Mike'owi.- Użyj mojego! Uśmiechnął się do Mike'a rozbijającym uśmiechem, któremu nie sposób było się oprzeć. Mike zaczął się śmiać. Dowcip był słaby, ale mimo to jakoś zdołał rozśmieszyć ich obu i po chwili śmiali się razem. Twarz Mike'a Haiga rozpogodziła się i odmłodziła o dwadzieścia lat. Bruce oparł się o worki z piaskiem; śmiał się głośno, wciąż trzymając pistolet w dłoni. Było w tym coś gorączkowego, jak gdyby próbowali śmiechem splukać smak krwi i nienawiści. Był to śmiech rozpaczy. Mężczyźni w wagonach pod nimi odwrócili się i obserwowali ich z początku zdziwieni, potem zaczęli śmiać się razem z nimi, choć nie wyczuli rozpaczliwej nuty brzmiącej w tym śmiechu.

- Szefie!- krzyknął Ruffy.- Po raz pierwszy widzę, jak śmieje się pan tak, jakby naprawdę miał pan na to ochotę.

Epidemia śmiechu rozszerzała się, po chwili już wszyscy się śmiali, nawet Andre de.Sumer się uśmiechał. Tylko Wally Hendry pozostał niewzruszony, milczący i posepny, obserwując ich swymi małymi oczkami bez wyrazu.

Do mostu nad rzeką Cheke dojechali po południu. Zarówno droga, jak i tory kolejowe biegły przez most obok siebie, dalej rozdzielały się- droga zakręcała w lewo. Oba brzegi rzeki były gęsto porośnięte ciemnozielonym buszem, który tworzył gruby, trzystujardowy pas poplątanych cierni, drzewiastych paproci oraz wielkich drzew obsypanych kwiatami.

- Dobre miejsce na zasadzkę- mruknął Haig, przypatrując się zielonym ścianom gęstej roślinności po obu stronach torów.

- Czarujące, prawda?- stwierdził Bruce.

Po niespokojnej atmosferze gotowości panującej wśród żandarmów widać było, że byli

tego samego zdania.

Pociąg wjechał powoli w roślinność nadbrzeżną niczym stalowy wąż pełznąca wzdłuż śladu królika i wkrótce znaleźli się nad rzeką. Bruce włączył radio:

- Maszynista, zatrzymaj się przed mostem. Chcę sprawdzić go, zanim powierzymy mu nasz cenny ładunek

- Oui, monsieur.

W tym miejscu rzeka Cheke miała szerokość pięćdziesięciu jardów, płynęła szybko, jakby gniewnie tocząc wody, które niemal zakryły piaszczyste plaże rozciągające się wzdłuż brzegów. Woda była zamulona i miała butelkowitzelony kolor. Wokół kamiennych podpór mostu tworzyły się wiry.

- Wygląda w porządku- zaopiniował Haig.- Jak daleko stąd do Port Reprieve?

Bruce rozłożył mapę polową na dachu wagonu i znalazł symbol oznaczający most, który, podobny do odwróconych nawiasów, jak gdyby okrakiem siedział na poskręcanej wstędze rzeki.

- Jesteśmy tutaj- dotknął palcem miejsca na mapie, a następnie powiódł palcem wzdłuż pokreskowanej linii torów, aż osiągnął czerwone kółko oznaczające Port Reprieve.- Jeszcze jakieś trzydzieści mil, około godziny jazdy. Będziemy tam przed zapadnięciem zmroku.

- To są wzgórza Lufira- Mike Haig wskazał na niebieską plamę, która była ledwo widoczna nad drzewami przed nimi.

- Ze szczytu będziemy mogli zobaczyć miasto- przytaknął Bruce.- Rzeka płynie równoległe do wzgórz po drugiej stronie.

Złożył mapę i podał Ruffy'emu, który wsunął ją do plastikowej teczki.

- Ruffy, porucznik Haig i ja idziemy rzucić okiem na most. Ty miej oko na busz.

- Okay, szefie. Może piwko na drogę?

- Dzięki.- Bruce czuł pragnienie i zanim zszedł z wagonu na żwir pokrywający nasyp, by przyłączyć się do Mike'a, opróżnił pół butelki. Z karabinami w pogotowiu, obserwując uważnie busz po obu stronach, szybko pobiegli naprzód i odetchnęli z ulgą, gdy znaleźli się na środku mostu.

- Wydaje się dosyć solidny- stwierdził Mike.- Nikt nie dobierał się do niego.

- To jest drewno- powiedział Bruce i nastąpił silnie nogą na ciężkie belki.

Potężne kłody były nasączone ciemnym środkiem chemicznym zapobiegającym gniciu.

- Co z tego, że jest z drewna?- zapytał Mike.

- Drewno się pali- wyjaśnił Bruce.- Łatwo byłoby go spalić- dodał. Oparł łokcie na barierze, dopił piwo i upuścił butelkę do płynącej sześć metrów niżej rzeki. Twarz miał zamysłoną.- Jest bardzo prawdopodobne, że Balubasi są w dżungli- wskazał na brzeg- i obserwują nas w tej chwili. Mogliby wpaść na ten sam pomysł. Zastanawiam się, czy obsadzić most ludźmi?

Mike oparł się o barierkę obok Bruce'a i obaj zaczęli wpatrywać się w miejsce, gdzie rzeka skręcała- jakieś dwieście jardów od mostu. W zakolu rosło drzewo dwukrotnie wyższe od sąsiednich. Pień miało prosty, pokryty gładką, srebrzystą korą, a listowie uformowało wysoką, zieloną iglicę wyraźnie widoczną na tle chmur.

- Ciekawe, co to za drzewo? Nigdy przedtem takiego nie widziałem.- Uwagę Bruce'a przyciągnęła na chwilę wspaniałość drzewa.- Wygląda na gigantyczne drzewo gumowe.

- Piękny widok!- zgodził się Mike.- Mam ochotę zejść i przyjrzeć się bli...- Nagle zeszywniał, a w jego głosie zabrzmiał ton alarmu:- Bruce, tam!- wskazał ręką.- Co to jest tam na niższych gałęziach?

- Gdzie?

- Tuż nad pierwszym rozgałęzieniem, na lewo...

Bruce wpatrywał się z uwagą we wskazywane miejsce i nagle też zauważył. Przez sekundę myślał, że to lampart, ale po chwili zdał sobie sprawę, że sylwetka była zbyt ciemna i długa.

- To człowiek!- wykrzyknął Mike.

- Balubas- warknął Bruce.

Teraz widział już kształt i połysk nagiego, czarnego ciała, spódniczkę z ogonów zwierzęcych i pióra we włosach. Długi łuk wystawał zza ramienia mężczyzny, który balansował na gałęzi i próbował utrzymać równowagę, opierając się ręką o pień. Obserwował ich.

Bruce odwrócił głowę i spojrzał na pociąg. Hendry zauważył już ich poruszenie i podążając wzrokiem za wyciągniętą ręką Mike'a, zobaczył Balubasa. Bruce zorientował się, co Hendry zamierza zrobić i już otwierał usta do krzyku, gdy tamten ściągnął karabin z ramienia, uniósł go i wystrzelił długą serię.

- Idiota- warknął Bruce i spojrzał na drzewo.

Kawałki białej kory odpadły od pnia. Kule szatkowały liście, które z trzepotem spadały na dół. Balubas znikł. Ogień uciął nagle i w jego miejsce dało się słyszeć ochrypły z podniecenia

krzyk Hendry'go:

- Dostałem go! Dostałem drania!

- Hendry!- Głos Bruce'a był również ochrypli, tyle że z gniewu.- Kto dał ci rozkaz otworzenia ognia?

- To był cholerny Balubas, wielki skubany Balubas! Nie widziałeś go, co? Nie widziałeś go, człowieku?

- Chodź tu, Hendry!

- Dostałem drania- cieszył się Hendry.

- Jesteś głuchy? Chodź tutaj!

Gdy Hendry zszedł z wagonu i zbliżał się do nich, Bruce zapytał Haiga:

- Trafił go?

- Nie jestem pewien. Nie sędzę, myślę, że zdążył skoczyć. Jeśliby oberwał, odrzuciłoby go do tyłu, wiesz, jak taka seria zbija z nóg.

- Tak- odparł Bruce.- Wiem.

Kula z FN- ki uderzała z siłą przeszło tony. Kiedy trafiło się człowieka, nie można było tego nie zauważyć. A więc Balubas wciąż tam był.

Nadszedł Hendry, śmiejąc się z podniecenia.

- Więc go zabiłeś, co?- zapytał Bruce.

- Martwy jak kamień, jak cholerny kamień!

- Widzisz go?

- Nie, leży przecież w buszu.

- Nie masz ochoty zejść i przyjrzeć mu się, Hendry? Nie masz ochoty na jego uszy?

Uszy były najlepszym trofeum, jakie można było mieć z człowieka; nie tak dobre wprawdzie jak skóra lwa o czarnej grzywie albo wielkie, pokryte guzami rogi bawołu, ale lepsze niż skalp. Wełniste włosy afrykańskiego skkalpu są nieciekawą zdobyczą- trzeba się ubabrać, by go zdjąć i trudno go spreparować. Trzeba go solić i rozciągać skórę na hełmie. Nawet wtedy strasznie śmierdzi. Uszy sprawiają mniej kłopotu, a Hendry był chciwym kolekcjonerem. Nie jedynym zresztą w armii Katangi; odcinanie uszu było powszechną praktyką.

- Tak, chcę je- powiedział Hendry i ściągnął bagnet z lufy karabinu.- Skoczę na dół i przyniosę.

- Nie możesz nikomu pozwolić tam iść, Bruce. Nawet jemu- zaprotestował cicho Haig.



- Dlaczego nie? Zasluguje na to, ciężko na to zapracował.

- Zabierze mi to tylko minutę- rzucił Hendry i kciukiem sprawdził ostrze bagnetu.

„Na Boga! On naprawdę chce to zrobić- pomyślał Bruce- pójdzie w tę płataninę po parę uszu! Nie, on nie jest odważny, jemu po prostu brakuje wyobraźni”.

- Poczekaj chwilę, Bruce. Zaraz będę z powrotem- powiedział Hendry i ruszył.

- Chyba nie myślisz o tym poważnie, Bruce?- zapytał Mike.

- Nie- zgodził się Bruce.- Nie myślę o tym poważnie.

- Jego głos stał się zimny i twardy, gdy chwycił Hendry'ego za ramię i zatrzymał go, mówiąc:- Posłuchaj! Nie masz już żadnych szans. No, może jeszcze jedną. Czekam teraz na ciebie, Hendry. Jeszcze jedna szansa, to wszystko. Tylko jedna.

Twarz Hendry'ego przybrała znowu ponury wyraz.

- Nie popychaj mnie, koziołku.

- Wracaj do pociągu i przeprowadź go przez most- pogardliwie powiedział Bruce i zwrócił się do Haiga:- Teraz musimy zostawić tutaj straż. Wiedzą, że przejechaliśmy na drugą stronę i z pewnością spróbują spalić most.

- Kogo chcesz zostawić?

- Dziesięciu ludzi, powiedzmy pod dowództwem sierżanta. Wrócimy przed nocą, najpóźniej jutro rano. Powinni być całkiem bezpieczni. Wątpię, czy w pobliżu jest jakaś większa grupa wojowników, może kilku zabłąkanych ludzi, główne siły będą bliżej miasta.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Ja też na to liczę- powiedział Bruce, myśląc o zabezpieczeniu mostu.- Ściągniemy z wagonów wszystkie worki z piaskiem i zbudujemy umocnienia na środku drogi, zostawimy dwa reflektory na baterie i skrzynkę rac, jednego Brenna i parę skrzynek granatów. Jedzenia i wody na tydzień. Wydaje się, że powinno im się udać.

Gdy pociąg toczył się powoli w ich kierunku, pojedyncza strzała wyleciała spomiędzy drzew. Uniosła się powoli, zakrzywiając lot i cicho leciała w kierunku pociągu. Bruce podskoczył do barierki i opierając na niej karabin, wystrzelił w stronę dżungli kilka krótkich serii. Strzelał na oślep w zieloną masę. Haig również strzelał, celując w miejsce, skąd nadleciała strzała. Pociąg zrównał się z nimi. Bruce przewiesił karabin przez ramię i wspiął się na ścianę wagonu. Kiedy był na dachu, podszedł do radia.

- Maszynista, zatrzymaj wagony osobowe na środku mostu- rzucił krótko, wyłączył radio

i poszukał Ruffy'ego.

- Sierzancie, zrzućcie wszystkie worki z piaskiem na drogę!

- Okay, szefie- odpowiedział Ruffy.

- Kanaki- Bruce zwrócił się do sierżanta, na którym mógł najbardziej polegać- zostawiam cię tutaj z dziesięcioma ludźmi. Macie utrzymać dla nas most. Weź jednego Brena i dwa reflektory- szybko wydał rozkazy i znalazł czas, by zapytać Andre:- Co się stało z tą strzałą? Czy zraniła kogoś?

- Nie, chybiła o parę cali. Oto ona.

- To się nazywa szczęście.- Bruce wziął strzałę od Andre i przyjrzał się jej.

Lekka trzcina, lotki zrobione z liści, żelazny grot wetknięty w jeden koniec i przymocowany rzemykiem z niewyprawionej skóry... Wyglądała na kruchą i prymitywną, ale cześć grotu była pokryta grubą warstwą ciemnej mazi przypominającej wysuszone toffi.

- Milutka- mruknął Bruce i wzdrygnął się.

Wyobraził sobie strzałę tkwiącą w swoim ciele i truciznę zabarwiającą jego mięśnie na purpurowy kolor. Słyszał, że to nie jest przyjemna śmierć. Nagle poczuł odrazę i obrzydzenie. Złamał strzałę na pół i wyrzucił do rzeki. Potem zeskoczył z wagonu, aby doglądać budowy stanowiska dla strażników mostu.

- Nie wystarczy worków z piaskiem, szefie.

- Ściągnij materace ze wszystkich kuszetek, Ruffy- zdecydował Bruce.- Wypchane włóknem kokosowym i pokryte skórą sienniki z łatwością powstrzymają strzały.

Po piętnastu minutach stanowisko było gotowe. Miało kształt okręgu z sięgających do ramion worków z piaskiem i materaców. Było wystarczająco duże, by pomieścić dziesięciu ludzi ze sprzętem.

- Wrócimy jutro rano, Kanaki. Żadnemu z twoich ludzi nie wolno pod żadnym pozorem opuszczać tego miejsca. Szczeliny między belkami mostu wystarczą do załatwienia potrzeb sanitarnych.

- Będziemy mieli godne pozazdrosczenia wygody, kapitanie. Ale będzie nam brakowało tego, co tak uspokaja.

- Ruffy, zostaw im skrzynkę piwa.

- Całą skrzynkę?!- Ruffy nie krył swej dezaprobaty wobec takiej rozrzutności.

- Czy moje słowo nie wystarczy?

- Wystarczy, szefie- powiedział Ruffy i przeszedł na francuski, by formalnie zaprotestować.- Chodzi mi o ubytek tak cennego towaru!

- Marnujesz czas, Ruffy!

## Rozdział 8

Port Reprieve było oddalone od mostu o trzydzieści mil. Droga przecinała tory jeszcze raz sześć mil przed miastem i nikła w lesie, okrążając wzgórza i docierając łatwiejszą trasą do Port Reprieve. Linia kolejowa wspinała się zygzakiem na wzgórza, dochodząc do szczytu górującego sześćset stóp nad miastem. Na kamiennych zboczach gleba była uboga, toteż roślinność nie rosła tam gęsto, odsłaniając widok.

Stojąc na dachu wagonu, Bruce spoglądał na północny kraniec bagien Lufira, zielonego terenu porośniętego trawą z przebłyskującymi gdzieniegdzie lustrami wody, który nikł w spowodowanej upałem niebieskiej mgiełce. Z południowego krańca bagien wypływała rzeka Lufira- szeroki na pół mili pas głębokiej, oliwkowozielonej wody. Miasto położone było na wrzynającym się w bagno klinie ziemi. Droga biegła groblą przecinającą bagna i łączyła się w mieście z jego jedyną ulicą.

Trzy duże budynki znajdujące się w centrum miasta stały naprzeciwko stacji, której blaszane dachy błyszczały w promieniach słońca. Wokół tych zabudowań rozrzuconych było około pięćdziesięciu krytych strzechą domów mieszkalnych. Przy nabrzeżu portu postawiono długą szopę, z pewnością służącą jako warsztat, za którą znajdowały się dwa pomosty wrzynające się w wodę. Przy nich zacumowane były statki do wydobywania diamentów, trzy z nich wyróżniały się niezgrabnymi, czarnymi kadłubami o wysokich nadbudówkach oraz tępymi dziobami i pawężami. W powietrzu unosiły się wyziewy bagienne.

- Miłe miasteczko, w sam raz dla emerytów- mruknął Mike Haig.

- Albo dla kuracjuszy z sanatorium- rzucił Bruce.

Za groblą, na głównym cyplu, znajdowała się jeszcze jedna grupa budynków; ich dachy były ledwie widoczne ponad lasem. Pośród nich wznosiła się wieża kościelna o miedzianym dachu.

- Misja- domyślił się Bruce.

- Misja Świętego Augustyna- dodał Ruffy.- Młodszy brat mojej pierwszej żony kształcił się tam. Teraz jest attache przy jakimś ministerstwie w Elisabethville i zarabia cholerne pieniądze- pochwalił się sierżant.

- To świetnie- powiedział Bruce.

Pociąg zaczął zygzakiem zjeżdżać ze wzgórz w kierunku miasta.

- Wygląda na to, że nam się udało, szefie.
- Tak się wydaje. Teraz pozostaje nam tylko wrócić.
- Tak jest, zdaje się, że to wszystko, co musimy zrobić.

Pociąg wjechał do miasta. Wzdłuż peronu stało ponad czterdzieści osób przybyłych na powitanie.

„Będziemy mieli spory ładunek w drodze powrotnej”- pomyślał Bruce, przebiegając wzrokiem po zgromadzonym tłumie. Zauważył wyróżniające się jaskrawe suknie kobiet; w sumie naliczył ich cztery. „Jeszcze jedna komplikacja- pomyślał.- Mam nadzieję, że pewnego dnia znajdę wreszcie w tym życiu coś, co będzie przebiegało zgodnie z oczekiwaniami, co będzie się toczyło gładko i równo aż do logicznego zakończenia. Mam tylko nadzieję, jakąś cholerną nadzieję”.

Na twarzach ludzi zgromadzonych na peronie widać było radość i ulgę. Kobiety płakały; mężczyźni niczym młodzi chłopcy biegli za wjeżdżającym na peron pociągiem. Bruce zauważył, że byli to głównie miejscowi. Różnili się kolorem skóry: jedni byli kremowo- żółci, inni czarni jak węgiel. Belgowie na pewno zostawili po sobie wiele pamiątek, które nieprędko pójda w zapomnienie.

Jakiś starszy półkrwi Belg, niezbyt dzielący ogólną radość, stał nieco z dala od wiwatującego tłumu. Było w nim coś, co wskazywało niezłomie, że jest to człowiek o dużym autorytecie. Obok niego stała tęża kobieta w zbliżonym do niego wieku, o nieco ciemniejszej skórze. Bruce domyślił się natychmiast, że była jego żoną. Po drugiej stronie mężczyzny spostrzegł jeszcze jedną osobę w białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i w niebieskich dzinsach. Z początku wziął ją za chłopaka, ale kiedy przyjrzał się dokładniej, zobaczył długie ciemne włosy opadające na plecy i niemęskie wypukłości pod białą koszulą.

Pociąg zatrzymał się i Bruce zeskoczył na peron. Uśmiechając się przebrnął przez tłum i podszedł do Belga. Ten rzucił mu się na szyję i gorąco ucałował. Nie golił się przez dwa lub trzy dni, a jego oddech było czuć czosnkiem i tanim tytoniem. Bruce nie był przyzwyczajony do takiego okazywania uczuć.

- Niech dobry Bóg ma pana w swej opiece, monsieur capitaine, za to, że przybył nam pan z odsieczą- powiedział Belg, poznając jego stopień po czterech gwiazdkach na hełmie.

Bruce oczekiwał kolejnego pocałunku, z ulgą więc przyjął serdeczny uścisk dłoni.

- Mogę się tylko cieszyć, że zjawiliśmy się na czas- odparł.

- Pozwoli pan, że się przedstawię: Martin Boussier, kierownik oddziału Union Miniere Corporation. A to jest moja żona, madame Boussier- powiedział Belg.

Był wysokim mężczyzną, ale w przeciwieństwie do żony nie miał zbyt dużo ciała. Włosy miał zupełnie siwe, a skórę pomarszczoną, stwardniałą i mocno opaloną- wynik życia pod równikowym słońcem. Bruce polubił go natychmiast. Pani Boussier przygmiotła go swoją masą i serdecznie ucałowała. Pachniała dobrym mydłem.

- Niech mi będzie wolno przedstawić także madame Cartier- powiedział Belg.

Bruce teraz dopiero przyjrzał się uważnie dziewczynie. Jego umysł zarejestrował równocześnie kilka rzeczy: jasny odcień skóry, wielkie oczy, które zdawały się zajmować połowę twarzy, a także nieświadomie prowokujący kształt jej ust. Zauważył też użycie słowa „madame” przed jej nazwiskiem.

- Kapitan Curry, Siły Zbrojne Katangi- przedstawił się Bruce.

„Jest za młoda na mężatkę, nie może mieć więcej jak siedemnaście lat- pomyślał.- Jest wciąż tak świeża jak mała dziewczynka. Założę się, że pachnie jak szczeniak, który ssie mleko”.

- Dziękuję, że pan przyjechał.

Jej głos był lekko ochryply, jak gdyby miała ochotę zaraz się roześmiać. Bruce dodał jakieś trzy lata do poprzedniej oceny wieku. To nie był głos małej dziewczynki, długie nogi zakryte džinsami także nie należały do małej dziewczynki. Małe dziewczynki mają też mniej podkoszulą. Spojrzał ponownie na jej twarz i wtedy zauważył, że policzki młodej kobiety zaróżowiły się, a w oczach pojawiły się iskierki gniewu.

„Na Boga- pomyślał- zachowuję się jak marynarz po długim rejsie”. Szybko przeniósł uwagę z powrotem na Boussiera, ale gardło miał nadal ściśnięte, gdy zapytał:

- Ilu was jest?

- Czterdziestu dwóch, w tym pięć kobiet i dwoje dzieci. Bruce kiwnął głową- tak przypuszczał. Kobiety mogły podróżować w jednym z wagonów pasażerskich. Odwrócił się i obejrzał stację.

- Czy jest tutaj obrotnica, na której moglibyśmy zawrócić lokomotywę?- zapytał Boussiera.

- Nie, kapitanie.

Będą musieli jechać w odwrotnym szyku aż do węzła Msapa- kolejna komplikacja. Trudniej będzie kontrolować biegnące przed nimi tory. Oznaczało to również niewygodną podróż

w tumanach sadzy.

- Jakie środki ostrożności przedsięwzięto na wypadek ataku, monsieur?

- Są one niewystarczające, kapitanie- przyznał Boussier.

- Brakuje mężczyzn do obrony miasta; większość mieszkańców wyjechała, zanim znaleźliśmy się w tej krytycznej sytuacji. Wobec tego rozstawiłem strażę na wszystkich drogach dojazdowych do miasta i umocniłem hotel, jak tylko potrafiłem najlepiej. Tam właśnie zamierzaliśmy się schronić w przypadku ataku.

Bruce ponownie skinął głową i spojrzał na słońce. Stawało się coraz bardziej czerwone- brakowało jeszcze godziny, może dwóch do zapadnięcia zmroku.

- Monsieur, jest już za późno, aby ulokować wszystkich pańskich ludzi w pociągu i wyruszyć przed nocą. Zamierzam załadować dziś wieczorem ich dobytek. Zostaniemy tu na noc i ruszymy wcześniej rano.

- Wszyscy pragniemy opuścić to miejsce jak najprędzej. Dwukrotnie widzieliśmy duże grupy Balubasów na skraju dżungli.

- Rozumiem- odparł Bruce.- Ale niebezpieczeństwo jazdy nocą jest znacznie większe niż niebezpieczeństwo związane z czekaniem przez kolejnych dwanaście godzin.

- Decyzja należy do pana- zgodził się Boussier.- Co mamy teraz zrobić?

- Proszę dopilnować załadowania rzeczy. Z przykrością muszę podkreślić, że zabrać można tylko najbardziej niezbędne przedmioty. Pociąg będzie musiał pomieścić prawie stu ludzi.

- Dopilnuję tego osobiście- zapewnił Boussier.- A co potem?

- Czy to ten hotel?- Bruce wskazał na duży, dwupiętrowy budynek stojący po drugiej stronie ulicy, oddalony o dwieście jardów od miejsca, w którym stali.

- Tak, kapitanie.

- To dobrze- powiedział Bruce.- Jest wystarczająco blisko. Pańscy ludzie mogą tam spędzić noc w wygodniejszych warunkach niż w pociągu.

Spojrzał jeszcze raz na dziewczynę. Obserwowała go, uśmiechając się nieznacznie. Ten uśmiech wywołał wrażenie niemal matczynego rozbawienia, jak gdyby patrzyła na małego chłopca bawiącego się żołnierzami. Tym razem Bruce się zdenerwował. Jego wojskowy strój wprowadził go nagle w zakłopotanie- czuł się niezręcznie w mundurze z epoletami, z pistoletem u boku i ciężkim hełmie na głowie.

- Będę potrzebował kogoś, kto zna teren. Chcę sprawdzić wasze punkty obronne- zwrócił

się do Boussiera.

- Madame Cartier mogłaby pana oprowadzić- zaproponowała żona Boussiera.

„Ciekawe, czy zauważyła nasze spojrzenia- pomyślał Bruce.- Z pewnością zauważyła. Wszystkie kobiety są bardzo wyczulone na te sprawy”.

- Pomożesz panu kapitanowi, Shermaine?- zapytała madame Boussier.

- Jak pan kapitan sobie życzy- dziewczyna uśmiechnęła się.

- A więc to mamy już załatwione- burknął Bruce.- Spotkam się z panią w hotelu za dziesięć minut, muszę jeszcze zorganizować parę rzeczy tutaj.- Bruce zwrócił się znowu do Boussiera:- Może pan zacząć załadunek- powiedział i wrócił do pociągu.- Hendry!- krzyknął- ty i de Sumer zostaniecie w pociągu. Wyjeżdżamy dopiero rano, ale ci ludzie zapakują swoje rzeczy już teraz. Ustaw reflektory tak, by oświetlały tor po obu stronach. Upewnij się też, czy Breny są rozmieszczane prawidłowo.

Hendry spojrział na Bruce'a i mruknął coś, co brzmiało jak potwierdzenie.

- Mike, weź dziesięciu ludzi i idźcie do hotelu. Chcę, żebyście tam byli na wypadek jakichś kłopotów w nocy.

- Okay, Bruce.

- Ruffy.

- Tak jest!

- Weź grupkę ludzi i pomóż maszyniście uzupełnić zapas paliwa.

- Okay, szefie. Aha, szefie!

- Tak?- Bruce odwrócił się do niego.

- Kiedy pójdzie pan do hotelu, może rozejrzy się pan trochę i zobaczy, czy nie ma tam piwa, co? Nasze jest już na wykończeniu.

- Będę o tym pamiętał.

- Dzięki, szefie.- Ruffy odetchnął z ulgą.- Za nic w świecie nie chciałbym zdechnąć z pragnienia w tej dziurze.

Ludzie wracali do hotelu. Shermaine szła z Boussierami. Nagle Bruce usłyszał głos Hendry'ego:

- Chryste, zobaczcie, co ta ślicznotka ma pod spodniami! Cokolwiek to jest, jedno jest pewne, jest to okrągłe i składa się z dwóch części, które poruszają się, jakby nie należały do jednej całości.



- Nie masz nic do roboty, Hendry?- zapytał szorstko Bruce.

- O co chodzi, Curry?- zapytał z drwiną w głosie Hendry.- Sam masz zamiary wobec niej.

Czy o to chodzi, koziołku?

- To męzatka- rzucił Bruce i natychmiast zdziwił się, że to powiedział.

- No pewnie- zaśmiał się Hendry.- Wszystkie najlepsze to męzatki. To nie ma znaczenia, żadnego cholernego znaczenia!

- Ruszaj do roboty- warknął Bruce i dodał, zwracając się do Haiga:- Gotowy? To chodź ze mną.

## Rozdział 9

Gdy przyszedli do hotelu, Boussier czekał już na nich na werandzie. Wziął Bruce'a na bok i powiedział cicho:

- Monsieur, nie chciałbym, żeby pan myślał, że wpadam w panikę, ale otrzymałem wiele niepokojące wiadomości. Z północy zbliżają się bandyci uzbrojeni w nowoczesną broń. Ostatnie raporty mówią, że splądrowali misję Senwati położoną trzysta kilometrów na północ.

- Tak- Bruce kiwnął głową.- Słyszałem o nich przez radio.

- Zatem zdaje pan sobie sprawę, że w każdej chwili możemy ich tutaj oczekiwać.

- Nie sądzę, by pojawili się wcześniej niż jutro po południu. Do tego czasu powinniśmy być już daleko, w drodze do węzła Msapa.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli, monsieur. Okrucieństwa, których dopuścił się ten ich generał Moses w Senwati, przekraczają ludzkie pojecie. Wydaje się, że w tym człowieku drzemie niemal patologiczna nienawiść do wszystkich, którzy są z pochodzenia Europejczykami.- Boussier zawahał się chwilę, po czym kontynuował:- W Senwati było dwanaście białych zakonnic. Słyszałem, że ci. bandyci...

- Tak- przerwał mu Bruce; nie chciał tego słuchać.

- Wyobrażam sobie. Niech pan spróbuje zapobiec rozprzestrzenianiu się tych historii wśród pańskich ludzi. Nie chcę, aby wpadli w panikę.

- Oczywiście- kiwnął głową Boussier.

- Czy orientuje się pan, jaką siłą dysponuje generał Moses?

- Nie większą niż stu ludzi; ale, jak już mówiłem, są nowocześnie uzbrojeni. Słyszałem nawet, że mają ze sobą jakieś działo, chociaż myślę, że to raczej niemożliwe. Przemieszczają się z miejsca na miejsce skradzionymi samochodami. W Senwati zdobyli samochód cysternę wypełniony benzyną, należący do przedsiębiorstw naftowych.

- Rozumiem- rzucił Bruce, zatopiony we własnych myślach.- Ale to nie zmienia mojej decyzji, zostajemy tutaj na noc. Musimy jednak wyjechać jutro o brzasku.

- Jak pan sobie życzy, kapitanie.

- Teraz natomiast- Bruce zmienił temat- potrzebuję jakiegoś środka transportu. Czy tamten samochód jest na chodzie?- wskazał na jasnozielonego Forda Ranchero zaparkowanego obok werandy.

- Zgadza się. Należy do mojego przedsiębiorstwa- Boussier wyciągnął z kieszeni kluczyki i podał je Bruce'owi.- Oto kluczyki. Bak jest pełen

- Dobrze- powiedział Bruce.- Gdybyśmy jeszcze tylko mogli znaleźć madame Cartier...

Czekała w holu hotelowym i wstała, gdy tylko Bruce z Boussierem razem weszli.

- Jest pani gotowa, madame?

- Spełnię każde pańskie życzenie- odparła.

Bruce spojrział na nią ostro. Ledwie widoczny błysk w jej ciemnoniebieskich oczach sugerował, że była świadoma podwójnego znaczenia swych słów.

Wyszli z hotelu i skierowali się do Forda. Bruce otworzył drzwi i przytrzymał je, gdy wsiadała.

- Jest pan nazbyt łaskawy, monsieur- podziękowała mu i wśliznęła się na siedzenie.

Bruce obszedł samochód i zajął miejsce za kierownicą.

- Jest już prawie ciemno- zauważył.

- Proszę skrócić w prawo, na drogę wiodącą do węzła Msapa. Znajduje się tam posterunek.

Prowadził samochód zakurzoną drogą wiodącą przez miasto, aż dojechali do ostatniego domu przed groblą.

- Tutaj- powiedziała dziewczyna i Bruce zatrzymał się. Posterunek był obsadzony przez dwóch ludzi uzbrojonych w karabinki sportowe. Kiedy ich zagadnął, okazało się, że nie zauważyli nic niepokojącego, mimo to obaj byli bardzo zdenerwowani. Bruce podjął decyzję.

- Wracajcie do hotelu. Balubasi na pewno zauważyli wjeżdżający pociąg. Jest ich za mało, żeby zaatakować, więc dzisiejszej nocy będziemy bezpieczni, ale mogą spróbować poderżnąć parę gardeł, jeśli zostawimy was tutaj.

Dwaj mężczyźni zabrali swoje rzeczy i ruszyli w kierunku centrum miasta. Było im wyraźnie lżej na sercu.

- Gdzie są pozostali?- zapytał Bruce dziewczynę.

- Następny posterunek znajduje się przy pompowni na brzegu rzeki, jest tam trzech ludzi.

Bruce ruszył, kierując się jej wskazówkami. Raz czy dwa razy podczas jazdy spojrział na nią ukradkiem. Siedziała cicho z podwiniętymi nogami. Zauważył, że była bardzo spokojna. „Lubię kobiety, które nie są nerwowe. To uspokaja”- pomyślał. Dziewczyna uśmiechnęła się. „To już nie uspokaja- pomyślał.- To jest niepokojące jak cholera!” Nagle ona odwróciła się i

znów przyłapała Bruce'a, jak się w nią wpatrywał. Uśmiechnęła się.

- Pan jest Anglikiem, prawda, kapitanie?

- Nie, Rodezyjczykiem- odparł Bruce.

- To to samo- powiedziała.- Mówi pan po francusku tak fatalnie, że wydawało mi się, iż musi pan być Anglikiem.

Bruce roześmiał się.

- Może pani angielski jest lepszy niż mój francuski- rzucił prowokująco.

- Nie mógłby być dużo gorszy- dziewczyna odpląciła pięknym za nadobne.- Jest pan inny, kiedy pan się śmieje- dodała.- Nie taki groźny, nie taki bohaterski... Proszę skrócić w następną drogę w prawo.

Bruce skierował Forda w kierunku portu.

- Jest pani bardzo szczerza- powiedział.- Ponadto pani angielski jest doskonały.

- Pali pan?- zapytała, a kiedy kiwnął twierdząco głową, zapaliła dwa papierosy i podała mu jednego.

- Jest pani bardzo młoda jak na osobę palącą i mężatkę. Dziewczyna przestała się uśmiechać i zdjęła nogi z siedzenia.

- To jest pompownia- powiedziała.

- Bardzo panią przepraszam. Nie powinienem był tego mówić.

- To nie ma znaczenia.

- Zachowałem się bezczelnie- sprzeciwił się Bruce.

- To nieistotne.

Bruce zatrzymał samochód i otworzył drzwi. Wszedł na drewniany pomost i skierował się w stronę pompowni. Deski pomostu dudniły głucho pod jego ciężkimi butami. Od trzcin posuwała się mgła, obejmując powoli port. Żaby rechotały w różnych tonacjach.

- Może zdążycie wrócić do hotelu zanim zapadnie zmrok, jeśli się pośpieszycie- zwrócił się do trójki mężczyzn.

- Oui, monsieur- odpowiedzieli.

Bruce patrzył, jak ruszają drogą. Zapalił silnik i usłyszał głos dziewczyny, starającej się przekrzyczeć hałas:

- Jak panu na imię, kapitanie Curry?

- Bruce.

Powtórzyła imię, wymawiając je jak „bruz” i zapytała:

- Dlaczego jesteś żołnierzem?

- Jest wiele powodów.- Ton jego głosu był swobodny.

- Nie wyglądasz na żołnierza, mimo wszystkich tych odznak i broni, mimo tej surowości.

- Może nie jestem zbyt dobrym żołnierzem.- Bruce uśmiechnął się do dziewczyny.

- Jesteś bardzo srogi, chyba że się śmiejesz. Ale cieszę się, że nie wyglądasz jak żołnierz, choć jesteś bardzo sprawny- dodała.

- Gdzie jest następny posterunek?

- Przy torach. Jest tam dwóch ludzi. Skręć w prawo na szczycie, Bruce.

- Ty również jesteś bardzo sprawna, Shermaine- powiedział Bruce.

Zamilkli oboje, po tym, jak nazwali siebie po imieniu. Bruce czuł, jak między nimi powstaje przyjemne, ciepłe uczucie. „Ale co z jej mężem- pomyślał.- Ciekawe, gdzie on jest? Jak wyglądał? Dlaczego nie ma go z nią?”

- Nie żyje- powiedziała cicho.- Zmarł na malarię cztery miesiące temu.

Zaskoczony zarówno faktem, że Shermaine odpowiedziała na jego nie wypowiedziane pytanie, jak i samą odpowiedzią, Bruce przez chwilę nie był w stanie wykrztusić słowa. W końcu wybąkał:

- Przykro mi.

- Jesteśmy przy posterunku- powiedziała.- To ten domek pokryty strzechą.

Bruce zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Po chwili milczenia Shermaine odezwała się pierwsza:

- Był taki łagodny. Znałam go tylko przez kilka miesięcy, ale był dobrym człowiekiem.

Wyglądała na bardzo kruchą istotę, siedząc tak obok Bruce'a w pogłębiającej się ciemności. Była smutna i Bruce poczuł, jak wzbiera w nim fala czułości. Chciał objąć ją ramieniem, ochronić przed smutkiem. Chciał coś powiedzieć, ale zanim zdążył to zrobić, Shermaine otrząsnęła się z przygnębiającego nastroju i powiedziała trzeźwo:

- Musimy się pośpieszyć, jest już ciemno.

Hol hotelowy wypełniony był pracownikami Boussiera. Haig umieścił Brena w oknie na piętrze, aby mieć pod ostrzałem główną ulicę i postawił dwóch ludzi w kuchni, by osłaniali tyły. Cywile zbili się w grupki, rozmawiając cicho. Ich twarze, gdy zwracali je ku Bruce'owi, wyrażały niemal psie zaufanie, co wprawiało go w niemal zakłopotanie.

- Wszystko w porządku, Mike?- zapytał szorstko.

- Tak, Bruce. Powinniśmy poradzić sobie z utrzymaniem tego budynku w przypadku niespodziewanego ataku. De Sumer i Hendry również nie powinni mieć kłopotów z pilnowaniem pociągu.

- Czy ci ludzie załadowali już swoje bagaże?- zapytał Bruce, wskazując na cywilów.

- Tak, wszystko jest już w pociągu. Kazałem Ruffy'emu rozdać im żywność z naszych zapasów.

- Dobrze.- Bruce odczuł ulgę.- Jak dotąd żadnych komplikacji.

- Gdzie jest staruszek Boussier?

- W swoim biurze, po drugiej stronie ulicy.

- Idę z nim pogadać.

Nie proszona, Shermaine znalazła się obok Bruce'a wychodzącego na ulicę. Mimo to był z tego zadowolony.

Kiedy weszli do biura, Boussier uniósł głowę znad papierów. Zimny blask lampy jarzeniowej podkreślał kurze łapki w kącikach jego oczu i zmarszczki wokół ust oraz obnażał prześwitującą przez , gładko zaczesane włosy różową skórę czaszki.- Martin, ciągle jeszcze pracujesz!- zawołała Shermaine.

Boussier uśmiechnął się do niej łagodnie i uspokajająco, jak może się uśmiechać tylko starszy człowiek, i powiedział:

- Niezupelnie, moja droga; po prostu porządkuję kilka spraw. Proszę usiąść, kapitanie.- Obszedł stół i zdjął z krzesła stos ciężkich, oprawionych w skórę ksiąg rachunkowych i włożył je do drewnianego pudła stojącego na podłodze. Potem wrócił na swoje miejsce, wysunął szufladę z biurka i wyjął z niej pudełko cygar, proponując jedno Bruce'owi.- Nie wyobraża pan sobie, jaką ulgę odczuwam teraz, kiedy pan jest tutaj z nami, kapitanie. Ostatnie miesiące były bardzo wyczerpujące. Żyliśmy w zwątpieniu, w niepokoju.- Boussier zapalił zapałkę, podając ogień Bruce'owi, który pochylił się nad biurkiem i zapalił cygaro.- Ale teraz koniec z tym. Czuję się tak, jak gdyby ktoś zdjął mi z ramion wielki ciężar- wyznał i dodał surowszym tonem:- Ale nie bardzo się śpieszyliście! W ciągu ostatniej godziny słyszałem, że generał Moses i jego kolumna opuścili Senwati, kierując się na południe, a obecnie znajdują się około dwustu kilometrów na północ od Port Reprieve. Jeśli będą poruszać się w tym tempie, zjawią się tutaj już jutro.

- Skąd pan to wie?- zapytał Bruce.

- Od jednego z moich ludzi. Proszę mnie nie pytać, skąd on o tym słyszał. W tym kraju istnieje system porozumiewania się, którego nawet ja, po tylu latach, nie rozumiem. Może chodzi o tam- tamy, które słyszałem wieczorem, nie wiem. Jedno jest pewne: można zwykle polegać na tego typu informacjach.

- Nie sędzę, że są tak blisko- mruknął Bruce.- Gdybym był tego pewien, zaryzykowałbym podróż nocą, przynajmniej do mostu.

- Myślę, że pańska decyzja o pozostaniu tutaj na noc jest słuszna. Generał Moses nie będzie przemieszczał się pod osłoną ciemności, żaden z jego ludzi nie zaryzykowałby tego. A ponadto stan drogi z Senwati do Port Reprieve po trzymiesięcznym zaniedbaniu jest taki, że będą potrzebowali dziesięciu albo dwudziestu godzin, by przebyć tę odległość.

- Mam nadzieję, że ma pan rację- powiedział zdenerwowany Bruce.- Nie jestem pewien, czy nie powinniśmy jednak wyruszyć.

- To również pociąga za sobą ryzyko, kapitanie- rzekł Boussier.- Wiemy, że w pobliżu miasta znajdują się jakieś plemiona. Widziano je. Wiedzą już pewnie o pańskim przybyciu i mogli z łatwością zniszczyć tory, aby uniemożliwić nam wyjazd. Myślę, że pańska pierwotna decyzja jest słuszna.

- Wiem.- Bruce wychylił się ze swojego krzesła, marszcząc brwi. W końcu wyprostował się i mars zniknął z jego czoła.- Nie mogę podjąć takiego ryzyka. Postawię straż na grobli i jeśli Moses pojawi się, możemy go tam przetrzymać wystarczająco długo, by umożliwić pańskim ludziom zajęcie miejsc w pociągu.

- Jest to prawdopodobnie najlepsze rozwiązanie- zgodził się Boussier. Zamilkł na chwilę i rzucił wzrokiem na otwarte okna, po czym, zniżając głos, powiedział:- Jest jeszcze jeden problem, kapitanie, na który chciałbym zwrócić pańską uwagę.

- Tak?

- Jak pan wie, działalność mego przedsiębiorstwa w Port Reprieve skupia się na wydobywaniu diamentów z bagien Lufira.

Bruce skinął głową.

- W moim sejfie- Boussier wskazał kciukiem na ciężkie stalowe drzwi wbudowane w ścianę za biurkiem- znajduje się dziewięć i pół tysiąca karatów diamentów jubilerskich i około dwudziestu sześciu tysięcy karatów diamentów przemysłowych.

- Oczekiwałem tego- powiedział Bruce spokojnym, opanowanym głosem.

- Proponuję, abyśmy uzgodnili kwestię transportu tych kamieni.

- Jak są zapakowane?- zapytał Bruce.

- W jednej drewnianej skrzynce.

- Jaki jest jej rozmiar i waga?

- Pokażę ją panu.

Boussier podszedł do sejfu, odwrócił się plecami do Bruce'a i Shermaine i po chwili usłyszeli charakterystyczny dźwięk zamka cyfrowego. Bruce uzmysłowił sobie nagle, że od chwili wejścia do biura Shermaine nie powiedziała ani jednego słowa. Spojrzał na nią- ona odwzajemniła mu się uśmiechem. „Lubię kobiety, które wiedzą kiedy mają trzymać buzię na kłódkę”- pomyślał.

Boussier otworzył drzwi do sejfu, wyciągnął małą drewnianą skrzynkę i postawił ją na biurko.

- Oto ona- powiedział.

Bruce przyjrzał się jej uważnie. Długa na osiemnaście cali, wysoka na dziewięć i szeroka na dwanaście. Podniósł ją.

- Waży jakieś dziesięć kilo- stwierdził.- Wieko jest zaplombowane.

- Zgadza się- powiedział Boussier, dotykając czterech woskowych pieczęci.

- Dobrze.- Bruce kiwnął głową.- Nie chciałbym robić wokół tych kamieni niepotrzebnego zamieszania, umieszczając przy nich straż.

- Ma pan rację.

Bruce przyglądał się skrzynce przez kolejne kilka sekund, po czym zapytał:

- Jaka jest wartość tych diamentów? Boussier wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie pięćset milionów franków.

Bruce był pod wrażeniem: pół miliona funtów szterlingów! Warto było je ukraść, warto było dla nich zabić...

- Proponuję, monsieur, aby ukrył pan tę skrzynkę w swoim bagażu. Powiedzmy, między pańskimi rzeczami. Wątpię, aby ktokolwiek próbował ukraść diamenty, zanim dojedziemy do węzła Msapa. Złodziej nie będzie w stanie z nimi uciec. Kiedy osiągniemy węzeł Msapa, postaram się zabezpieczyć je w inny sposób.

- Jak pan sobie życzy, kapitanie. Bruce wstał i spojrział na zegarek.

- Już siódma. Zostawię pana i sprawdzę straż na grobli. Proszę się upewnić, że jutro przed



świttem pańscy ludzie będą gotowi do zajęcia miejsc w pociągu.

- Oczywiście.

Bruce spojrział na Shermaine i dziewczyna podniosła się szybko. Przytrzymał jej drzwi, gdy wychodziła, i już miał udać się w jej ślady, kiedy coś przyszło mu do głowy.

- Przypuszczam, że misja Świętego Augustyna, jest obecnie nie zamieszкана.

- Niezupełnie.- Boussier spojrział na niego zmieszany.- Przebywa w niej jeszcze ojciec Ignatius razem z pacjentami w szpitalu misyjnym.

- Dziękuję, że mi pan o tym mówi- powiedział cierpko Bruce.

- Przepraszam, kapitanie. Wyleciało mi to z głowy, muszę myśleć o tylu rzeczach.

- Czy wiesz, jak dojechać do misji?- Bruce zwrócił się ostro do Shermaine. To ona powinna była mu o niej powiedzieć.

- Tak, Bruce.

- W takim razie powinnaś sprawdzić się chociaż jako przewodnik.

- Oczywiście.- Shermaine również czuła się nieswojo. Bruce trzasnął drzwiami biura i poszedł w kierunku hotelu.

Shermaine prawie biegła, aby za nim nadążyć. „Nie można na nikim polegać- pomyślał.- Absolutnie na nikim!” W tym momencie zobaczył Ruffy'ego nadchodzącego ze stacji. „W zapadających ciemnościach wygląda jak wielki niedźwiedź. No, prawie jak niedźwiedź”- poprawił się Bruce.

- Sierżancie- zwrócił się do Ruffy'ego.

- Słucham, szefie.

- Generał Moses jest bliżej miasta niż przypuszczamy. Zawiadomiono mnie, że znajduje się obecnie jakieś dwieście kilometrów na północ od Port Reprieve, poruszając się drogą z Senwati.

Ruffy gwizdnął przez zęby i powiedział:

- Zamierza pan wyruszyć teraz, szefie?

- Nie. Chcę, aby ustawiono karabin maszynowy przy tym końcu grobli. Jeśli nadjadą, można ich tam trzymać wystarczająco długo, aby mieć czas na szybką ewakuację. Obejmiesz dowództwo nad tym stanowiskiem, Ruffy.

- Zaraz się tym zajmę.

- Wyjeżdżam do misji, jest tam jeszcze biały misjonarz. Porucznik Haig dowodzi pod

moją nieobecność.

- Okay, szefie.

## Rozdział 10

- Przepraszam, Bruce. Powinna była powiedzieć ci o misji- szepnęła Shermaine. Skruszona, wyglądała na małą dziewczynkę siedzącą tak w kącie kabiny.

- Nie przejmuj się- rzucił Bruce, mając na myśli coś zupełnie przeciwnego.

- Próbowaliśmy nakłonić ojca Ignatiusa, aby przeniósł się do miasta. Martin rozmawiał z nim wielokrotnie, ale on uparł się pozostać w ośrodku misyjnym.

Bruce nie odpowiedział. Prowadząc uważnie, skierował samochód na groble. Opary mgły podniosły się z bagien i snuły się nad betonową rampą. Małe owady podobne do pocisków smugowych wlatywały w świetle reflektorów przed przednią szybą, by się o nią rozbić. Chór żab z bagien rechotał i buczał ogłuszająco.

- Powiedziałam: przepraszam- powtórzyła Shermaine.

- Tak, słyszałem- odparł Bruce.- Nie musisz robić tego jeszcze raz.

Milczała chwilę, po czym zapytała po angielsku:

- Czy zawsze wpadasz w taki zły humor?

- „Zawsze”- warknął Bruce- jest jednym z paru słów, które powinno się wyrzucić ze słownika!

- Ponieważ jednak tak się nie stało, będę go nadal używać. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie: czy zawsze wpadasz w taki zły humor?

- Po prostu nie lubię bajzlu.

- Co to znaczy: bajzlu?

- To jest to, co się właśnie stało: błąd, pomyłka, bałagan, sytuacja spowodowana przez nieudolność lub nierobienie użytku z mózgu.

- Ty nigdy nie robisz bajzlu, Bruce?

- Nie jest to zbyt ładne wyrażenie, Shermaine. Wytworne młode damy nie używają takich słów.- Bruce przeszedł na francuski.

- Nigdy nie popełniasz błędów?- poprawiła się.

Bruce nie odpowiedział. „To śmieszne- pomyślał.- Nigdy nie robię błędów! Bruce Curry, bajzel numer jeden!”

Shermaine położyła dłoń na wysokości serca i wyprostowała się.

- Bonaparte- powiedziała.- Zimny, cichy, skuteczny.

- Tego nie powiedziałem.

Bruce zaczął się bronić i w tym momencie w słabym świetle bijącym od deski rozdzielczej zauważył figlarny wyraz na twarzy Shermaine. Nie mógł się powstrzymać- musiał się też uśmiechnąć.

- W porządku, zachowuję się jak dziecko.

- Masz ochotę na papierosa?- zapytała.

- Tak, wielką.

Zapaliła papierosa i podała mu.

- Nie lubisz...- zawahała się i dokończyła- błędów. Czy jest wobec tego coś, co lubisz?

- Lubię wiele rzeczy- odparł Bruce.

- Jakie, powiedz mi.

Zjechali z grobli i Bruce przyspieszył, kierując się wzdłuż brzegu rzeki.

- Lubię być w górach, kiedy wieje wiatr; lubię też zapach morza. Lubię Sinatrę, szklaneczkę brandy, sałatkę z langusty i śmiech małej dziewczynki. Lubię zaciągać się papierosem zapalonym od ogniska, zapach jaśminu i dotyk jedwabiu. Uwielbiam spać do południa i osaczać hetmana skoczkiem. Cienie ścielące się na podszyciu leśnym sprawiają mi wiele radości. Uwielbiam oczywiście pieniądze. A nade wszystko lubię kobiety, które nie zadają zbyt wielu pytań.

- Czy to już wszystko?

- Nie, to tak na początek.

- A poza... błędami czego jeszcze nie lubisz?

- Kobiet, które za dużo pytają- odpowiedział, widząc, jak Shermaine się uśmiecha.- Egoizmu, z wyjątkiem mojego własnego, zupy z rzepy, polityki, jasnych włosów łonowych, szkockiej whisky, muzyki klasycznej i kaca.

- Jestem pewna, że to nie wszystko.

- Nie, niezupełnie.

- Jesteś bardzo zmysłowy. Wszystkie te rzeczy, o których mówiłeś, oddziałują silnie na zmysły.

- Zgadza się.

- Nie wymieniłeś w ogóle ludzi. Dlaczego?

- Czy tutaj mam skrócić?

- Tak. Jedź wolno, droga jest w kiepskim stanie. Dlaczego nie mówisz nic o swoich stosunkach z innymi ludźmi?

- Dlaczego zadajesz tyle pytań? Może kiedyś opowiem ci o tym.

Shermaine zamilkła na chwilę, po czym powiedziała miękko:

- A czego chcesz od życia? Czy tylko tych rzeczy, o których mówiłeś? Czy to wszystko, czego pragniesz?

- Nie, nie pragnę nawet tych wszystkich rzeczy, o których wspomniałem. Nie chcę niczego, absolutnie niczego! W ten sposób nie spotka mnie rozczarowanie i zawód.

Nagle Shermaine poczuła irytację i powiedziała gniewnie:

- Nie tylko zachowujesz się jak dziecko, ale również mówisz tak, jakbyś miał sześć lat.

- Aha, jest jeszcze jedna rzecz, której nie lubię: krytykowania mojej osoby.

- Jesteś młody. Jesteś inteligentny, przystojny...

- O, teraz już lepiej!

- ...i głupi.

- No, to już nie jest takie miłe. Ale nie martw się tym.

- Nie bój się, nie będę!- krzyknęła.- Możesz...- zawahała się, szukając mocniejszych słów- możesz skoczyć do jeziora i zatopić się!

- Chyba „utopić się”?

- Utopić się, zatopić się, wtopić się, obojętnie!

- Dobrze, cieszę się, że już to ustaliliśmy. Przed nami misja. Widzę światło.

Shermaine nie odpowiedziała; siedziała w kącie kabiny i oddychała ciężko, zaciągając się papierosem tak mocno, że jego żarzący się koniec oświetlał wnętrze samochodu.

Kościół był pogrążony w ciemności. Za nim, nieco z boku, majaczył długi, niski budynek. Bruce zauważył cień przemykający za jednym z okien.

- Czy to jest szpital?

- Tak- powiedziała ostro.

Bruce zatrzymał Forda obok małej werandy i wyłączył światła oraz silnik.

- Idziesz ze mną?- zapytał.

- Nie.

- Chciałbym, abyś mnie przedstawiła ojcu Ignacjuszowi. Przez chwilę Shermaine nie wykonała żadnego ruchu, potem otworzyła gwałtownie drzwi pojazdu i skierowała się na stopnie

prowadzące na werandę, nie oglądając się na Bruce'a.

Poszedł za nią. Przeszli przez biuro, a potem korytarzem obok kliniki i małej sali operacyjnej dostali się na oddział.

- A, madame Cartier.- Ojciec Ignatius pochyla! się właśnie nad jednym z łóżek, ale kiedy zobaczył Shermaine, wyprostował się i podszedł do niej.- Słyszałem, że pociąg niosący pomoc przybył do Port Reprieve. Myślałem, że już jesteście w drodze.

- Jeszcze nie, ojcze. Wyruszamy jutro rano.

Ignatius był chudym, wysokim mężczyzną. Według szacunku Bruce'a miał jakieś sto osiemdziesiąt pięć do stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu. Ze względu na klimat rękawy jego brązowego habitu były obcięte. Nagie ramiona, bardzo kościste, bezwłose, pokryte były wyraźnie widocznymi, niebieskimi żyłkami. Miał wielkie, chude ręce i takie same wielkie, chude stopy obute w brązowe sandały.

Jak większość wysokich i szczupłych ludzi Ignatius był przygarbiony. Jego twarz nie zapadała w pamięć- była przeciętna; przesłaniały ją okulary w metalowej oprawce osadzone na prostym nosie. Trudno było określić jego wiek. Przyczyniały się do tego jego włosy nie posrebrzone jeszcze siwizną. Emanował jednak od niego ten niespieszny spokój, który często można znaleźć w słudze bożym. Zwrócił się teraz do Bruce'a, przyglądając mu się życzliwie przez okulary.

- Dobry wieczór, synu.

- Dobry wieczór, ojcze.- Bruce poczuł się niepewnie; zawsze doznawał tego uczucia w obecności osób duchownych. „Gdybym tylko mógł- pomyślał z zazdrością- być tak pewnym jednej rzeczy w moim życiu, jak ten człowiek jest przekonany o wszystkim w swoim...”

- Ojcze, to jest kapitan Curry.- Głos Shermaine był chłodny; nagle uśmiechnęła się i dodała:- Nie obchodzą go ludzie, dlatego przyjechał tutaj, aby zabrać ojca w bezpieczne miejsce.

Ojciec Ignatius wyciągnął rękę do Bruce'a. Dłoń zakonnika była chłodna i sucha, co uzmysłowiło Bruce'owi, jak wilgotna jest jego ręka.

- To bardzo ładnie z pana strony- powiedział misjonarz z uśmiechem, wyczuwając napięcie między nimi.- Nie chciałbym wyglądać na niewdzięcznika, ale z przykrością muszę powiedzieć, że nie mogę przystać na pańską propozycję.

- Otrzymaliśmy informację, że kolumna uzbrojonych bandytów znajduje się dwieście kilometrów na północ stąd. Pojawia się tutaj w ciągu dwudziestu czterech lub najpóźniej

czterdziestu ośmiu godzin. Jest ojciec w wielkim niebezpieczeństwie, a ludzie w szpitalu są zupełnie bezbronni- nalegał Bruce.

- Tak.- Ojciec Ignatius kiwnął głową.- Również o tym słyszałem i podejmę kroki, które uznaję za stosowne. Udam się wraz z pracownikami szpitala i pacjentami do buszu.

- Pójdą tam za ojcem- powiedział Bruce.

- Nie sądzę.- Zakonnik potrząsnął głową.- Nie będą marnować czasu. Ich interesują łupy, a nie chorzy ludzie.

- Spalą misję.

- Jeśli to zrobią, będziemy musieli ją odbudować po ich odejściu.

- Busz roi się od Balubasów; skończy ojciec jako ich główne danie.- Spróbował z innej strony.

- Nie.- Ignatius znów potrząsnął głową.- Prawie każdy członek tego plemienia przynajmniej raz był pacjentem w tym szpitalu. Nie muszę się niczego obawiać w buszu, wojownicy z plemienia Baluba są moimi przyjaciółmi.

- Niech ojciec zrozumie: nie ma sensu dyskutować. Otrzymałem przez Ciebie rozkazy mówią wyraźnie, że mam zabrać ojca do Elisabethville. Obawiam się, że muszę nalegać.

- A moje śluby zakonne mówią, że mam zostać tutaj. Zgodzi się pan zapewne, że wydała jej władza wyższa niż pańska.

- Uśmiechnął się łagodnie.

Bruce otworzył usta, by kontynuować wymianę argumentów, ale zamiast tego roześmiał się w końcu.

- Nie, nie będę tego kwestionował. Czy jest coś, co mógłbym ojcu dostarczyć?

- Leki?- zapytał Ignatius.

- Tryparflawina, morfina, opatrunki polowe. Obawiam się, że w sumie niewiele.

- Bardzo nam się przydadzą. A jedzenie?

- Przywiozę ojcu tyle, ile będę mógł- obiecał Bruce. Jedna z pacjentek leżąca przy końcu pomieszczenia krzyknęła nagle; Bruce się wzdrygnął.

- Umrze, zanim się noc skończy- wyjaśnił spokojnie Ignatius.- Nie mogę nic zrobić.

- Co jej jest?

- Od dwóch dni usiłuje urodzić. Są jakieś komplikacje.

- Czy nie może ojciec operować?

- Nie jestem lekarzem, synu. Był tu lekarz, zanim zaczęły się te kłopoty, ale wrócił już do Elisabethville. Nie.- Jego głos wydawał się przepelniony bezradnym żalem nad cierpieniem całej ludzkości.- Nie, ona umrze.

- Haig!- krzyknął nagle Bruce.

- Słucham?

- Ojciec, macie tutaj salę operacyjną. Czy jest dobrze wyposażona?

- Tak, sądzę, że tak.

- Środki znieczulające?

- Mamy chloroform i pentothal.

- To dobrze- powiedział Bruce.- Sprowadzę ojcu lekarza. Chodź, Shermaine!



## Rozdział 11

- Co za upał, co za cholerny upał!- powiedział Wally Hendry. Wytarł twarz brudną chusteczką i rzucił się na obitą zieloną skórą kuszetkę.- Chyba zauważyłeś, że Curry zostawił mnie i ciebie w pociągu, podczas gdy Haiga umieścił w hotelu, a sam odjechał z tą francuską dupcią. Nieważne, że ja i ty musimy się gotować w tej pakamerze, a on i jego kumpel Haig używają sobie. Zauważyłeś to, co?

- Ktoś musi pilnować pociągu, Wally- powiedział Andre.

- Taaa, ale kto to robi? Zawsze ty i ja! Ci wielkopańscy chłopcy trzymają się razem; trzeba im to oddać, że dbają o siebie.- Wally ponownie zapatrzył się w otwarte okno wagonu.- Słońce już zaszło, a ciągle tak gorąco, że można by jajka gotować. Warto by było się czegoś napić.- Rozwiązał sznurowadła, zdjął skarpetki i przyglądał się z niesmakiem swoim dużym, białym stopom.

- Przez ten cholerny upał znowu mam grzyb między palcami.

Rozchylił dwa palce i potarł łuszczącą się skórę.- Zostało ci trochę tej maści, Andre?

- Tak, zaraz ci podam.- Andre otworzył plecak, wyciągnął tubkę i podszedł do kuszetki Wally'ego.

- Natrzyj mi stopy- polecił Wally i położył się wygodnie, wyciągając nogi w stronę kolegi.

Belg usiadł na kuszetce, umieścił stopy Hendry'ego na swoich kolanach i zaczął je smarować. Wally zapalił w tym czasie papierosa, obserwując jak dym, który wydmuchiwał, rozprasza się pod sufitem wagonu.

- Do diabła, dobrze byłoby się napić. Na przykład piwa w oszronionej butelce z taką pianą.- Tu rozczapierzył cztery palce, po czym uniósł się na łokciu i przypatrywał się Andre wcierającemu maść pomiędzy długie palce u jego stóp.- Jak idzie?- zapytał.

- Prawie skończone, Wally.

- Czy stopy są w kiepskim stanie?

- Nie tak kiepskim jak ostatnio; skóra nie zaczęła jeszcze odpadać.

- Swędzi tak, że w życiu byś nie uwierzył- powiedział Wally. Andre milczał, wobec czego Wally kopnął go piętą w zebra.- Słyszałeś, co powiedziałem?

- Tak, powiedziałaś, że swędzi.

- No to odpowiadaj, kiedy rozmawiam z tobą. Nie gadam przecież do siebie!

- Przepraszam, Wally.

Hendry odchrząknął i zamilkł na moment, po czym zapytał:

- Lubisz mnie, Andre?

- Wiesz, że tak, Wally.

- Jesteśmy przyjaciółmi, co, Andre?

- Oczywiście, wiesz przecież o tym.

Wyraz twarzy Hendry'ego zmienił się: znudzenie zastąpiła chytryść.

- Nie masz chyba nic przeciw temu, że proszę cię o zrobienie paru rzeczy dla mnie, na przykład nałożenie maści na moje stopy?

- Ależ nie, to przyjemność, Wally.

- Przyjemność, co?- W głosie Hendry'ego można było wyczuć zjadliwość.- Lubisz to robić, nie?

Andre spojrział na niego lękliwie.

- Nie mam nic przeciwko temu- powtórzył.

- Lubisz mnie dotykać, Andre?- Belg przestał wcierać maść i nerwowo wytarł dłonie w ręcznik.- Zapytałem, czy lubisz mnie dotykać, Andre? Czy może masz czasami ochotę na to, abym ja dotykał ciebie?- Andre spróbował wstać, ale Wally, chwyciwszy go za kark, zmusił do pozostania na kuszetce.- Cholera jasna, odpowiedz mi, lubisz mnie dotykać?

- To boli, Wally- wyszeptał Andre.

- Powinieneś się wstydzić, wstydzić jak diabli!

Wally uśmiechnął się. Chwycił Andre za obojczyk i ścisnął z całej Siły.

- Proszę, Wally, proszę- zajęczał Belg, wijąc się z bólu.

- Uwielbiasz to, co? Dalej, odpowiedz mi!

- Tak, Wally, lubię to. Ale proszę cię, przestań, to boli.

- A teraz powiedz mi prawdę, laleczko, czy robiłeś to już przedtem tak na poważnie?-

Przyłożył kolano do pleców Andre i przycisnął go do kuszetki.

- Nie!- wrzasnął Belg.- Nie robiłem. Proszę, Wally, przestań już!

- Kłamiesz, Andre. Nieładnie z twojej strony.

- Już dobrze. Kłamałem.- Andre próbował obrócić głowę, ale Wally przycisnął mu twarz do kuszetki.

- Opowiedz mi o tym, laleczko.

- To było tylko raz, w Brukseli.

- Kim był ten amator chłopców?

- To był mój szef. Miał agencję eksportową.

- Wylał cię, laleczko? Wylał cię, kiedy mu się znudziłeś?

- Nie, niczego nie rozumiesz!- zaprzeczył Andre z zaskakującą pasją.- Nie rozumiesz. Opiekował się mną. Miałem własne mieszkanie, samochód, wszystko. Nie zostawiłby mnie, gdyby nie... nie stało się to, co się stało. Przysięgam, on mnie naprawdę kochał!

Wally ryknął śmiechem. Bawił się doskonale.

- Kochał cię! Chrystus by się popłakał.- Odrzucił głowę, niemal krztusząc się od śmiechu i dopiero po upływie dobrych paru sekund zapytał:- I co się wtedy stało między tobą a twoim wiernym kochankiem? Dlaczego nie pobraliście się i nie założyliście rodziny?- Jeszcze raz zatrzęsł się od śmiechu.

- Było śledztwo. Policja... aaa! To boli, Wally.

- Gadaj dalej, mademoiselle.

- Policja węszyła i on nie miał wyboru. Miał wysoką pozycję społeczną i nie mógł sobie pozwolić na skandal. Nie było innego wyjścia; dla takich jak on i ja nigdy nie ma. Nie ma szczęścia, nie ma nadziei.

- Oszczędź sobie tych bzdur, laleczko. Mów jak było.

- Postarał mi się o posadę w Elisabethville, dał pieniądze, zapłacił za przelot, za wszystko. Był taki czuły, taki opiekuńczy... Ciągłe pisuje do mnie.

- To naprawdę piękna miłość. Wzruszasz mnie swoją opowieścią.- Nagle głos Wally'ego zmienił się, stał się szorstki.- Cóż, zapamiętaj to sobie, chłopcze, zapamiętaj dobrze: nie lubię zbokoli!

- Znow zaciśnął palce i Andre zaskowyczał z bólu.- Opowiem ci pewną historię. Kiedy byłem w szkole dla trudnych dzieci, był tam taki zbokol, co próbował mnie dotykać. Pewnego dnia przydybałem go z brzytwą pod prysznicem, taką zwykłą brzytwą Gillette.

W innych kabinach było ze dwudziestu chłopaków, którzy wyli i śpiewali. Wrzeszczał tak samo jak tamci, kiedy puściłem zimną wodę. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Chciał być kobietą, więc mu pomogłem.- Głos Hendry'ego stał się ochrypły.- Chryste- wyszeptał.- Chryste, ile było krwi!

Andre zaczął płakać i trząść się na całym ciele.

- Nie będę próbował, Wally. Proszę cię, nic nie mogę na to poradzić, to było tylko jeden, jedyny raz. Proszę cię, zostaw mnie!

- A może spróbowałbym ci pomóc, Andre?

- Nie!- wrzasnął Belg.

Hendry był już znudzony. Puścił Andre i zostawił go leżącego na kuszetce. Sięgnął po skarpetki.

- Idę poszukać piwa.- Zasznurował buty i wstał.- Tylko pamiętaj- powiedział ponuro, pochylając się nad Andre.- Nie myśl sobie, że ze mną można próbować w te klocki, koziołku!

Chwycił karabin i wyszedł na korytarz.

Na werandzie hotelu natknął się na Boussiera rozmawiającego ze swoimi ludźmi.

- Gdzie jest kapitan Curry?- zapytał ostro.

- Pojechał do ośrodka misyjnego.

- Kiedy wyjechał?

- Jakies dziesięć minut temu.

- To dobrze- powiedział Wally.- Kto ma klucze do baru? Boussier zawahał się.

- Kapitan rozkazał mi nie wpuszczać nikogo do baru. Wally ściągnął karabin z ramienia.

- Nie wystawiaj mnie na próbę, przyjacielu!

- Przykro mi, monsieur, ale muszę przestrzegać poleceń kapitana.

Przez minutę mierzyli się wzrokiem. W starcu nie można było- dojrzeć oznak słabości.

- Niech będzie tak, jak mówisz- powiedział w końcu Wally i ostentacyjnie przepchnął się do drzwi baru.

Uderzył nogą w zamek i słaby mechanizm ustąpił pod ciężkim wojskowym butem. Drzwi otworzyły się; Wally podszedł do kontuaru, położył na nim karabin i sięgnął pod spód na półki pełne piwa Simba.

Pierwszą butelkę opróżnił, nie odrywając jej nawet od ust. Czknął, a następnie chwycił drugą, otworzył ją i przyglądał się pianie, która z niej wypłynęła.

- Hendry!

Wally spojrzał na Mike'a stojącego w drzwiach.

- Cześć, Mike- rzucił i uśmiechnął się.

- Co tutaj robisz?- zapytał ostro Mike.

- A co ci to przypomina?- odparł Wally, unosząc butelkę, jak gdyby salutował i spijając delikatnie pianę.

- Bruce wydał wyraźne rozkazy, że nikomu nie wolno tu wchodzić.

- Na Boga! Przestań się zachowywać jak stara baba, Haig.

- Znikaj stąd, Hendry. Hotel znajduje się pod moimi rozkazami.

- Mike.- Wally uśmiechnął się.- Chcesz, abym umarł z pragnienia, czy co?- Oparł się łokciami o kontuar i dodał:- Daj mi jeszcze parę minut. Pozwól mi skończyć to piwo.

Mike Haig spojrział ponad Hendrym w kierunku holu i zauważył grupę cywilów, którzy próbowali zobaczyć, co się dzieje w barze. Zamknął drzwi i stanął naprzeciwko Walły'ego.

- Dwie minuty- zgodził się niechętnie.- Potem znikasz stąd.

- Nie jesteś taki zły facet, Mike. Te nasze sprzeczki były naprawdę niepotrzebne. Powiem ci coś: przykro mi, że się wydarzyły.

- Pij!- powiedział Mike.

Nie odwracając się, Wally sięgnął za siebie i ściągnął z półki butelkę koniaku Remy Martin. Wyciągnął korek zębami, wybrał dużą koniakówkę i nalał do niej trochę bursztynowego płynu.

- Głupio jest pić samemu, Mike- powiedział i pchnął kieliszek w kierunku Haiga.

Najpierw obojętnie, a potem ze smutkiem Mike Haig przyglądał się kieliszкови. Przesunął językiem po wargach; wyglądał znów jak stary i zmęczony człowiek. Z wyraźnym wysiłkiem odwrócił wzrok od alkoholu.

- Do cholery z tobą, Hendry- powiedział nienaturalnie niskim głosem.- Do jasnej cholery z tobą- powtórzył i pchnął kieliszek tak, że ten, kręcąc się, roztrzaskał się o ścianę.

- Czy zrobiłem coś złego, Mike?- zapytał łagodnie Wally- Zaproponowałem ci drinka, to wszystko.

Bar wypełnił się ostrym, soczystym zapachem rozlanego koniaku. Mike ponownie oblizał wargi. Ślina wydzielala mu się obficie, a bolesne, piekące pragnienie alkoholu rozlało się powoli z żołądka na całe ciało, paralizując go.

- Niech cię cholera- wyszeptał.- Niech cię cholera, niech cię cholera weźmie- dodał błagalnie, widząc, jak Hendry napełnia następny kieliszek.

- Jak długo już nie piłeś Mike? Rok, dwa? Spróbuj troszeczkę, tylko łyżeczek. Przypomnij sobie to wspaniałe uczucie. No dale], chłopie! Jesteś zmęczony, pracowałeś ciężko. Tylko

jednego, masz Wypij tylko tego jednego ze mną.

Mike wytarł usta wierzchem dłoni. Na czole i górnej wardze pojawiły się kropelki potu.

- No dalej, chłopie!- Głos Wally'ego był ochryply z podniecenia; drażnił, schlebiał i kusił.

Dłoń Mike'a, poruszając się jakby niezależnie od jego woli, zacisnęła się wokół kieliszka i uniosła alkohol do ust. Oczy wyrażały mieszaninę wstrętu i pożądania.

- Tylko tego jednego- wyszeptał Hendry.- Tylko tego jednego...

Mike przechylił kieliszek nagłym, gwałtownym ruchem ramienia: jeden łyk i kieliszek był pusty. Trzymał go w, dłoniach, stojąc z pochyloną głową.

- Nienawidzę cię. Boże, jak ja cię nienawidzę!- powiedział do Hendry'ego, do siebie i do pustego kieliszka.

- To jest prawdziwy mężczyzna!- ryknął Wally.- Chodź, , należę ci jeszcze jednego!

## Rozdział 12

Bruce i ledwo nadążająca za nim Shermaine weszli przez frontowe drzwi do hotelu. W holu, w którym zgromadziło się jakieś dwanaście osób, wyczuwało się napięcie. Był tam również Boussier, który szybko podszedł do Bruce'a.

- Przykro mi kapitanie, ale nie mogłem ich powstrzymać. Ten z rudymi włosami zachowywał się brutalnie. Miał przy sobie broń i myślę, że był gotowy jej użyć.

- O czym pan mówi?- zapytał Bruce, ale zanim Boussier zdążył odpowiedzieć, zza drzwi po drugiej stronie holu dobiegł ich wybuch śmiechu Hendry'ego. Drzwi prowadziły do baru.

- Są tam- odparł w końcu Boussier.- Weszli tam pół godziny temu.

- Do jasnej cholery!- zaklął Bruce.- Właśnie teraz! Niech diabli porwą to cholerne zwierzę!

Prawie biegiem dotarł do podwójnych drzwi i otworzył je szeroko. Hendry stał przy przeciwległej ścianie z kieliszkiem w jednej ręce i karabinem w drugiej. Trzymał go tak, jakby to był pistolet, zataczając nim regularne koła.

Mike Haig budował na kontuarze piramidę z kieliszków. Właśnie umieszczał na szczycie ostatni kieliszek.

- Cześć, Bruce, stary łobuzie- powitał Curry'ego, wylewnie machając ręką.- Przyszedłeś w samą porę, możesz również sobie golnąć. Ale najpierw Wally, on ma pierwszeństwo. Musimy przestrzegać zasad, demokratycznie, wszyscy mają równe prawa. Ranga nie ma znaczenia. Zgadza się, prawda, Wally?

Rysy twarzy Haiga rozmyły się; wyglądało tak, jak gdyby topniały, zatracając swój kształt. Wargi miał rozluźnione i zwiotczałe, dolna szczęka obwisła, a oczy były wilgotne. Podniósł kieliszek stojący między butelką Remy Martin a piramidą pustych kieliszków- ten jednak, który trzymał w ręce, był niemal pełen.

- Bardzo dobry stary koniak, absolutnie wyborny.- Miał kłopoty z wymówieniem dwu ostatnich słów, więc powtórzył je powoli. Potem, uśmiechnął się blade do Bruce'a, z trudem zatrzymując na nim rozbiegane oczy.

- Usuń się, Mike- powiedział Hendry i uniósł karabin, celując w piramidę na kontuarze.

- Za każdym razem kiedy trafi, wygrywa fant. A fantem jest orzech kokosowy!- ryknął Haig.- No dalej, pruj, stary kogucie!

- Hendry, dosyć tego!- warknął Bruce.

- Idź się utopić- odparł Wally i wystrzelił.

Odrzut karabinu sprawił, że zatoczył się na ścianę. Piramida kieliszków eksplodowała kaskadą odłamków, a huk wypełnił wnętrze baru.

- Kokosa dla pana, kokosa!- wrzasnął Mike.

Bruce trzema szybkimi krokami podszedł do Hendry'ego i wyrwał mu karabin z ręki.

- W porządku, pijana małpo. Wystarczy tego.

- Idź się utopić- burknął Hendry, masując nadgarstek wykrecony przez odrzut broni.

- Kapitanie Curry- powiedział Haig stojący za kontuarem.- Słyszał pan, co powiedział mój przyjaciel. Proszę iść i zatopić się na wznak we śnie.

- Zamknij się, Haig!

- Tym razem załatwię cię, Curry- warknął Hendry.- Za długo naskakiwałeś na mnie; teraz zamierzam cię przetrącić!

- Proszę łaskawie zejść z mojego przyjaciela, kapitanie Curry. To nie trampolina, to mój brat krwi. Nie pozwolę, aby pan go prześladował!- bełkotał Mike.

- No dalej, Curry. Nie bój się!- powiedział Wally.

- Tak jest, Wally, załatw go- rzucił Haig, nalewając sobie koniaku.- Nie pozwól, żeby skakał na tobie.

- No, Curry, śmiało!

- Jesteś pijany- powiedział Bruce.

- Przestań. Nie gadaj, człowieku. A może chcesz, żebym ja zaczął?

- Nie, nie musisz zaczynać- zapewnił Bruce, uderzając go kolbą w podbródek.

Głowa Hendry'ego odskoczyła do tyłu; zatoczył się i wpadł na ścianę. Bruce spojrział mu w oczy: były zamglone. Powinien mieć dość, zdecydował; to odebrało mu ochotę do bójki. Chwycił Wally'ego za ramię i pchnął go na krzesło. „Muszę zająć się Haigiem, zanim wleje w siebie więcej tego świństwa- pomyślał.- Nie ma czasu na posyłanie po Ruffy'ego, a jednocześnie nie mogę odwrócić się plecami do tej kreatury, kiedy podejść do Haiga”.

- Shermaine!- zawołał do dziewczyny stojącej w drzwiach. Kiedy podeszła do niego, zapytał:- Czy potrafisz posługiwać się pistoletem?- Skinęła głową. Bruce odpiął swój pistolet Smith & Wesson i podał jej.- Zastrzel tego człowieka, jeśli spróbuje wstać z krzesła. Stań trochę dalej, tak aby nie mógł cię chwycić.



- Bruce...- dziewczyna próbowała protestować.

- To niebezpieczne, wściekle zwierzę! Wczoraj zamordował dwoje małych dzieci, a jeśli mu pozwolisz, również ciebie zabije. Popilnuj go tutaj, a ja zajmę się tym drugim.

Shermaine uniosła broń, trzymając ją w obu rękach. Jej twarz była bardziej blada niż zwykle.

- Czy możesz to zrobić?- zapytał Bruce.

- Teraz już mogę- odparła i odbezpieczyła pistolet.

- Słuchaj, Hendry- rzekł Bruce, chwytając Wally'ego za włosy.- Ona cię zabije, jeśli się tylko ruszysz. Rozumiesz? Zastrzeli cię.

- Pieprzę ciebie i twoją francuską kurewkę, pieprzę was! Założę się, że wiem, co robiliście cały wieczór w samochodzie przy rzece. Bawiliście się w „schowaj parówkę”, co?

Gniew wstrząsnął Bruce'em tak gwałtownie, że sam się przestraszył. Ciągnął Hendry'ego za włosy tak mocno, aż poczuł, iż je wyrywa. Wally zaczął się wić z bólu.

- Zamknij tę parszywą gębę albo cię zabiję. Mówił serio i Hendry zdał sobie nagle z tego sprawę.

- Już dobrze, Bruce. Na Boga, puść mnie! Bruce cofnął rękę i wyprostował się.

- Przepraszam, Shermaine- powiedział.

- Wszystko w porządku; zajmij się tym drugim.

Bruce podszedł do obserwującego go znad kontuaru Haiga.

- Czego chcesz, Bruce? Może drinka?- nerwowo powiedział Haig.- Napij się, wszyscy pijemy po maluchu. To niewinna zabawa, Bruce. Nie ekscytuj się.

- Nie wlejesz w siebie już nic więcej. Wprost przeciwnie- powiedział Bruce, idąc wzdłuż kontuaru. Haig cofnął się.

- Co chcesz zrobić?

- Pokażę ci- powiedział Bruce i chwycił go za nadgarstek. Następnie obrócił go i wykręcił mu rękę do tyłu, przytrzymując dłoń pomiędzy łopatkami.

- Co jest, Bruce? Skończ z tym, przez ciebie rozlewam koniak.

- To dobrze- odpowiedział i wytrącił mu kieliszek z ręki. Haig zaczął się szarpać. Wciąż był bardzo silny, ale alkohol osłabił go. Bruce szarpnęła wykręconą rękę, zmuszając go, aby stanął na palcach.

- Chodź, koleżko- polecił i poprowadził go w kierunku bocznego wyjścia z baru. Wolną

ręką przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.- Tędy- powiedział, wpychając Mike'a do kuchni. Kopniakiem zatrzaskał drzwi i skierował się do zlewu, ciągnąc go za sobą.- W porządku, Haig. Pokaż, co tam masz- rzekł i zmienił szybko chwyt, wsadzając mu głowę do zlewu. Obok wisiała ścierka do naczyń. Zwinął ją, a następnie, rozchyliwszy uprzednio szczęki Haiga palcami, wcisnął między jego tylne zęby.

- Zobaczmy, co tam masz- mruknął i wsunął palec głęboko w gardło Haiga.

Ciepła zawartość żołądka wytrysnęła, spływając po dłoni Bruce'a, który musiał włożyć wiele wysiłku w to, by opanować ogarniające go mdłości. Kiedy Haig skończył wymiotować, Bruce odkręcił zimną wodę i przytrzymał pod strumieniem jego głowę, opłukując mu twarz i swoją dłoń jednocześnie.

- Mam dla ciebie małą robotę, Haig.

- Zostaw mnie w spokoju. Idź do diabła- wyjęczał Haig niewyraźnie spod płynącej wody.

Bruce uniósł jego głowę i postawił go pod ścianą.

- W szpitalu misyjnym jest kobieta, która rodzi. Ona umrze, Haig, jeśli nie zrobisz czegoś- powiedział.

- Nie- wyszeptał Haig.- Tylko nie to. Nie jeszcze raz!

- Zabieram cię tam.

- Nie, proszę, nie rób tego! Nie mogę. Nie widzisz, że nie dam rady?- Purpurowe żyłki na nosie i policzkach ostro kontrastowały z bledością jego twarzy.

Bruce uderzył go otwartą dłonią, strząsając krople wody z mokrych włosów.

- Nie- wymamrotał Haig.- Proszę cię, Bruce.

Bruce uderzył go dwa razy jeszcze mocniej. Przyjrzał mu się uważnie, by w końcu dostrzec pierwsze oznaki gniewu.

- Niech cię diabli, Curry, niech cię diabli porwą!

- To powinno wystarczyć- ucieszył się Bruce.- Dzięki Bogu!

Zaprowadził Haiga z powrotem do baru. Shermaine ciągle stała z wyciągniętym pistoletem przy Hendrym.

- Chodź, Shermaine. Możesz już zostawić tę kreaturę. Zajmę się nim, gdy wrócimy. Umiesz prowadzić Forda?

- Tak.

- To dobrze- powiedział.- Weź kluczyki. Usiądę z Haigiem z tyłu. Jedź do misji.

Haig zachwiał się na schodach, ale Bruce złapał go, a następnie niemal zaniósł do samochodu. Wepchnął go na tylne siedzenie i usiadł obok. Shermaine zajęła miejsce za kierownicą, zapaliła silnik i wykonała nawrót na ulicy.

- Nie możesz mnie do tego zmusić, Bruce. Ja po prostu nie dam rady- błagalnie powiedział Haig.

- Zobaczymy- odparł Bruce.

- Nie wiesz, jak to jest. Nie możesz wiedzieć. Ona umrze na stole operacyjnym!- Wyciągnął ręce.- Spójrz na nie. Jak mogę nimi cokolwiek zrobić?- Dłonie drżały.

- Umrze i tak- powiedział twardo Bruce.- Równie dobrze mógłbyś skrócić jej cierpienie.

Haig uniósł ręce do twarzy i wytarł usta.

- Czy mógłbym się napić, Bruce? To mi pomoże. Jeśli się napiję, to będę mógł spróbować.

- Nie- uciął krótko Bruce.

Haig zaczął przeklinać. Twarz wykrzywiła mu się od wysiłku, który w to wkładał. Przeklinał Bruce'a, siebie i Boga, używając najbardziej wulgarnego języka, jaki Bruce kiedykolwiek słyszał. Nagle sięgnął do drzwi, próbując je otworzyć. Bruce spodziewał się tego i chwycił go za kołnierz, wciągając z powrotem i przytrzymując mocno. Haig nagle przestał się szamotać i zaczął płakać.

Shermaine jechała szybko; minęła groblę, następnie z boczem w górę i boczną drogą, światła wrzynały się w ciemność, a pęd powietrza wypełniał pojazd stukotem. Haig ciągle płakał na tylnym siedzeniu.

Kiedy światła misji pokazały się między drzewami, Shermaine zwolniła. Dojechała do kościoła, skręciła i zatrzymała się obok bloku szpitalnego. Bruce pomógł Haigowi wysiąść z samochodu; w tym czasie boczne drzwi szpitala otworzyły się i wyszedł ojciec Ignatius, trzymając w dłoni latarnię. Biały blask padł na nich, wywołując groteskowe cienie. Światło szczególnie okrutnie obeszło się z twarzą Haiga.

- Przywiozłem ojcu lekarza- powiedział Bruce. Ignatius podniósł latarnię i spojrzał na Mike'a przez okulary.

- Czy źle się czuje?

- Nie, ojciec- odparł Bruce.- Jest pijany.

- Pijany? Więc nie może operować?

- Może, i to jeszcze jak!

Bruce zaprowadził Haiga przez drzwi i korytarz do malej sali operacyjnej. Ignatius i Shermaine szli za nimi.

- Shermaine, pomóż ojcu przywieźć tę kobietę- polecił Bruce.

Kiedy wyszli, skoncentrował się z powrotem na Haigu.

- Czy już tak głęboko ugrzązłeś w tym gównie, że nie możesz mnie zrozumieć?

- Nie jestem w stanie tego zrobić, Bruce. To nie ma sensu.

- Wtedy ona umrze. Ale jedno jest pewne: spróbujesz!

- Muszę się napić, Bruce- powiedział Haig, oblizując usta.- Wypala mnie od środka, muszę dostać drinka.

- Skończ robotę, dostaniesz całą skrzynkę.

- Muszę się napić teraz.

- Nie- stanowczo powiedział Bruce.- Zobacz, jakie instrumenty masz tu do dyspozycji.

Będziesz mógł nimi operować?

Bruce podszedł do sterylizatora i uniósł pokrywę, wypuszczając obłok pary. Haig również się zbliżył i zajrzał.

- Jest wszystko, czego mi potrzeba, ale za mało tu światła i muszę się napić.

- Dostaniesz lepsze oświetlenie. Zaczynaj się myć.

- Bruce, proszę, pozwól...

- Zamknij się!- warknął Bruce.- Tam jest miska. Zaczynaj się przygotowywać.

Haig podszedł do miednicy. Poruszał się już pewniej, rysy twarzy wyostrzyły mu się nieznacznie. „Ty biedny, stary draniu- pomyślał Bruce.- Mam nadzieję, że ci się uda. Mój Boże, jak bardzo pragnę, aby ci się udało!”

Bruce wyszedł z sali i poszedł korytarzem na oddział. Okna sali operacyjnej były zabite, Haig mógł więc próbować uciec tylko przez korytarz. Bruce wiedział, że go złapie, gdyby usiłował zbiec. Wszedł na oddział. Shermaine i Ignatius przy pomocy murzyńskiego sanitariusza umieścili kobietę na wózku.

- Ojczy, potrzebujemy więcej światła.

- Mogę najwyżej przynieść jeszcze jedną latarnię.

- Dobrze, proszę to zrobić. Ja zabiorę tę kobietę na salę operacyjną.

Ojciec Ignatius wyszedł z sanitariuszem, a Bruce pomógł Shermaine manewrować

wózkiem w sali i na korytarzu. Kobieta jęczała z bólu. „Wyglądają tak tylko wtedy, gdy są przerażone albo kiedy umierają”- pomyślał Bruce.

- Nie zostało jej dużo życia- zauważył.

- Wiem- powiedziała Shermaine.- Musimy się pośpieszyć. Kobieta poruszyła się niespokojnie na wózku i wymamrotała parę słów. Westchnęła tak ciężko, że jej okryły kocem wielki brzuch uniósł się i opadł. Potem zaczęła znowu jęczeć.

Haig był wciąż na sali operacyjnej. Zrzucił panterkę i mając na sobie tylko podkoszulek, pochylił się nad miednicą. Nie obejrzał się, kiedy przywieziono kobietę.

- Połóżcie ją na stole- powiedział, myjąc mydłem ręce aż do łokci.

Wózek był takiej wysokości jak stół i przenosząc kobietę na kocu, łatwo było ją umieścić na stole.

- Wszystko gotowe, Haig- powiedział Bruce.

Haig wytarł ręce czystym ręcznikiem, odwrócił się i podszedł do kobiety. Nie zdawała sobie sprawy z jego obecności; patrzyła na niego niewidzącymi oczyma. Haig wziął głęboko oddech. Kropelki potu pojawiły się na jego czole. Kilkudniowy zarost na brodzie był posrebrzony siwymi włosami.

Ściągnął koc. Kobieta miała na sobie krótką, białą koszulę. Rozsunięta z przodu nie zakrywała jej wydętego, twardego brzucha. Kolana miała lekko uniesione, grube uda rozchylone. Bruce zauważył, że jej ciało wygięło się w kolejnym skurczu. Nie uszło także jego uwagi napięcie mięśni pod ciemną, szarawą skórą, które oznaczało wysiłek organizmu próbującego wypchnąć zaklinowany płód.

- Pośpiesz się, Mike!

Bruce był przerażony. „Nie wiedziałem, że to tak wygląda. „W bólach rodzić będziesz, ale żeby aż w takich!?”- pomyślał. Z opuchniętych i wyschniętych szarych ust rodzącej wyrwała się kolejna seria jęków. Odwrócił się gwałtownie do Haiga.

- Do jasnej cholery, pośpiesz się!

Mike zaczął badać kobietę. Bładość jego rąk ostro kontrastowała z jej ciemną skórą. Wreszcie zakończył badania i wyprostował się.

Ignatius i sanitariusz weszli z dwiema latarniami. Misjonarz zaczął coś mówić, ale natychmiast wyczuł napięcie panujące na sali i umilkł. Razem z pozostałymi zaczął obserwować Haiga. Mike miał zamknięte oczy. W świetle latarni jego twarz nabrała ostrych rysów. Oddychał

plytko, z trudem.

„Nie wolno mi teraz go naciskać- pomyślał Bruce instynktownie.- Zaciągnąłem go na brzeg przepaści, ale on sam musi w nią skoczyć”.

Mike otworzył oczy i powiedział, jak gdyby odczytując własny wyrok śmierci:

- Cesarskie cięcie.- Powiedziawszy to, wstrzymał oddech. Pozostali czekali w napięciu, aż wydał z siebie westchnienie i przemówił ponownie:- Zrobię to.

- Fartuchy i rękawice?- Bruce natychmiast zwrócił się do Ignatiusa.

- W szafce.

- Proszę je przynieść.

- Będziesz musiał mi pomóc, Bruce. Ty również, Shermaine.

- W porządku. Mów, co mam robić.

Szybko się umyli i przebrali. Ignatius pomógł im nałożyć bladezielone fartuchy.

- Podajcie mi tamtą tacę- polecił Mike po otwarciu sterylizatora. Za pomocą długich szczypiec wyciągnął instrumenty z parującego pojemnika i kładąc je na tacy, wymieniał nazwę każdego z nich:- Skalpel, rozwieracz, kleszcze.

Tymczasem sanitariusz dezynfekował brzuch kobiety alkoholem i układał prześcieradła.

Mike napełnił strzykawkę pentothalem i przyjrzał się jej pod światło. Zmienił się nie do poznania- jego twarz schowana była pod maską, włosy pod zielonym czepkiem, a całe ciało pod obszernym, sięgającym kostek fartuchem. Nacisnął tłoczek i kilka kropel jasnego płynu spłynęło po igle. Spojrzał na Bruce'a- spod maski widoczne były tylko niespokojne oczy.

- Gotów?

- Tak.

Mike pochylił się nad kobietą, ujął jej rękę i wsunął igłę pod miękką, czarną skórę w zgięciu łokcia, szukając żyły. Kiedy płyn w strzykawce zabarwił się na czerwono, nacisnął ostrożnie tłoczek.

Kobieta przestała jęczeć, jej ciało rozluźniło się, a oddech stał się głębszy i spokojniejszy.

- Podejdz tutaj.- Mike polecił Shermaine zająć miejsce przy głowie rodzącej. Dziewczyna wzięła maskę, którą miała nałożyć kobiecie, i nasączyła ją chloroformem.- Poczekaj, aż ci powiem.

Skinęła potakująco głową. „Chryste, jakie ona ma piękne oczy”- pomyślał Bruce, po czym ponownie skoncentrował się na operacji.

- Skalpel- rzucił Mike, wskazując na tacę. Bruce podał mu instrument.

To, co działo się później, pamiętał jak przez mgłę.

Otwarcie brzucha: silnie naprężona skóra ustąpiła pod skalpelem, a krew trysnęła z rozciętych naczyń krwionośnych. Potem pokazały się różowe mięśnie przeplatane białymi, maślanożółtymi warstwami podskórnej tkanki tłuszczowej i w końcu zbite, niebieskawe zwoje jelit. Tkanka, miękka i pulsująca, połyskiwała w bladym świetle latarni. Kleszcze i rozwieracze podobne do srebrnych owadów obsiadły ranę, jak gdyby to był kwiat. Ręce Mike'a wyglądające nieludzko w żółtych gumowych rękawiczkach poruszały się sprawnie w otwartej jamie brzusznej. Tamponowały, cięły, podwiązywały i ścisnęły.

W końcu ukazał się rozdęty, purpurowy worek macicy. Mike rozciął go skalpelem. We wnętrzu znajdowało się dziecko zwinięte w ciemnoszarą kulę. Można było rozróżnić nóżki i malutkie ramionka, nieproporcjonalnie dużą głowę i owijające całość łożysko podobne do grubego, różowego węża.

Mike wyciągnął niemowlę, trzymając je za pięty. Wciąż jeszcze połączone z matką wyglądało jak mały szary nietoperz. Szczęknięty nożyce i dziecko było wolne. Mike wycierał je jeszcze przez chwilę; wtedy zaczęło płakać.

Stojąca u szczytu Shermaine roześmiała się spontanicznie zachwycona i zaczęła klaskać w dłonie jak przedszkolak na przedstawieniu kukiełkowym. Nagle Bruce również zaczął się śmiać. Był to śmiech niemal już zapomniany, dobywający się gdzieś z głębi.

- Zabierz je- powiedział Mike.

Shermaine wzięła w ramiona mokre i niemrawo ruszające się niemowlę. Mike zaszywał ranę. Obserwując twarz dziewczyny, Bruce nagle poczuł drapanie w gardle; zachciało mu się płakać.

Haig zamknął macicę. Następnie zszył kolejne warstwy i grube brzegi rany zewnętrznej. Przyłożył opatrunek. Przykrył kobietę, zdarł maskę z twarzy i spojrzał na Shermaine.

- Pomóż mi umyć dziecko- poprosił. Jego głos był znów silny i pewny.

Razem z dziewczyną podeszli do miednicy. Bruce zrzucił fartuch i wyszedł na korytarz, a stamtąd na świeże powietrze. Oparł się o maskę Forda i zapalił papierosa.

„Dzisiaj znów się śmiałem- powiedział do siebie zdziwiony- a potem niemal płakałem. Wszystko z powodu kobiety i dziecka... Koniec z udawaniem, ucieczką, wielką krzywdą. Dzisiejszego wieczoru narodził się ktoś jeszcze tam, na sali operacyjnej. Znów się śmiałem, znów

czułem potrzebę śmiechu i pragnienie płaczu. Kobieta i dziecko- całe znaczenie życia”.

Wrzód pękł, trucizna wyciekła- był gotowy wyzdrowieć.

- Bruce! Bruce, gdzie jesteś?- zawołała Shermaine od drzwi. Nie odpowiedział. Zauważyła żarzący się koniec papierosa i podeszła do niego. Stała bardzo blisko.

- Shermaine...- powiedział i nagle umilkł. Chciał ją przytulić, po prostu mocno przytulić.

- Tak, Bruce.- Jej twarz rysowała się w ciemności bladym owalem.

- Shermaine, chcę...- powiedział i znowu zamilkł.

- Tak, ja też tego chcę- wyszeptła i odsuwając się, dodała:

- Chodź, zobaczmy, co porabia nasz doktor.

Wzięła go za rękę i zaprowadziła z powrotem do budynku. Jej dłoń o smukłych, długich palcach była sucha i chłodna.

Mike Haig i ojciec Ignatius stali oparci o kołyskę obok stołu, na którym leżała okryta kocem kobieta. Oddychała równo, a jej twarz wyrażała głęboki spokój.

- Podejdz i spójrz na nich, Bruce. To jest piękne- powiedział Mike.

Ciągle trzymając się za ręce, Bruce i Shermaine podeszli do kołyski.

- Będzie miał ze cztery kilo- dumnie stwierdził Haig.

Bruce spojrzał na niemowlę. „Nowo narodzone dzieci murzyńskie są ładniejsze od naszych. Nie wyglądają, jak gdyby były na wpuł ugotowane”- pomyślał.

- Szkoda, że to nie pstrąg- powiedział głośno.- Byłaby to rekordowa sztuka!

Haig wpatrywał się w niego przez chwilę, potem odrzucił głowę i zaczął się śmiać zdrowym, donośnym głosem. Zmienił się; nabrał znowu pewności siebie. Wydawał się jakby pełniejszy.

- Co powiesz na drinka, którego ci obiecałem, Mike?- zapytał, poddając go próbie, Bruce.

- Napij się za mnie, Bruce. Ja tę kolejkę opuszczam.

„On nie tylko tak mówi- pomyślał Bruce, patrząc na twarz .- On naprawdę nie potrzebuje już alkoholu!”

- Wypiję podwójnego drinka, jak tylko wrócimy do miasta. Spojrzał na zegarek:- Jest już po dziesiątej, lepiej zbierajmy się.

- Będę musiał zostać, aż ona się obudzi- zaproponował Mike. Możesz wrócić po mnie rano.

Bruce zawahał się, po czym powiedział:

- Zgoda. Chodź, Shermaine.



Jechali do Port Reprieve, siedząc blisko siebie w intymnej ciemności samochodu. Aż do grobli nie mówili nic. Wówczas Shermaine odezwała się:

- Ten twój doktor to dobry człowiek. Jest podobny do Paula.

- Kto to jest Paul?

- Paul był moim mężem.

- Przepraszam- bąknął zmieszany Bruce. Wymówienie tego imienia zepsuło mu nastrój. Shermaine mówiła dalej, spokojnie wpatrując się w smugi świateł samochodu.

- Paul był w tym samym wieku. Wystarczająco stary, by nauczyć się rozumienia innych. Młodzi mężczyźni są tacy okrutni.

- Kochałaś go- stwierdził Bruce bezbarwnym głosem, za wszelką cenę próbując ukryć ton zazdrości.

- Miłość ma wiele postaci- odparła. Po chwili dodała:

- Tak, zaczęłam go kochać. Wkrótce zapewne kochałabym go tak, że mogłabym...-

Przerwała.

- Co mogłabyś?

Głos Bruce'a stał się chropowaty. „Zaczyna się- pomyślał.- Znowu się odsłoniłem”.

- Byliśmy małżeństwem przez cztery miesiące, zanim on... zanim wybuchła epidemia.

- Tak?- powiedział wciąż chropawym głosem. Nie patrzył na Shermaine, wzrok miał utkwiony w drodze.

- Chcę, abyś wiedział o czymś. Muszę ci to wszystko wyjaśnić. To bardzo ważne. Bądź przez chwilę cierpliwy i wysłuchaj mnie, dobrze?

W jej głosie czuło się błaganie. Nie mógł się temu oprzeć; twarz mu złagodniała.

- Shermaine, nie musisz mi o tym mówić.

- Muszę. Chcę, abyś wiedział.- Zawahała się na chwilę i kiedy znowu przemówiła, jej głos był spokojny i zrównoważony:- Jestem sierotą, Bruce. Zarówno moja mama, jak i ojciec zginęli od niemieckich bomb. Miałam zaledwie parę miesięcy, kiedy to się stało, i zupełnie ich nie pamiętam. Nie pamiętam niczego, co ich dotyczy. Nie mam nawet ich zdjęcia.- Głos zdrzął jej na moment, ale zaraz opanowała się.- Zaopiekowały się mną zakonnice, one były moją rodziną. Ale to było jakieś... inne, takie... nieprawdziwe. Nigdy nie miałam niczego, co byłoby naprawdę moje, czegoś, co byłoby tylko moje własne.

Bruce ujął jej rękę. Spoczywała spokojnie w jego dłoni. „Teraz już masz- pomyślał.-

Masz mnie na własność”.

- Kiedy nadszedł czas, zakonnice uzgodniły wszystko z Paulem Cartierem. Pracował jako inżynier w Union Miniere Corporation, tutaj, w Kongo. Był dobrze sytuowanym człowiekiem, odpowiednim kandydatem dla każdej z nas, dziewcząt wychowywanych przez zakonnice.- Zamyśliła się, lecz po chwili mówiła dalej:

- Przyleciał do Brukseli i pobraliśmy się. Nie byłam nieszczęśliwa, bo chociaż był stary, był w wieku doktora Mike'a, był przy tym bardzo łagodny i miły oraz ogromnie wyrozumiały. On nie...

- Przerwała i obróciła się nagle do Bruce'a, ściskając mocno jego rękę. Jej twarz była poważna i blada w półmroku, włosy opadły jej na ramiona. Błagalnym głosem zapytała w końcu:- Bruce, czy rozumiesz, co usiłuję ci powiedzieć?

Zatrzymał samochód przed hotelem, wyłączył silnik i z namysłem odparł:

- Tak, sądzę, że tak.

- Dziękuję- rzuciła i otworzyła drzwi.

Wysiadła z samochodu i szybkim, długim krokiem wbiegła po schodach.

Bruce obserwował ją, jak wchodzi przez podwójne drzwi. Potem wyciągnął zapalniczkę z deski rozdzielczej i poszukał papierosa. Zapalił go, wydmuchując obłok dymu na przednią szybę. Nagle poczuł, że jest szczęśliwy. Chciało mu się znowu śmiać. Wyrzucił ledwo napoczętego papierosa i wyskoczył z Forda. Spojrzał na zegarek- było po północy. „Mój Boże- pomyślał- jestem taki zmęczony. Tyle się dzisiaj wydarzyło. Odradzanie się jest ciężkim wysiłkiem emocjonalnym”. Roześmiał się na głos.

Boussier czekał na niego w holu. Miał na sobie płaszcz kąpielowy. Jego twarz nosiła ślady snu.

- Czy pańskie przygotowania są już zakończone, monsieur?

- Tak- odparł Boussier.- Kobiety i dwójka dzieci śpią na górze. Madame Cartier właśnie do nich dołączyła.

- Wiem- powiedział Bruce. Boussier kontynuował:

- Jak pan widzi, zgromadziłem wszystkich mężczyzn tutaj.- Wskazał na śpiące postacie, które zalegały na podłodze holu i baru.

- To dobrze- rzekł Bruce.- Wyjeżdżamy, jak tylko się rozwidni.- Ziewnął, a potem potarł oczy, masując je czubkami palców.- Gdzie jest mój oficer, ten z rudymi włosami?

- Wrócił bardzo pijany do pociągu. Były z nim kłopoty, kiedy pan wyjechał.- Boussier zawahał się i dodał:- Chciał iść na górę do kobiet.

- Niech go diabli porwą!- Bruce czuł, jak wzbiera w nim gniew.- Co się stało później?

- Pański sierżant, ten olbrzym, wyperswadował mu to i zabrał do pociągu.

- Dziękować Bogu za Ruffy'ego.

- Przygotowałem panu miejsce do spania.- Boussier wskazał na wygodny, skórzany fotel.- Musi pan być wyczerpany.

- To miło z pana strony- podziękował Bruce.- Ale najpierw muszę sprawdzić nasze stanowiska obronne.

## Rozdział 13

Kiedy Bruce obudził się, zobaczył Shermaine pochylającą się nad nim i łaskoczącą go pod nosem. Był całkowicie ubrany, tylko buty miał rozsznurowane; hełm i karabin leżały na podłodze obok niego.

- Wcale nie chrapiesz, Bruce- pogratulowała mu Shermaine, śmiejąc się.- Punkt dla ciebie.

Spróbował wstać, nieprzytomny od niewyspania.

- Która godzina?

- Prawie piąta. W kuchni przygotowałam ci śniadanie.

- Gdzie jest Boussier?

- Ubiera się. Potem zacznie rozmieszczać ludzi w pociągu.

- W ustach mam taki smak, jakby spała w nich koza- stwierdził Bruce, przesuwając językiem po zębach i wyczuwając na nich nalot.

- A zatem nie dostaniesz całusa na dzień dobry, mon capitaine- powiedziała, śmiejąc się oczami i wyprostowała się.- Przybory toaletowe masz w kuchni. Posłałam jednego z twoich żandarmów, aby je przyniósł z pociągu. Możesz umyć się pod kranem.

Bruce zasnurował buty i poszedł za nią do kuchni, uważając, by nie nastąpić na śpiących ludzi.

- Nie ma, niestety, ciepłej wody- przeprosiła Shermaine.

- To jest najmniej ważne- stwierdził Bruce.

Podszedł do stołu, otworzył saszetkę i wyciągnął maszynkę do golenia, mydło i grzebień.

- Zrobiłam dla ciebie nalot na kurnik- wyznała Shermaine.

- Były tylko dwa jajka. Jak je ugotować?

- Na miękko. Gotuj najwyżej jedną minutę.

Bruce zdjął panterkę i koszulę, podszedł do zlewu i puścił wodę. Obmył twarz i zmoczył obficie głowę, prychając z przyjemności.

Następnie ustawił lusterko na kranach i rozprowadził mydło po twarzy. Shermaine przysiadła na suszarce do naczyń i obserwowała go ze szczerym zainteresowaniem.

- Szkoda, że zgolisz brodę- powiedziała.- Wyglądała jak futro wydry, podobała mi się.

- Może kiedyś zapuszczę brodę specjalnie dla ciebie- uśmiechnął się do niej Bruce.- Masz

niebieskie oczy, Shermaine.

- Dużo czasu potrzebowałeś, żeby to odkryć- powiedziała i dziecinnie wyduła wargi.

Miała jedwabistą skórę. Jej usta były blade, bez szminki. Czarne włosy zaczesane do tyłu podkreślały wysokie kości policzkowe i wielkie oczy.

- W Indiach „sher” znaczy „tygrys”- powiedział Bruce, obserwując ją kątem oka.

Natychmiast przestała wydymać wargi i rozchyliła usta, jakby warczała. Miała małe, białe zęby, troszeczkę nierówne. Nagle dziewczyna zrobiła zęza i warknęła. Bruce roześmiał się zaskoczony i omal się nie zaciął.

- Nie mogę mieszkać z kobietą, która błaznuje przed śniadaniem. To źle wpływa na moje trawienie- powiedział śmiejąc się.

- Śniadanie!- podchwyciła Shermaine, przestając zezować. Zeskoczyła z suszarki i podbiegła do piecyka.- Niewiele brakowało.- Spojrzała na zegarek.- Minuta dwadzieścia, przebaczysz mi?

- Tylko ten jeden jedyny raz- odparł Bruce.

Zmył mydło z twarzy, przycesał włosy i podszedł do stołu. Shermaine podstawiła mu krzesło.

- Ile cukru do kawy?

- Trzy łyżeczki poproszę.- Bruce odciął czubek jajka. Shermaine przyniosła kubek i postawiła go przed nim.

- Lubię robić śniadanie dla ciebie- powiedziała.

Nie odpowiedział. To była niebezpieczna rozmowa. Shermaine usiadła naprzeciwko niego, oparła łokcie na stole i położyła brodę na rękach.

- Jesz za szybko- stwierdziła. Bruce uniósł brew w niemym pytaniu.- Ale przynajmniej jesz z zamkniętą buzią.- Zabrał się za drugie jajko.- Ile masz lat?- zapytała po chwili.

- Trzydzieści.

- Ja mam dwadzieścia; prawie dwadzieścia jeden.

- Dojrzały wiek.

- Jaki jest twój zawód?

- Jestem żołnierzem- odparł.

- Nie, nie jesteś.

- No dobrze, jestem prawnikiem.

- Musisz być mądry- powiedziała poważnie.
- Jestem geniuszem. Dlatego znalazłem się tutaj.
- Jesteś żonaty?
- Nie, byłem. Co to jest, przesłuchanie?
- Czy ona umarła?
- Nie.

Nie pozwolił, aby ból pojawił się na jego twarzy. Przyszło mu to już znacznie łatwiej.

- Och!- powiedziała Shermaine. Wzięła łyżeczkę i skupiła się na mieszaniu jego kawy.-

Czy jest ładna?- zapytała.

- Nie. Tak. Myślę, że tak.
- Gdzie ona jest?- zapytała, a potem szybko dodała:- Przepraszam cię, to nie moja sprawa. Bruce wziął od niej kawę i wypił ją. Potem spojrzał na zegarek.
- Już prawie piąta piętnaście. Muszę przywieźć Mike'a. Shermaine szybko wstała.
- Jestem gotowa- powiedziała.
- Znam drogę. Lepiej idź na stację.
- Chcę jechać z tobą!
- Dlaczego?

- Dlatego...- Szukała gorączkowo jakiegoś powodu.- Dlatego że chcę jeszcze raz zobaczyć dziecko.

- Twoje na wierzchu- powiedział Bruce i chwycił plecak. Wyszli do holu. Zastali tam Boussiera, ubranego i wydającego polecenia. Jego ludzie byli już prawie gotowi do drogi.

- Madame Cartier i ja jedziemy do misji, aby przywieźć lekarza. Wrócimy mniej więcej za pół godziny. Chciałbym, aby wszyscy ludzie byli już wtedy w pociągu.

- Jak pan sobie życzy, kapitanie.

Bruce krzyknął do Ruffy'ego stojącego na werandzie:

- Załadowałeś lekarstwa i prowiant dla misji?
- Są w bagażniku Forda, szefie.
- To dobrze. Sprowadź wszystkie straże i zabierz ludzi na stację. Powiedz maszyniście, aby trzymał lokomotywę pod parą. Wyruszamy, kiedy tylko wrócę z porucznikiem Haigiem.
- Okay, szefie.

Bruce podał mu swój plecak.

- Wrzuć to do pociągu, Ruffy- powiedział i dopiero teraz zauważył duży stos kartonów piętrzących się u jego stóp

- Co to jest?- zapytał.

Sierżant lekko się zmieszał. W końcu powiedział:

- Parę butelek piwa, szefie. Pomyślałem, że może będzie się nam chciało pić po drodze.

- Ty masz szczęście!- rzucił Bruce i uśmiechnął się.

- Umieść je w bezpiecznym miejscu i nie wypij wszystkiego, zanim wrócę.

- Zostawię jedną albo dwie dla pana- obiecał Ruffy.

- Chodź, tygrysico- zwrócił się Bruce do Shermaine. Wsiedli do Forda. W samochodzie dziewczyna usiadła bliżej Bruce'a niż poprzednio. Gdy przejeżdżali przez groblę, zapaliła dwa papierosy i podała mu jednego.

- Cieszę się, że zostawię to miejsce za sobą- powiedziała patrząc na bagno, z którego leniwie podnosiła się poranna mgła, zaczepiając się szarymi strzępami o puszyste źdźbła papirusu.

- Znienawidziłam to miasto, kiedy Paul umarł. Nienawidzę bagien, moskitów i dżungli. Cieszę się, że wyjeżdżamy.

- Dokąd się udasz?- zapytał Bruce.

- Nie myślałam o tym jeszcze. Chyba wrócę do Belgii. Gdziekolwiek, byle z dala od Kongo. Z dala od tego upału, do kraju, gdzie można oddychać. Z dala od chorób i strachu. Gdzieś, gdzie będę miała pewność, że jutro nie będę musiała uciekać. Gdzieś, gdzie życie ludzkie ma sens, z dala od zabijania, niszczenia i gwałtu.

Shermaine niemal gwałtownie zaciągnęła się papierosem, wpatrując się w zieloną ścianę lasu rozpościerającą się przed nimi.

- Urodziłem się w Afryce- powiedział Bruce.- W czasie, kiedy atrybutem sądu nie była kolba FN-ki, kiedy nie głosowało się za pomocą serii z karabinu.- Mówił spokojnie jakby trochę z żalem.- W czasie, kiedy nie było nienawiści. Ale teraz... sam nie wiem. Ja także nie myślałem jeszcze o przyszłości.

Umilkł na chwilę. Dojechali do drogi prowadzącej do ośrodka misyjnego i Bruce skręcił.

- Zamierzasz zostać tutaj, Bruce? To znaczy w Kongo?- zapytała Shermaine.

- Nie- odpowiedział.- Mam dosyć. Nawet nie wiem, o co walczę.

Wyrzucił niedopałek przez okno. Przed nimi pojawiły się budynki misyjne. Bruce

zaparkował samochód przed szpitalem. Przez chwilę siedzieli w ciszy.

- Musi być jakiś inny łąd- powiedział szeptem.- Jeśli istnieje, odnajdę go.

Otworzył drzwi i wysiadł. Shermaine zsunęła się z siedzenia i stanęła obok niego. Skierowali się do szpitala, idąc obok siebie. Jej ręka musnęła jego dłoń i Bruce przytrzymał ją, czując, jak dziewczyna oddaje mu uścisk dłoni. Sięgała mu nieco powyżej ramienia, ale niewiele wyżej.

Mike Haig i ojciec Ignatius byli razem na oddziale kobiecym, zbyt zaabsorbowani, aby usłyszeć nadjeżdżającego Forda.

- Dzień dobry, Michael- zawołał Bruce.- Po co ta maskarada?

Mike podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Dzień dobry, Bruce. Cześć Shermaine- powiedział i spojrzał na wypłowiały, brązowy habit, który miał na sobie.- Pożyczyłem go od Ignatiusa. Trochę za długi i przyciasny w pasie, ale bardziej na miejscu na oddziale szpitalnym niż mundur.

- Do twarzy panu w nim, doktorze Mike- powiedziała Shermaine.

- Miło mi słyszeć, że ktoś mnie znowu tak nazywa- odparł Haig i uśmiech okraszył jego twarz.- Przypuszczam, Shermaine, że chcesz zobaczyć dziecko?

- Czy czuje się dobrze?

- Matka i dziecko są w dobrym zdrowiu- zapewnił i poprowadził dziewczynę wzdłuż rzędu łóżeczek, w których na poduszkach widniał; czarne wełniste główki z wielkimi, zaciekawionymi oczyma śledzącymi ich ruchy.

- Czy mogę go wziąć na ręce?

- On śpi, Shermaine.

- Ale ja bardzo proszę!

- Nie sądzę, żeby to go zabiło. A zatem zgoda.

- Chodź zobacz, Bruce. Czyż nie jest śliczny?- powiedziała Shermaine, trzymając malutkie, czarne ciało niemowlęcia tuż przy piersi.

Dziecko sapnęło, a jego usta zaczęły automatycznie szukać pokarmu. Bruce podszedł i pochylił się, by przyjrzeć się malcowi.

- Bardzo miły- powiedział i zwrócił się do Ignatiusa:- Przywiozłem te rzeczy, które obiecałem ojcu. Niech ojciec pošle po niego sanitariusza.- Potem spojrzał na Mike'a:- Lepiej się przebierz. Wszystko gotowe do wyjazdu.



Nie patrząc na Bruce'a i bawiąc się słuchawkami, Mike potrząsnął głową.

- Chyba nie pojedę z tobą, Bruce.

Bruce, zaskoczony, stanął przed Haigiem i zapytał:

- Co?

- Myślę, że zostanę tutaj z Ignatiusem. Zaproponował mi pracę.

- Musisz chyba być stuknięty, Mike!

- Może- zgodził się Haig. Wziął niemowlę od Shermaine, położył je z powrotem w łóżeczku i okrył małe ciało kocykiem, dodając:- A może nie...- wyprostował się i wskazał ręką na rząd zajętych łóżek:- Jest tu tyle do zrobienia. Musisz to przyznać.

Bruce przez chwilę wpatrywał się w niego bezradnie, a potem zaapelował do Shermaine:

- Odwiedź go od tego zamiaru. Może ty potrafisz go przekonać o bezsensie tego pomysłu.

Shermaine potrząsnęła głową:

- Nie, Bruce, nie zrobię tego.

- Mike, kieruj się rozsądkiem, na Boga. Nie możesz zostać na tym zadzumionym zadupiu, nie możesz...

- Odprowadzę cię do samochodu, Bruce. Wiem, że się spieszysz...

Wyszedł z nimi przez boczne drzwi i stanął przy Fordzie po stronie kierowcy, czekając aż Bruce i Shermaine wejdą do samochodu. Bruce wyciągnął rękę i Mike chwycił ją w mocnym, męskim uścisku.

- Trzymaj się, Bruce. Dzięki za wszystko!

- Trzymaj się, Mike. Przypuszczam, że przyjmiesz święcenia i będziesz zbawiać ludzi, co?

- Tego nie wiem, Bruce. Wątpię. Chcę po prostu mieć jeszcze jedną szansę porządnego wykonywania pracy, którą znam. Pragnę jeszcze jednej szansy, by zmniejszyć zastraszający rachunek moich win.

- Umieszczę w raporcie notatkę: „Zaginiony, uznany za nieżyjącego”. Pamiętaj, abyś wyrzucił swój mundur do rzeki- powiedział Bruce.

- Na pewno to zrobię- odparł Mike i cofnął się.- Opiekujcie się sobą, ty i Shermaine.

- Nie wiem, o czym pan mówi- odezwała się dziewczyna nienaturalnym głosem, próbując zachować powagę.

- Jestem starym wyjadaczem, niełatwo mnie oszukać- odpowiedział Mike.- Oddajcie się

temu całym sercem.

Bruce zwolnił sprzęgło i Ford ruszył.

- Niech Bóg was prowadzi, dzieci- powiedział szeptem Haig, uśmiechając się serdecznie i machając im ręką.

- Au rewour, doktorze Michael!

- Trzymaj się, Mike!

Bruce obserwował w lusterku wstecznym jego wysoką sylwetkę w habicie. Jego postawa wyrażała coś bardzo dumnego i cennego. Pomachał im raz jeszcze, a potem odwrócił się i szybkim krokiem poszedł w kierunku szpitala.

Shermaine i Bruce milczeli, aż dojechali do głównej drogi. Dziewczyna skulona i przytulona do Bruce'a uśmiechała się do siebie, patrząc na drogę obramowaną linią drzew po obu stronach.

- To dobry człowiek, Bruce- przemówiła w końcu.

- Mogłabyś mi zapalić papierosa, Shermaine?- poprosił Bruce. Nie chciał o tym rozmawiać. Była to jedna z tych rzeczy, które słowa mogą zepsuć.

Zwalniając przed skrzyżowaniem, Bruce wrzucił drugi bieg i zanim skręcił, odruchowo spojrzał w lewo, by upewnić się, że droga jest wolna.

- O Boże!- jęknął nagle.

- Co się stało, Bruce?- Zaniepokojona Shermaine podniosła głowę znad papierosa, którego zapaliła.

- Spójrz!

Jakieś sto jardów od nich, tuż przy dżungli, stało sześć dużych pojazdów. Pięć z nich były to masywne, zakryte plandekami ciężarówki, pomalowane w oliwkowe, wojskowe barwy. Szósty pojazd był samochodem cysterną, w jaskrawych kolorach żółci i czerwieni, ze znakiem Shella na beczułkowatej przyczepie. Do pierwszej ciężarówki doczepione było niskie przeciwczołgowe działo na dwudziestopięciofuntowe pociski, osadzone na kołach z oponami, o długiej lufie zwróconej beztrąsko w niebo. Wokół pojazdów znajdowało się co najmniej sześćdziesięciu mężczyzn w najprzeróżniejszych mundurach i hełmach. Wszyscy byli uzbrojeni; niektórzy w broń automatyczną, reszta w przestarzałe, jedno- strzałowe karabiny. Większość z nich sikała niedbale w trawę porastającą brzegi drogi, a pozostali stali w niewielkich grupach, rozmawiając i paląc papierosy.

- General Moses!- powiedziała słabym głosem zaszokowana Shermaine.

- Schyl się- rozkazał Bruce i wolną ręką pchnął ją na podłogę.

Niemal wgniótł pedał gazu, z rykiem wjeżdżając na główną drogę, gwałtownie zarzucając tyłem w nie ubitym pyłe. Kontrując kierownicą i starając się opanować poślizg, Bruce spojrział w lusterko. Za nimi mężczyźni rozsypali się w bezładną grupę. Słychać było ich ostre krzyki, głośniejsze od wyjącego silnika Forda. Bruce spojrział przed siebie: jeszcze jakieś sto jardów do zakrętu, który zasłoni ich i poprowadzi przez bagna do grobli.

Kłęcząca Shermaine próbowała unieść głowę ponad siedzenie i zobaczyć, co się dzieje z tyłu.

- Do cholery, nie wychylaj się!- krzyknął Bruce i brutalnie zmusił ją do opuszczenia głowy.

W tym momencie na skraju drogi, obok samochodu, wytrysnęła fontanna piasku, a do uszu ich dobiegł ostry terkot broni maszynowej.

Zakręt zbliżał się szybko; jeszcze tylko kilka sekund. Wtedy trafiła ich seria z karabinu, która zatrzęsła całym pojazdem, wypełniając go zgrzytliwym łomotem. Przednia szyba zamieniła się w nieprzezroczystą diamentową koronkę, zegar na desce rozdzielczej eksplodował szklanym proszkiem, który obsypał włosy Shermaine, a siedzenie zostało rozprute przez dwie kule, które wyszarpaneły na zewnątrz wyściółkę.

- Zamknij oczy- zawołał Bruce i pięścią uderzył w przednią szybę.

Przez dziurę, którą wybił, widział wystarczająco dużo. Wchodzili właśnie w zakręt i Bruce ostro skręcił kierownicą, wpadając w poślizg i uderzając zewnętrznymi kołami w krawędź drogi, ocierając się o trawę i liście. Kiedy minęli zakręt, z maksymalną prędkością pomknęli ku grobli.

- Czy nic ci się nie stało, Shermaine?

- Nie, wszystko w porządku. A tobie?- zapytała, wynurzając się spod tablicy rozdzielczej.

Na jej policzku widniało zadrapanie spowodowane odłamkiem szkła. Oczy miała powiększone ze strachu.

- Modłę się tylko, żeby Boussier i Hendry byli gotowi do wyjazdu. Te dranie są zaledwie pięć minut drogi za nami.

Przejechali przez groblę z osiemdziesiątką na szybkościomierzu i wpadli na główną ulicę Port Reprieve. Bruce nacisnął klakson, aby ostrzec ludzi w mieście.

- Boże, proszę Cię, żeby byli gotowi- mruczał pod nosem. Z ulgą zauważył, że ulica była pusta, a i w hotelu, jak się wydawało, nie było nikogo. Ciągłe naciskał klakson, z piskiem opon kierując się ku stacji i wznecając tumany kurzu. Ostro hamując, skręcił obok budynków stacyjnych i wjechał na peron.

Większość ludzi Boussiera stała obok pociągu. Sam Boussier był wraz z żoną przy ostatnim wagonie, otoczony małą grupą kobiet. Bruce krzyknął do nich przez boczne okno:

- Wsiadajcie! Na Boga, pośpieszcie się! Są już blisko!- Zatrzymał się obok lokomotywy i zawołał do maszynisty:- Ruszaj! Nie marnuj ani sekundy. Wyciągnij z niej tyle, ile zdołasz. Banda shufta jest niecałe pięć minut za nami.

Maszynista schował głowę we wnętrzu kabiny, nie tracąc czasu nawet na swoje uprzejme „oui, monsieur”.

- Chodź, Shermaine- Bruce chwycił ją za rękę i wyciągnął z samochodu.

Podbiegli do jednego z wagonów pasażerskich i Bruce niemal postawił dziewczynę na stalowych schodkach. W tym momencie pociąg ruszył tak gwałtownie, że Shermaine wypuściła z ręki poręcz i spadła na Bruce'a. On także stracił równowagę i oboje runęli na pokryty kurzem peron. Przejeżdżający obok nich pociąg nabierał prędkości. Bruce'owi przypomniał się pewien koszmar z dzieciństwa, w którym biegł za odjeżdżającym pociągiem i nigdy nie mógł go dogonić. Z wysiłkiem opanował rosnącą panikę, kiedy oboje z Shermaine podnosili się, dysząc ciężko. Wagony przejeżdżały obok nich z turkotem; rytm ich kół przyspieszał coraz bardziej.

- Biegnij!- krzyknął Bruce, z trudem łapiąc powietrze.

- Biegnij!

Mimo paniki paraliżującej im nogi, Bruce zdołał chwycić poręcz wagonu. Trzymał ją kurczowo, potykając się w biegu za pociągiem, drugą ręką obejmując Shermaine w pasie. Wówczas sierżant Ruffararo wychylił się, chwycił Shermaine za kołnierz i uniósł ją jak kotkę. Potem pomógł Bruce'owi wdrapać się do wagonu.

- Szefie, kiedyś stracimy pana, jeśli będzie się pan zabawiał w ten sposób!

- Przepraszam, Bruce- powiedziała Shermaine, dysząc i opierając się o niego.

- Nic się nie stało.- Zdołał nawet uśmiechnąć się do niej.

- Teraz idź do przedziału i zostań tam, dopóki ci nie powiem, że masz wyjść. Rozumiesz?

- Tak, Bruce.

- No, to już cię nie ma- powiedział i zwrócił się do Ruffy'ego:- Na dach, sierzancie; zdaje

się, że będziemy mieli fajerwerk. Shufta mają działo polowe i będą mieli nas jak na dłoni, kiedy wjedziemy na szczyty wzgórz.

Zanim weszli na dach, pociąg wyjechał z Port Reprieve i zaczął wspinać się zygzakiem na wzgórze. Słońce stało już wysoko nad horyzontem, a mgła z bagien uniosła się na tyle, że widzieli dobrze całą osadę rozpostartą u stóp wzgórz.

Kolumna generała Mosesa zostawiła groblę za sobą i wjeżdżała na główną ulicę. Bruce widział, jak prowadząca ciężarówka zakreśliła ostro i zatrzymała się w poprzek drogi. Spod plandeki wyskoczyli mężczyźni i niczym muchy obsiedli działo, odczepiając je i ustawiając w odpowiedniej pozycji.

- Mam nadzieję, że te Arabcy nie mają żadnego pojęcia, jak tym celować- mruknął Ruffy.

- Dowiemy się wkrótce- zapewnił go ponuro Bruce i odwrócił się, by spojrzeć na pociąg.

W ostatnim wagonie Boussier pochylał się opiekuńczo nad niewielką grupą złożoną z czterech kobiet i ich dzieci, podobny do starego bernardyna opiekującego się owcami. Andre de Sumer i sześciu żandarmów obracali i nastawiali celowniki obydwu Brenów. Również w drugim wagonie żandarmi przygotowywali się do otwarcia ognia.

- Na co czekacie?!- ryknął Ruffy.- Jeśli jesteście gotowi, zaczynajcie strzelać w to działo!

Karabiny wystrzeliły salwą, do której po chwili dołączyły się Breny. Z każdą serią hełm Andre opadał mu coraz bardziej na oczy, aż musiał przerwać i poprawić go. Leżący na dachu pierwszego wagonu Wally Hendry strzelał krótkimi seriami jakby dla sportu. Shufta zgromadzeni wokół działła rozproszyli się, zostawiając jednego ze swoich leżącego na drodze. Za stalową osłoną znajdowali się jednak jacyś mężczyźni- Bruce widział wyraźnie ich hełmy.

Nagle z lufy działła wytrysnęła długa smuga białego dymu i nad pociągiem przeleciał pocisk, hałasując tak, jakby olbrzymi bażant uderzał skrzydłami w powietrze.

- Za wysoko!- powiedział Ruffy.- Za nisko- skomentował następny wystrzał, gdy pocisk zanurkował w rosnące poniżej drzewa.

- A trzeci prosto w dziesiątkę- uzupełnił Bruce.

Pocisk trafił w tył pociągu. Bruce próbował gorączkowo ocenić uszkodzenia. Kobiety i mężczyźni w tylnych wagonach byli wystraszeni, ale cali. Odetchnął z ulgą. Gdy jednak zdał sobie sprawę, co się stało, ulga zamieniła się w przerażenie.

- Trafili w zaczep- powiedział.- Rozwalili zaczep ostatniego wagonu.

Odległość między pociągiem a ostatnim wagonem powiększała się. Wagon zaczął się

staczać w dół zbocza, odcięty od pociągu, jak ogon jaszczurki.

- Skaczcicie!- ryknął Bruce, układając dłonie przy ustach.- Skaczcicie, zanim nabierze prędkości!

Może go nie słyszeli, a może byli zbyt oszołomieni- nikt nawet nie drgnął. Wagon toczył się w dół z coraz większą prędkością, pędząc w kierunku osady i czekającej tam armii generała Mosesa.

- Co możemy zrobić, szefie?

- Nic- odparł Bruce.

Ogień karabinów otoczył Bruce'a i rozdarł ciszę, podczas gdy wszyscy, nawet Wally Hendry, obserwowali wagon umykający w dół zbocza. Ze ściśniętym gardłem Bruce patrzył, jak stary Boussier pochyła się i pomaga wstać żonie, trzymając ją mocno przy swoim boku i wpatrując się w Bruce'a stojącego na dachu odjeżdżającego pociągu. Boussier uniósł prawą rękę w geście pożegnania, potem opuścił ją i stał spokojnie. Stojący za nim Andre de Sumer zostawił breń i zdjął hełm. On również patrzył na Bruce'a, ale nie kiwał ręką.

Od czasu do czasu działo z osady przerywało ciszę głębokim grzmotem i smugami dymu, ale Bruce prawie tego nie zauważał. Widział, jak shufta biegną na stację, by „przywitać” ludzi w wagonie, który, wytracając prędkość, wjechał na peron i zatrzymał się gwałtownie, uderzając w bufory na końcu toru. Shufta obsiedli wagon jak małe, czarne mrówki ciało chrząszcza. Bruce usłyszał odległe wystrzały karabinów, zobaczył, jak słońce odbija się na ich bagnietach. Odwrócił się.

Dojechali już prawie do szczytu wzgórz. Pociąg nabierał prędkości, ale Bruce nie odczuwał ulgi, tylko łzy zbierające się w kącikach oczu i drapanie w gardle.

- Biedni głupcy- jęknął Ruffy.- Biedni głupcy.

I znowu usłyszeli łomot i odczuli wstrząs- kolejny pocisk sięgnął celu. Tym razem trafił lokomotywę. Rozległ się syk uciekającej pary i pociąg zwolnił, tracąc moc. Zdażyli już jednak przebyć szczyt wzgórza i stracić osadę z oczu. Stopniowo pociąg znów przyśpieszył, zjeżdżając ze zbocza w dół. Ale para ciągle ulatywała z sykiem i Bruce wiedział, że otrzymali śmiertelną ranę. Włączył radio i powiedział:

- Maszynista, słyszysz mnie? Co z lokomotywą?

- Nie wiem, kapitanie. Jest za dużo pary, nie widzę dobrze. Ale ciśnienie gwałtownie opada.

- Zużyj całą parę, by zjechać ze wzgórza. Bezwarunkowo musimy minąć skrzyżowanie, zanim się zatrzymamy. Jest to absolutnie konieczne. Jeśli staniemy przed skrzyżowaniem, będą w stanie dogonić nas na ciężarówkach.

- Spróbuję, kapitanie.

Toczyli się w dół zbocza, ale jak tylko wjechali na równinny teren, prędkość zaczęła raptownie maleć. Przez obłoki pary Bruce dojrzał jasną wstęgę drogi. Kiedy ją przecinali, wciąż jeszcze jechali z przyzwoitą szybkością trzydziestu mil na godzinę. Gdy w końcu pociąg wolno się zatrzymał, Bruce ocenił, że znajdują się w odległości trzech do czterech mil od skrzyżowania, bezpiecznie otoczeni lasem i oddzieleni od drogi trzema zakrętami, co czyniło ich niewidocznymi.

- Wątpię, żeby nas tutaj znaleźli, ale jeśli znajdą będą musieli przyjechać po torach. Zawrócimy i urządzimy zasadzkę w lesie po obu stronach torów- powiedział.

- Te Arabcy nie zapuszczą się w las za nami, szefie. Mają teraz kobiety i bar pełen alkoholu. Miną dwa albo trzy dni, zanim staruszek Moses otrzeźwi ich na tyle, by mogli ruszyć dalej.

- Chyba masz rację, Ruffy. Ale nie możemy ryzykować.

Przygotuj zasadzkę, a potem spróbujemy się zastanowić, jak wrócić do domu.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Martin Boussier miał ze sobą diamenty. Nie spodoba się to w Elisabethville. Niemal natychmiast Bruce poczuł odrazę do siebie. Diamenty były nieistotne w porównaniu z tym co zostawili za sobą w Port Reprieve.

## Rozdział 14

Andre de Sumer trzymał hełm tuż przy piersi, w taki sposób, w jaki żałobnik trzyma kapelusz na pogrzebie. Chłodny wiatr rozwiewał jego przepecone włosy. Ogłuszony był eksplozją pocisku, który oddzielił wagon od pociągu, ale mimo to słyszał płacz dzieci i uspokajające głosy matek. Obrócił się i spojrział na pociąg, rozróżniając potężną sylwetkę Rufty'ego obok postaci Bruce'a na dachu drugiego wagonu.

- Nie mogą nam teraz pomóc- przemówił łagodnie Boussier.- Nie mogą nic zrobić.- Uniósł sztywno rękę w niemal wojskowym salucie i opuścił ją bezradnie.- Bądź dzielna, ma chere- powiedział do żony.- Proszę cię, bądź dzielna.

Na te słowa, kobieta przytuliła się do niego.

Andre wypuścił hełm z rąk. Zadzźwięczał metalicznie, uderzając o stalową podłogę wagonu. Otarł pot z twarzy nerwowym ruchem drżącej ręki i odwrócił się powoli, aby spojrzeć na osadę.

- Nie chcę umierać- wyszeptał.- Nie tak, nie teraz, błagam, jeszcze nie teraz!

Jeden z jego ludzi roześmiał się i podszedł do Brena. Odepchnął Andre na bok i zaczął strzelać do postaci biegnących po stacji.

- Nie!- histerycznie krzyknął Andre.- Nie rób tego, nie rozwścieczaj ich. Zabiją nas za to...

- I tak nas zabiją- uciał żandarm i roześmiał się ponownie, opróżniając magazynek w długiej, rozpaczliwej serii.

Belg ruszył ku niemu; może chciał odciągnąć go od broni, ale jego zdecydowanie rozwiało się. Ręce opadły mu wzdłuż tułowia, palce dłoni zaciskały się i rozprostowywały. W końcu otworzył drżące usta, by wyrzucić z siebie rosnące przerażenie.

- Nie!- krzyknął.- Proszę, nie! Boże, proszę cię, okaż miłosierdzie. Uratuj mnie, nie pozwól, aby mi się to przytrafiło. Proszę cię, Boże, błagam!

Wagon zwalniał, wjeżdżając na peron. Andre widział biegnących, krzyczących mężczyzn z karabinami w rękach; czarnych mężczyzn w brudnych i podartych mundurach; mężczyzn o twarzach wykrzywionych grymasem podniecenia.

Belg skoczył. Upadł na beton, zdzierając naskórek z policzka. Podniósł się na kolana, trzymając się kureczowo za brzuch i próbując krzyczeć. Kolba karabinu trafiła go między łopatki,



przewracając z powrotem na ziemię. Jakiś głos nad nim krzyknął po francusku:

- To biały, zostawcie go dla generała! Nie zabijać.

Znowu ktoś uderzył go kolbą, tym razem w głowę. Leżał oszołomiony, czując w ustach krew i patrząc, jak wyciągają innych z wagonu.

Murzyńskich żandarmów zastrzelili na peronie, bez ceregieli, ze śmiechem prześcigając się w okaleczaniu ciał bagnetami. Dwójka dzieci zginęła szybko- ludzie Mosesa odciągnęli je od matek, pochwycili za nogi i rozbili ich główki o ścianę. Stary Boussier, który usiłował przeszkodzić im w rozebraniu swojej żony, został pchnięty bagnetem w plecy i leżąc już na peronie, postrzelony dwa razy w głowę. Wszystko to wydarzyło się w ciągu zaledwie paru minut. W końcu pojawili się oficerowie, by przywrócić porządek. Do tego czasu Andre i cztery kobiety byli jedynymi osobami z wagonu, które pozostały przy życiu.

Andre leżał tam, gdzie upadł, obserwując z przerażeniem jeżącym mu włosy na głowie, jak zdzierają ubrania z kobiet. Gwałciciele wyli ze śmiechu, patrząc na wyrywające się nagie ciała i kłócili się zawzięcie o pozycję, w której należy je ułożyć. Rozpinali już spodnie, przepychając się i pokrzykując na siebie. Niektórzy mieli ubrania poplamione świeżą krwią.

Wówczas dwaj mężczyźni- którzy, sądząc po respekcie, jaki budzili i po czerwonych szarfach przepasujących ich piersi, byli oficerami- podeszli do rozpasanych żołdaków. Jeden z nich wyciągnął pistolet i wystrzelił w powietrze, by zwrócić na siebie uwagę, po czym wygłosili przemowę, która w końcu przyniosła skutek. Kobiety- zaciągnięto do hotelu i tam pozostawiono.

Jeden z oficerów podszedł do Andre, pochylił się nad nim i chwycił go za włosy, unosząc jego głowę.

- Witaj, mon ami. Generał będzie bardzo rad z twojego widoku. Szkoda, że twoi biali przyjaciele opuścili nas, ale w sumie lepszy jeden niż żaden!

Pociągnął Andre za włosy tak, że ten usiadł, po czym spojrzął mu w twarz i plunął w nią z nagłą pasją.

- Weźcie go! Generał pogada z nim później.

Przywiązali Andre do jednej z kolumn podtrzymujących hotelową werandę i tam go zostawili. Gdyby chciał, mógłby odwrócić głowę i zobaczyć przez duże okna holu, co się dzieje wewnątrz, ale nie zrobił tego. Wystarczyło mu, że słyszał krzyki gwałconych kobiet, które koło południa zamieniły się w jęki i łkanie, by umilknąć zupełnie po południu. Ale kolejka przed hotelem nie zmniejszyła się, wydłużając się aż na werandę. Niektórzy shufta powracali na koniec

kolejki po kilka razy.

Wszyscy byli już mocno pijani. Jakiś rozweselony alkoholem mężczyzna trzymał w jednej ręce butelkę likieru Parfait Amour i butelkę whisky Harpers w drugiej. Za każdym razem gdy wracał na koniec kolejki, zatrzymywał się przed Andre:

- Napijesz się ze mną, białasku?- pytał.- Pewnie, że się napijesz- odpowiadał sam sobie, nabierając alkoholu do ust i plując nim w twarz Andre.

U stojących w kolejce wywoływało to paroksyzm śmiechu. Od czasu do czasu jakiś inny shufta podchodził do Andre, ściągał karabin z ramienia, robił kilka kroków do tyłu, celował bagnetem w twarz Belga i rzucał się na niego, w ostatniej chwili przesuwając bagnet nieznacznie w bok. Za każdym razem Andre krzyczał z przerażenia, co powodowało, że czekający przed hotelem niemal pokładali się ze śmiechu.

Gdy nadszedł wieczór, shufta zaczęli palić domy na obrzeżach miasteczka. Jakaś grupa upojona alkoholem i gwałtem ulokowała się przy końcu werandy i zaczęła śpiewać. Piękne, głębokie głosy niosły ze sobą melancholijną dzikość Afryki. Mężczyźni śpiewali, mimo że dwóch z nich zaczęło się kłócić. Wkrótce kłótnia przerodziła się w bójkę na noże. Przyjemny, basowy rytm śpiewu zagłuszyły ciężkie oddechy i szuranie stóp krążących wokół siebie mężczyzn o obnażonych torsach. Kiedy w końcu doskoczyli do siebie, by zadać śmiertelny cios, śpiew stał się głębszy i silniejszy. Można było w nim wyczuć nutę triumfu. W pewnym momencie jeden z walczących odsunął się, trzymając sztywno w prawej ręce nóż, którego ostrze ginęło w brzuchu przeciwnika. Ten powoli osunął się na kolana. Wraz z jego upadkiem ścichł śpiew, uderzając w żałosny, płaczliwy ton.

Przyszli po Andre, gdy zapadła ciemność. Było ich czterech- mniej pijanych niż reszta. Prowadzili go ulicą do biur Union Miniere. Był tam generał Moses; siedział samotnie przy biurku w pomieszczeniu od ulicy.

Jego sylwetka nie wzbudzała złowieszczych przeczuć. Wyglądał jak starszy wiekiem urzędnik- był niewielkim mężczyzną z krótko przystrzyżonymi, wełnistymi włosami posiwiałymi na skroniach i okularami w rogowej oprawie. Na jego piersi widniały trzy rzędy medali i orderów. Na palcach miał mnóstwo pierścieni z brylantowymi, szmaragdowymi i rubinowymi oczkami. Większość z nich była przeznaczona dla kobiet, ale powiększono je, by mogły się pomieścić na palcach generała. Twarz jego miała by niemal uprzejmy wyraz, gdyby nie oczy. Były puste, nieobecne niczym oczy szaleńca.

Na biurku przed Mosesem stała mała drewniana skrzynka z surowej tarcicy, opatrzona pieczęcią, na której widniał czarny napis „Union Miniere Corporation”. Wieko było otwarte i kiedy Andre wchodził poprzez drzwi z eskortą, generał wyciągnął ze skrzynki woreczek z białego płótna, otworzył go i wysypał na biurko garść ciemnoszarych diamentów przemysłowych.

W zamyśleniu przebierał w nich palcami; lśniły blado w ostrym świetle lampy.

- Czy w wagonie była tylko ta jedna skrzynka?- zapytał, nie podnosząc głowy.

- Oui, mon generał. Tylko ta- odpowiedział jeden z ludzi, którzy przyprowadzili Andre.

- Jesteś pewien?

- Oui, mon generał. Osobiście przeszukałem wagon. Moses wyciągnął kolejny płócienny woreczek i opróżnił go. Mruknął rozczarowany, kiedy zobaczył szare, matowe kamienie. Sięgnął ręką po następny woreczek, potem następny i następny i gniew narastał w nim coraz bardziej, gdy przekonał się, że każdy z nich zawiera tylko szare lub czarne diamenty przemysłowe.

- Czy otwieraliście skrzynkę?- warknął.

- Non, mon generał. Była zapieczętowana. Widział pan, że pieczęć była nie naruszona.

Generał znowu warknął. Jego czekoladowa twarz stężała z wściekłości. Jeszcze raz włożył rękę do skrzynki i nagle uśmiechnął się.

- Aaa- mruknął zadowolony.- Tak, to co my tutaj mamy?- wyciągnął pudełko od cygar z drewna cedrowego, wciąż jeszcze oklejone barwną etykietą. Podważył wieko kciukiem i twarz mu się rozpromieniła. Na wyściółce z waty znajdowały się diamenty jubilerskie, połyskujące bogato i rozszczepiające białe światło lampy na wszystkie kolory tęczy. Generał Moses chwycił jeden diament w palce i popatrzył na niego.- Piękny- szepnął.- Ach, jaki piękny!- Odsunął diamenty przemysłowe na bok i położył go na środku biurka. Potem kolejno wyjmował resztę, pieszcząc każdy palcami i kładąc na stole obok innych. Przeliczał je. Uśmiechając się, a nawet chichocząc, brał do ręki diamenty i układał w różne wzory.- Piękne!- nie przestawał się zachwycać.- Czterdzieści jeden, czterdzieści dwa... Moje złociutkie! Czterdzieści trzy.

Nagle zgarnął je i wysypał do jednego z płóciennych woreczków, zawiązując go dokładnie. Woreczek włożył do kieszeni na piersi, tuż ponad medalami, i zapiął ją starannie. Zabezpieczywszy diamenty, położył swoje czarne, pokryte klejnotami dłonie na biurku i spojrzał na Andre. Oczy miał zamglone, z czarnymi plamkami źrenic widocznymi zza okularów.

- Rozbierzcie go- powiedział głosem, który był tak samo beznamiętny jak jego oczy.

Pośpiesznie, z pomocą paru szturchańców, rozebrano Belga i generał Moses spojrzął na jego ciało.

- Taki biały- mruknął.- Dlaczego on jest taki biały?- Nagle zaczął nerwowo poruszać szczękami; na jego czole zalśniły krople potu. Obszedł biurko. Był niewysokim mężczyzną, ale pasja, która w nim tkwiła, sprawiała, że wydawał się o wiele większy.

- Biały jak robak, który pasożytuje w ciele żywego słonia- powiedział i przysunął twarz do twarzy Andre.- Powinieneś być tłściejszy, robaczku. Powinieneś być o wiele bardziej tłusty.

- Zaczął dotykać ciała Andre, przebiegając rękoma wzdłuż jego boków.- Ale teraz jest już za późno, biały robaczku- dodał. Andre skurczył się pod wpływem dotyku i głosu Mosesa.- Teraz słoń strząsnął cię z otwartej rany na ziemię, strząsnął cię pod nogi. Ciekawe, czy pęknie z hukiem jak prażona kukurydza, kiedy na ciebie nastąpi?- Jego głos był wciąż łagodny. Pot spływał mu po policzkach, pozostawiając brudne ślady, a puste oczy wypełniły się złowieszczym blaskiem.- Zobaczmy- powiedział i cofnął się.- Zobaczmy, robaczku- powtórzył i z całej siły uderzył Belga kolanem w krocze.

Potworny ból wypełnił podbrzusze Andre, jak gdyby ktoś przebił go rozżarzoną do białości metalowym szpikulcem. Ból ścisnął mu żołądek jak w imadle. Skurcz niczym u rodzącej kobiety przebiegł falą przez klatkę piersiową i sięgnął głowy, gdzie eksplodował pod czaszką oślepiającą bielą.

- Trzymajcie go- rozkazał generał Moses głosem, który nagle stał się ostry i przenikliwy.

Dwóch strażników chwyciło Andre za łokcie, zmuszając go do klęknienia, tak żeby jego genitalia i podbrzusze były w zasięgu butów generała. Robili to już wcześniej dosyć często.

- Za czas, który przesiedziałem za kratkami!- ryknął Moses i kopnął Belga nogą obutą w ciężkie wojskowe buty.

Świeży ból zlał się ze starym i Andre zabrakło sił, aby krzyknąć.

- A to za wszystkie zniewagi!

Andre czuł, jak kopniaki miażdżą jego jądra. Ból wciąż był tak silny, że nie mógł go wykrzyknąć.

- A to za to, że musiałem się czołgać przed wami!

Ból minął już swoje apogeum- Andre mógł wreszcie wydobyć z siebie głos. Otworzył usta i wciągnął powietrze do płuc.

- To za to, że przymierałem głodem!

Teraz musiał krzyczeć, musiał. „Co za ból- pomyślał.- słodki Jezu, proszę, błagam, pozwól mi krzyczeć!!!”

- A to za sprawiedliwość białego człowieka!

„Dlaczego nie mogę krzyczeć, błagam, pozwól mi. Tylko nie ten ból, nie! Błagam, nie, mój Boże, proszę cię!”

- A to za wasze więzienia!

Szybkość kopnięć wzrastała, tak że wydawało się, iż jakiś szalony perkusista wali w bębny. Andre czuł, jak coś pęka w jego żołądku.

- I za to, i za to, i za to...

Twarz, którą miał przed sobą, wypełniała całe pole jego widzenia, słuch rejestrował tylko dźwięk głosu generała.

- Za to, za to, za to...

Moses krzyczał piskliwie, podczas gdy Andre czuł, jak ciepła krew rozlewa się w jego ciele. Ból minął- organizm zobojętniał na bodźce; Belg nie musiał już krzyczeć. Ogarnęło go uniesienie. „Tę ostatnią rzecz mogę zrobić dobrze. Mogę umrzeć bez krzyku”. Próbował wstać, ale trzymający go shufta nie pozwolili mu na to, a jego nogi stały się jakby osobnymi istotami oddzielonymi od reszty ciała wielką jamą brzuszną. Podniósł głowę i spojrzał na mężczyznę, który go zabijał.

- To za białe plugastwo, które cię zrodziło, a to za... Ciosy nie należały już do rzeczywistości- Andre czuł się tak, jak gdyby stał blisko człowieka, który ścina drzewo siekierą. Uśmiechnął się. Śmiał się wciąż, kiedy puścili go i upadł na podłogę.

- Chyba nie żyje- powiedział jeden z mężczyzn. Generał Moses odwrócił się i powrócił na miejsce za biurkiem.

Trząsł się, jakby przebiegł długi dystans. Oddychał szybko i głęboko. Marynarka jego munduru była przesiąknięta potem. Zagłębił się w krześle- jego ciało wydawało się zeschnięte i pomarszczone. Blask oczu powoli zniknął; po chwili znowu zamglily się, tracąc blask. Shufta przykucnęli cicho po obu stronach ciała Andre. Wiedzieli, że mają przed sobą długie oczekiwanie.

Przez otwarte okno dobiegały od czasu do czasu wybuchy pijackiego śmiechu, a w szybach odbijało się krwawe migotanie ognia.

## Rozdział 15

Bruce stał na torach i rozglądał się uważnie po otaczającym go buszu. W końcu zauważył lufę Brena wystającą na kilka centymetrów z kępy słoniowej trawy. Mimo że wiedział gdzie jej szukać, stracił ze dwie minuty, aby ją odnaleźć.

- To wystarczy, Ruffy- zdecydował.- Nie można tego zrobić lepiej.

- Chyba nie, szefie.

- Słyszycie mnie?- krzyknął Bruce i usłyszawszy przytłumione potwierdzenia, kontynuował:- Jeśli nadjadą, pozwólcie im zbliżyć się do miejsca, które oznaczę, i dopiero wtedy otwórzcie ogień.- Podszedł do krzewu, odłamał gałązkę i rzucił na tory.- Widzicie ją?- Znow rozległy się głosy potwierdzenia.- Przyślę zmianę, zanim zapadnie zmrok; do tego czasu zostanieie tutaj.

Pociąg stał za zakrętem jakieś pół mili od miejsca zasadzki. Bruce i Ruffy ruszyli ku niemu. Czekał na nich maszynista, rozmawiając przy ostatnim wagonie z Wallym Hendrym.

- Jest jakaś szansa?- zapytał Bruce.

- Z przykrością muszę pana powiadomić, mon capitaine, że lokomotywy nie da się naprawić. Kocioł jest pęknięty w dwóch miejscach, a miedziana obudowa jest prawie zupełnie zniszczona.

- Dziękuję.- Bruce kiwnął głową. Nie był zaskoczony ani rozczarowany. Jego własna ocena uszkodzeń lokomotywy po krótkim przeglądzie pokrywała się ze słowami maszynisty.- Gdzie jest madame Cartier?- zapytał Wally'ego.

- Madame przygotowuje południowy posiłek, monsieur- sarkastycznie odparł Wally.- Po co pytasz, koziołku? Znowu masz ochotę, co?

Bruce prychnął tylko pogardliwie i przeszedł obojętnie obok Wally'ego. Znalazł Shermaine i czterech żandarmów w kabinie lokomotywy. Wybierali węgiel z paleniska, wrzucając go do małego ogniska rozpalonego na stalowej podłodze. W dwudziestolitrowych garnkach gotowały się ziemniaki z cebulą. Żandarmi śmiali się z jakiegoś dowcipu Shermaine. Jej blade zwykle policzki były zaróżowione od ciepła. Czoło miała poplamione sadzą. Posługiwała się nożem niczym najbardziej wprawny kucharz. Podniosła głowę i na widok Bruce'a, twarz jej się rozpromieniła, a usta rozchyliły w uśmiechu.

- Będziemy mieli węgierski gulasz na obiad: konserwa z wołowiny, ziemniaki i cebula!

- Od tej chwili mianuję cię pełniącą obowiązki drugiego kucharza, bez pensji.

- Jakże to uprzejmie z pana strony- powiedziała i pokazała mu język, różowy i spiczasty jak u kota.

Patrząc na niego, Bruce poczuł znajomy skurcz lędźwi i suchość w gardle.

- Shermaine, lokomotywy nie da się naprawić. Nie możemy jej już użyć- przeszedł na angielski.

- Jest z niej całkiem znośna kuchnia- sprzeciwiła się.

- Mówię poważnie- zdenerwował się Bruce.- Utknęliśmy tutaj na dobre, chyba że coś wymyślimy.

- Ależ, Bruce, jesteś geniuszem. Mam do ciebie całkowite zaufanie. Jestem pewna, że wpadniesz na jakiś wspaniały pomysł!- Mówiąc to, miała poważny wyraz twarzy, ale zdradziły ją oczy: nie mogła ukryć iskierek rozbawienia.- Dlaczego nie udasz się do generała Mosesa poprosić go, żeby wypożyczył ci transport?

Oczy Bruce'a zwięziły się w zamyśleniu, a łuki brwi niemal spotkały się nad nosem.

- Lepiej żeby jedzenie było dobre, bo zdegraduję cię do stopnia trzeciego kucharza!- ostrzegł, schodząc z parowozu i pognął wzdłuż pociągu.

- Hendry, sierzancie, chodźcie tutaj. Chcę z wami coś przedyskutować.

Przyłączyli się do niego i weszli do jednego z wagonów pasażerskich. Hendry opadł na kuszetkę, opierając stopy o umywalkę.

- To był szybki numer- wyszczerzył zęby okolone miedzianym zarostem.

- Jesteś najbardziej gruboskórnym sukinsynem, jakiego spotkałem- powiedział chłodno Bruce.- Kiedy wrócimy do Elisabethville, zamienię cię na miazgę, zanim postawię cię przed sądem za morderstwo.

- No, no- roześmiał się Hendry.- Mowa trawa, co? Za dużo gadasz, Curry.

- Nie zmuszaj mnie do tego, abym cię zabił już teraz. Nie rób tego, proszę cię. Jesteś mi jeszcze potrzebny.

- Co jest między tobą a tą francuską cizią? Zakochałeś się czy co? Kochasz ją, a może tylko podoba ci się ta mała, tłusta dupcia? Nie napalasz się chyba na jej cycki; nie ma tego dużo, nie ma nawet za co chwycić.

Bruce wstał i już ruszył w kierunku Wally'ego, ale zmienił zamiar, odwrócił się na pięcie i zaczął wpatrywać się w okno.

- Umówmy się tak, Hendry. Do chwili, kiedy się stąd wydostaniemy, trzymaj się z dala ode mnie, a ja nie będę wchodził tobie w paradę. Kiedy dojedziemy do węzła Msapa, umowa się kończy. Możesz robić i mówić, co ci się żywnie podoba i jeśli cię za to nie zabiję, to na pewno dołożę wszelkich starań, żebyś zawisł na szubienicy za morderstwo.

- Nie wchodzę w żadne układy ani z tobą, Curry, ani z nikim innym. Bawię się w to tak długo, jak długo mi to pasuje; kiedy przestanie pasować, nie mam zamiaru ci o tym mówić. I jeszcze jedno, koziołku: ani ty, ani nikt inny nie jest mi potrzebny. Ani Haig, ani ty z twoją gadką. Zapamiętaj to, Curry! Kiedy nadejdzie pora, zamierzam pokazać ci, gdzie jest twoje miejsce. I nie mów, że cię nie ostrzegąłem.

Hendry siedział pochylony do przodu, z rękoma na kolanach. Jego ciało było spięte, a twarz wykrzywiona pasją.

- W porządku. Załatwmy to teraz- rzucił Bruce. Odwrócił się od okna i stanął na ugiętych nogach, z dłońmi wyprostowanymi jak do walki dżudo.

Sierżant Ruffararo podniósł się z kuszetki. Jak na takiego olbrzyma zrobił to z zadziwiającą gracją i szybkością. Stanął między Bruce'em a Wallym.

- Chciał pan z nami o czymś porozmawiać, szefie. Powoli Bruce wyprostował się i opuścił ręce. Gniewnym ruchem odsunął kosmyk ciemnych włosów z czoła, jak gdyby chciał tym samym usunąć Wally'ego ze swej pamięci.

- Tak- powiedział, z trudem panując nad głosem.- Chciałem omówić nasze następne posunięcie.- Wyciągnął papierosa z górnej kieszeni i zapalił, zaciągając się głęboko. Następnie usiadł na umywalce i przyglądał się popiołowi na końcu papierosa. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos brzmiał już normalnie.- Nie ma szans na naprawienie lokomotywy, więc będziemy musieli znaleźć inny środek transportu, aby się stąd wydostać. Mamy dwa wyjścia: albo wracamy piechotą do odległego o dwieście mil węzła Msapa, po drodze „dyskutując” z naszymi przyjaciółmi z plemienia Baluba o prawie do przejścia przez ich tereny, albo jedziemy z powrotem w ciężarówkach generała Mosesa!

Przerwał, aby dać im czas na przemyślenie propozycji.

- Zamierza pan podwędzić mu te ciężarówki, szefie?- zapytał Ruffy.- To będzie wymagało trochę wysiłku.

- Nie widzę innego sposobu na wydostanie się stąd. Musimy tylko zaatakować miasteczko i wytłuc ich.



- Chyba ci się popierdzieliło- krzyknął Walty.- Gadasz, jakbyś całkiem zbzikował!

Bruce zignorował go i ciągnął dalej:

- Sądzę, że Moses ma około sześćdziesięciu ludzi. Bez Kanaki i dziewiątki na moście, Haiga i de Sumera oraz szóstki, która była z nim w wagonie, zostaje nam trzydziestu czterech żołnierzy. Zgadza się, sierzancie?

- Tak jest, szefie.

- To dobrze- kiwnął głową Bruce.- Będziemy musieli zostawić co najmniej dziesięciu ludzi tutaj, aby obsadzić zasadzkę, gdyby Moses wpadł na pomysł wysłania patrolu albo gdyby zaatakowali pociąg Balubasi. Wiem, że dziesięciu nie wystarczy, ale musimy podjąć to ryzyko.

- Większość cywilów jest uzbrojona, mają dubeltówki i karabinki sportowe- zauważył Ruffy.

- Zgadza się- powiedział Bruce.- Powinni być w stanie zadbać o siebie. To daje nam w sumie dwudziestu czterech ludzi do przeprowadzenia ataku; wypada trzech na każdego z nas.

- Shufta będą tak pijani, że połowa z nich nie będzie mogła utrzymać się na nogach.

- Na to właśnie liczę: pijaństwo i zaskoczenie. Uderzymy na nich i postaramy się zakończyć atak, zanim zorientują się, co się stało. Nie sądzą, aby sobie zdawali sprawę, jak bardzo uszkodzili naszą lokomotywę. Pewnie myślą, że jesteśmy już ze sto mil od Port Reprieve.

- Kiedy ruszamy, szefie?

- Mamy do przebycia około dwudziestu mil; powiedzmy jakieś sześć godzin marszu po ciemku. Chciałbym zaatakować jutro wczesnym rankiem, ale dobrze by było zająć pozycje już o północy. Wyruszymy o szóstej, tuż przed zapadnięciem ciemności.

- Lepiej pójdę i wybiorę chłopaków.

- Okay, Ruffy. Wydaj każdemu dodatkowe sto naboju i dziesięć granatów. Ja sam będę również potrzebował dodatkowych czterech wiązek granatów.- Bruce zwrócił się do Hendry'ego, dopiero teraz patrząc na niego:- Idź z sierżantem, Hendry, pomóż mu.

- Chryste, to dopiero będzie potańcowa- uśmiechnął się Wally.- Jak będę miał szczęście, to będę miał plecak pełen uszu- rzucił i znikł na korytarzu za Ruffym.

Bruce położył się na kuszetce i zdjął hełm. Zamknął oczy i jeszcze raz zobaczył, jak Boussier z żoną stoją razem w wagonie toczącym się w dół zbocza; zobaczył zbite w grupkę przestraszone kobiety i Andre stojącego z gołą głową i wpatrującego się w niego dużymi, łagodnymi oczyma.

- Dlaczego zawsze spotyka to tych dobrych, bezbronnych, słabych?- jęknął cicho.

Pukanie do drzwi przywróciło go do rzeczywistości- Bruce szybko usiadł.

- Kto tam?- zapytał.

- Cześć, Bruce.- Do przedziału wkroczyła Shermaine z wielokomorową menażką w jednej ręce i dwoma kubkami w drugiej.- Czas na obiad.

- Już?- spojrział na zegarek.- Na Boga, już po pierwszej.

- Jesteś głodny?

- Śniadanie było całe wieki temu.

- To dobrze- powiedziała, podniosła stoliczek przy oknie i zaczęła rozkładać jedzenie.

- Pachnie wspaniale.

- Jestem kucharką z trzygwiazdkowej restauracji. Mój gulasz z wołowiny z puszki jest przysmakiem europejskich koronowanych głów.

Jedli w milczeniu- oboje byli głodni. Raz spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się, ale zaraz wrócili do jedzenia.

- Pyszności- wyrzucił z siebie wreszcie Bruce.

- Kawy?

- Poproszę.

- Więc co robimy?- zapytała nalewając.

- Masz na myśli nas dwoje w tym przedziale?

- Jest pan szybki, monsieur. Mam na myśli naszą szansę wydostania się stąd.

- Skłaniam się ku twojej propozycji: pożyczymy ciężarówkę generała Mosesa.

- Żarty sobie stroisz, Bruce!

- Nie- powiedział i wyjaśnił jej krótko swój plan.

- To może być niebezpieczne, prawda? Mogą cię zranić.

- Tylko ci dobrzy umierają młodo.

- Dlatego się martwię. Proszę cię, nie daj się postrzelić. Nie mogę nawet myśleć o tym.

Była poważna i blada. Bruce wstał szybko, pochylił się nad dziewczyną i ujął jej twarz w dłonie.

- Shermaine, ja...

- Nie, Bruce. Nie mów nic. Nie mów nic.

Oczy miała zamknięte. Uniesiony podbródek uwydatniał długą, gładką szyję, którą on

teraz delikatnie pocałował. Ciche westchnienie wyrwało się z jej gardła- czuł, jak dziewczyna drży. Jej ciało przylgnęło do jego ciała, a jej palce wplotły się w jego włosy.

- Och, Bruce, kochany Bruce... Nie daj się postrzelić, proszę! Nie pozwól, by cię zranili. Jego usta, spragnione i niecierpliwe, zaczęły szukać jej ust jak myśliwy zwierzyny. Jej wargi wyszły mu naprzeciw, jak gdyby były chętną zdobyczą. Rozchyliły się pod naporem jego języka. Bruce czuł chłód jej nosa na swoim policzku; przesunął ręką wzdłuż pleców Shermaine, zatrzymując dłoń na jej wysmukłej szyi.

- Och, Bruce...- powiedziała prosto w jego usta.

Druga ręka Bruce'a spoczywała na jędrnej wypukłości pośladków. Przysunął jej podbrzusze do swojego i dziewczyna jęknęła, wyczuwając poprzez materiał jego nabrzmiałą męskość.

- Nie- powiedziała, z trudem łapiąc powietrze i próbując się uwolnić. Ale Bruce trzymał ją mocno. Potrząsnęła głową mówiąc:- Non, non- lecz jej usta były wciąż rozchylone, a jej język wciąż ocierał się o język Bruce'a.

Przesunął teraz rękę w dół, wyciągnął jej koszulę spod paska, a potem znów jego dłoń powędrowała w górę, wzdłuż kręgosłupa, co spowodowało, że dziewczyna zadrżała i przylgnęła do niego. Gładząc aksamitną skórę pokrywającą mięśnie, odkrywając ręką zarys jej łopatek i pieszcząc jej jedwabistą pachę, przez którą omal nie oszalał z podniecenia, Bruce przesunął szybko dłoń w kierunku piersi, małych piersi, których miękkie sutki twardniały pod jego dotykiem.

Teraz Shermaine próbowała naprawdę się wyrwać- biła pięściami w jego plecy, a jej usta odsuwały się od jego ust. Bruce przestał- opuścił dłoń i przytrzymał ją w pasie.

- Nie podobało mi się to, Bruce. Robisz się nieznośny!

Jej policzki były zaróżowione, a błękitne oczy stały się niemal granatowe. Usta miała wciąż wilgotne od jego pocałunku, a głos drżący.

- Przepraszam, Shermaine. Nie wiem, co mi się stało. Nie chciałem cię przestraszyć.- Jego głos także drżał.

- Jesteś bardzo silny, Bruce. Ale nie przestraszyłeś mnie, no, może troszeczkę. Twoje oczy mnie przerażają, kiedy patrzą na mnie, ale mnie nie widzą.

„Naprawdę to spartaczyłeś- pomyślał z wyrzutem.- Bruce Curry: łagodny, wyrafinowany kochanek. Bruce Curry: gwałciciel wagi ciężkiej”. Poczul się niedobrze. Nogi miał jak z waty, a

oddychanie przychodziło mu z trudem.

- Nie nosisz stanika- powiedział bezmyślnie i natychmiast tego pożałował, ale Shermaine zaśmiała się cicho.

- Sądzisz, że jest mi potrzebny, Bruce?

- Nie, nie to miałem na myśli- zaprotestował szybko, pamiętając wyzywający kontur jej małych piersi. Umilkł, porządkując myśli, próbując zapanować nad oddechem i szaleństwem pożądania.

Shermaine patrzyła mu w oczy.

- Teraz znowu widzisz; może pozwolę ci na małego całusa.

- Proszę- powiedział i dziewczyna ponownie przysunęła się do niego.

„Teraz łagodnie, Bruce”- pomyślał.

Drzwi przedziału odskoczyły z hukiem- Bruce i Shermaine przestraszyli się. W wejściu stał Wally Hendry.

- No, no, no- powiedział i przebiegł swoim lisim wzrokiem po przedziale.- Milutko tu u was!

Shermaine pośpiesznie doprowadzała się do porządku, jednocześnie usiłując wetknąć koszulę za pasek i przygładzić włosy.

- Zawsze mówiłem, że nic tak dobrze nie działa na trawienie- zaśmiał się Wally.

- Czego chcesz?- warknął Bruce.

- Przynajmniej wiadomo, czego ty chcesz- odparł.- Wygląda na to, że dostajesz to.- Jego oczy taksowały Shermaine od bioder aż po twarz.

Bruce wypchnął Wally'ego na korytarz, wyszedł za nim i głośno zamknął drzwi.

- Czego chcesz?- powtórzył.

- Ruffy chce, abyś sprawdził stan przygotowań, ale powiem mu, że jesteś zajęty. Możemy odłożyć atak na jutrzejszą noc, jeśli chcesz.

Bruce spojrział na niego spode łba i powiedział:

- Powiedz mu, że przyjdę za dwie minuty. Wally oparł się o drzwi.

- W porządku, powiem mu.

- Na co czekasz?

- Na nic, po prostu na nic- wyszczerzył zęby Wally.

- No to spieprzaj stąd- warknął Bruce.

- Dobra, dobra, nie ekscytuj się tak, koziołku- powiedział i powoli oddalił się korytarzem. Shermaine stała tam, gdzie Bruce ją zostawił. W jej oczach pojawiły się łzy gniewu.
  - Co za świnia z niego. Co za podła świnia!
  - Nie jest wart twoich łez.- Bruce próbował objąć ją, ale dziewczyna wyrwała się.
  - Nienawidzę go! Potrafi wszystko splugawić.
  - Tego co istnieje między mną a tobą, nie da się splugawić- powiedział Bruce i Shermaine uspokoiła się natychmiast.
  - Wiem, Bruce. Ale on powoduje, że może się wydawać, iż wszystko jest takie tandetne i wstrętne.
- Pocałowali się delikatnie.
- Muszę już iść. Potrzebują mnie.
- Jeszcze przez chwilę dziewczyna tuliła się do niego.
- Uważaj na siebie! Obiecuj mi, że będziesz uważał.
  - Obiecuję- powiedział Bruce i dopiero wtedy pozwoliła mu odejść.

## Rozdział 16

Wyruszyli przed zapadnięciem zmroku. W ciągu popołudnia nadciągnęły chmury i zawisły nisko nad dżunglą.

Bruce szedł na przodzie, Ruffy w środku, a kolumnę zamykał Hendry. Kiedy doszli do skrzyżowania, było już ciemno i zaczął padać deszcz. Duże, łagodne i ciepłe krople szumiały cicho w ciemności podobne do płaczu kobiety wyczerpanej żalem. Nie było nic widać. Bruce nie widział nawet czubka swego nosa; mógł najwyżej sprawdzić ręką, czy jeszcze jest na miejscu. Używał kija, by posuwać się wzdłuż torów, posługując się nim jak ślepiec laską. Przy każdym kroku żwir chrzęścił pod jego stopami. Mężczyzna idący za nim trzymał rękę na jego ramieniu. Bruce wyczuwał obecność żołnierzy posuwających się za nim niczym wąż, słyszał chrzęst ich kroków. Ktoś podniósł głos, ale został natychmiast uciszony przez Ruffy'ego.

Przeszli przez drogę i nachylenie gruntu zmieniło się pod stopami Bruce'a, tak że musiał się pochylić. Zaczynali się wspinać na wzgórze Lufira. „Pozwolę im odpocząć na szczycie-pomyślał.- Stamtąd powinniśmy zobaczyć światła miasteczka”.

Deszcz raptownie przestał padać i ogarnęła ich zaskakująca cisza. Bruce słyszał wyraźnie oddech idącego za nim żołnierza. W lesie zarechotała żaba, wydając metaliczny odgłos, jak gdyby kawałki metalu brzęknęły o kryształ. Był to czysty i bardzo piękny dźwięk.

Wobec niemożności korzystania ze wzroku wyostrzyły się inne zmysły Bruce'a. Węch pozwalał mu wyłapywać przesłodzony zapach kwiatów w dżungli i ciężki, duszny zapach gnijącej roślinności. Dotyk pozwalał rozróżnić pojedyncze krople deszczu na twarzy i fakturę materiału ubrania przyklejającego się do jego ciała. Nagle jakiś inny, zwierzęcy zmysł powiedział mu skurczem w żołądku, że coś czai się przed nim w ciemności.

Zatrzymał się i człowiek idący z tyłu uderzył w niego, powodując, że Bruce się zachwiał. Fala przebiegła przez kolumnę, która natychmiast stężała w oczekiwaniu. Bruce wyteżył słuch, pochylił się i podniósł broń. Przed nim było coś, czego mógł niemal dotknąć. „Błagam cię, Boże, żeby tylko nie mieli karabinu maszynowego- pomyślał.- To byłaby prawdziwa jatka”. Odwrócił się ostrożnie, ręką namacał głowę mężczyzny idącego za nim i przyciągnął ją do siebie. Kiedy jego usta znalazły się zaledwie parę centymetrów od ucha tamtego, szepnął:

- Połóż się cicho. Powiedz temu za tobą, żeby przekazał to dalej.

Bruce zastygł, wsłuchując się i próbując przebić wzrokiem ciemności. Po chwili poczuł

łagodnie stuknięcie w kostkę. Żandarm leżący u jego stóp dał mu znać, że wszyscy już leżą.

- W porządku, zobaczymy, co to jest.

Oddzielił granat od wiązki przytroczonej do paska, wyciągnął zawleczkę i wsunął ją do kieszonki na piersi. Szukając stopami podkładów, ruszył naprzód. Zrobił dziesięć kroków i zatrzymał się.

Nagle usłyszał dźwięk dwóch uderzających o siebie kamyków. Żołądek ciążył mu, jak gdyby był z kamienia. „Jestem o parę kroków od nich, jeśli teraz zaczną strzelać...”- pomyślał.

Powoli, cal po calu, odciągnął rękę trzymającą granat. „Muszę rzucić nisko, a potem szybko paść na ziemię. Pięciosekundowy zapalnik- to za dużo, usłyszą lecący granat i zaczną strzelać”. Ręka z granatem była odchylona do tyłu. Bruce ugiął kolana i powoli opadł na nie. „No, to zaczynamy”- pomyślał. W tym momencie błyskawica przecięła niebo i Bruce zobaczył czarny zarys wzgórz na tle bladych, zwalistych chmur i szyny odbijające światło błyskawicy. Po obu stronach majaczył ciemny i wysoki las, a przed Bruce'em stał... wielki żółto- czarny lampart. W tej krótkiej chwili, kiedy błyskawica rozdarła niebo, wpatrywali się w siebie- człowiek i zwierzę- a potem na powrót zakryła ich noc.

Lampart ryknął głośno. Bruce próbował za wszelką cenę unieść broń i wymierzyć, ale karabin miał w lewej ręce, a prawą wciąż trzymał odciągniętą do tyłu. „Tym razem to pewne- pomyślał.- Tym razem jest już po mnie”.

Nagle z niedowierzaniem zdał sobie sprawę, że zwierzę ucieka, hałaśliwie przedzierając się przez busz. Osunął się na plecy, z odbezpieczonym granatem w ręce, czując jak wzbiera w nim histeryczny śmiech ulgi.

- Nic się panu nie stało, szefie?- nerwowo zapytał Ruffy.

- To był lampart- odparł Bruce, zaskakującym dla niego samego piskliwym głosem.

Rozległ się szmer podnoszących się żandarmów i szcęk broni. Ktoś się roześmiał.

- Dość tego hałasu- rzucił ostro Bruce, podnosząc się. Wyciągnął zawleczkę z kieszeni i włożył z powrotem na swoje miejsce. Po omacku cofnął się, podniósł swą laskę i zajął miejsce na czele kolumny.- Idziemy- zakomenderował.

Usta miał suche, oddech przyśpieszony, a policzki gorące od szoku wywołanego spotkaniem z lampartem. „Wstrzyknąłem sobie porządną dawkę adrenaliny- pomyślał, uśmiechając się niepewnie w ciemności.- Jestem strachliwy jak diabli. A zanim ten dzień się skończy, będę się bał jeszcze nie raz”.

Posuwali się w górę zbocza, podobni do węża składającego się z dwudziestu sześciu mężczyzn. Napięcie rosło. Bruce wyczuwał je w krokach rozlegających się za nim, czuł je w uchwycie dłoni na swoim ramieniu i w zapachu ciał, który od czasu do czasu uderzał go w nozdrza, zapachu potu podobnym do odoru wydzielanego przez metal, na który wylano kwas.

Przed nimi chmury, wiszące dotychczas nisko nad wzgórzami, uniosły się powoli, odsłaniając szczyty. Zupełna ciemność została rozjaśniona poświatą. Błady, pomarańczowy blask odbitego światła stawał się coraz jaśniejszy, następnie słabł, by za chwilę znów rozbłysnąć. Uderzyło to Bruce'a. Myślenie o tym zjawisku pozwoliło mu ukoić rozstrojone nerwy, z wyteżoną uwagą obserwował drgania światła. Zbocze stało się teraz bardziej strome, zmuszając go do pochylecia się i wspinania z mozołem w kierunku przełęczy między dwoma szczytami. W końcu udało mu się osiągnąć cel.

- Mój Boże!- powiedział głośno, zdając sobie sprawę, co jest powodem zjawiska, które nękało go podczas wspinaczki.

Shufta podpalili Port Reprieve. Płomienie szalały wśród budynków stojących wzdłuż nabrzeża. Na oczach Bruce'a dach jednego z nich załamał się, wzniesając snop iskier i ukazując nagie ściany z gwałtownie płonącymi parapetami okien. Budynki stacji również się paliły, podobnie jak chaty mieszkalne za biurami Union Miniere i hotelem. Bruce szybko przeniósł wzrok na misję Świętego Augustyna. Była ciemna, nie widać było śladu ognia ani nawet jakiegokolwiek światła. Odetchnął z ulgą.

- Może przeoczyli ją, może są zbyt zajęci rabunkiem- powiedział do siebie. Kiedy znów spojrział na Port Reprieve, jego twarz stężała:- Niewyżyte bydlaki!- wyrzucił z siebie, z rosnącym gniewem patrząc na bezmyślne niszczenie miasteczka.- Co im to da?- wyszeptał, widząc nowe punkty ognia w pobliżu hotelu. Odwrócił się do człowieka stojącego za nim i powiedział:- Odpocznijmy tutaj. Nie wolno palić ani gadać.

Słyszał, jak przekazywano rozkaz z ust do ust i jak ostrożnie składano broń, siadając na żwirowym nasypie. Wyciągnął lornetkę z futerału i spojrział na płonąca osadę.

W Port Reprieve było jasno jak w dzień od szalejących płomieni. Bruce mógł niemal rozróżnić ciemne sylwetki ludzi na ulicach. Chodzili w grupach, dobrze uzbrojeni i niespokojni. Wielu z nich trzymało butelki, a niektórzy poruszali się niepewnie oszołomieni alkoholem. Próbował policzyć, ilu ich jest, ale było to niemożliwe: znikali w budynkach, wychodzili z nich, grupy spotykały się, mieszały, rozdzielały.



Opuścił lornetkę, by dać odpocząć oczom i usłyszał jakiś odgłos ruchu obok siebie. To był Ruffy. Jego olbrzymie ciało wydawało się większe niż zazwyczaj. Na jednym ramieniu niósł karabin, na drugim skrzynkę z amunicją, a z szyi zwisało mu sześć wiązek granatów.

- Zdaje się, że mają dobrą zabawę co, szefie?

- Tak, coś jakby piąty listopada- zgodził się Bruce.- Nie odpoczniesz trochę?

- Czemu nie?- odparł Ruffy, zdejmując skrzynkę z amunicją i opierając się o nią.- Czy widział pan kogoś z tych, których zostawiliśmy w wagonie?- zapytał.

Bruce uniósł lornetkę i przeszukał wzrokiem okolice stacji. Nie było tam tak jasno, ale widział dokładnie prostokątny kształt wagonu stojącego pośród ruszających się cieni.

- Wagon wciąż tam jest- powiedział niewyraźnie.- Ale nie widzę...- W tym momencie słomiany dach jednego z domów wystrzelił w górę słupem ognia, oświetlając stację i wagon- Tak- powiedział.- Widzę ich teraz.

Ciała leżały porzucone niedbale na peronie. Wydawały się małe i kruche, nie chciane jak zepsute zabawki.

- Zabici?- zapytał Ruffy.

- Zabici- powiedział Bruce.

- Kobiety?

- Trudno powiedzieć.- Bruce wyteżył wzrok- Nie sędzę.

- Nie.- Głos Ruffy'ego był głęboki i przyciszony.- Nie zmarnowaliby takiej okazji. Założę się, że zawlekli je do hotelu, dogadzając sobie kolejno. Tylko cztery kobiety; nie przeżyją nocy. Te gnoje zamęcząliby słonia na śmierć.- Splunął w zamyśleniu.- Co pan zamierza, szefie?

Bruce przez chwilę nie odpowiadał. Spojrzał na pozostałą część osady. Działo wciąż stało tam, gdzie je widział ostatnio, z lufą wymierzoną oskarżycielsko w jego kierunku. Ciężarówki stały zaparkowane przed biurami Union Miniere. Widział jaskrawe, żółto-czerwone barwy cysterny i znak Shella. „Mam nadzieję, że jest pełna- pomyślał.- Będziemy potrzebowali mnóstwo benzyny, aby dotrzeć do Elisabethville”.

- Ruffy, powiedz chłopcom, żeby pod żadnym pozorem nie strzelali do cysterny, inaczej czeka nas długi spacer.

- Powiem im- mruknął Ruffy.- Ale zna pan tych szalonych Arabów, jak zaczną strzelać, nie przestaną, aż im się amunicja nie skończy. Nie bardzo też interesuje ich, gdzie strzelają.

- Po zejściu ze wzgórza, rozdzielimy się na dwie grupy. My obaj przeprowadzimy naszą

wzdłuż brzegu bagna na drugą stronę miasta. Powiedz porucznikowi Hendry'emu, żeby przyszedł do mnie- dodał po chwili. Począł, aż Wally przyłączył się do nich i wtedy kontynuował:- Hendry, ty i twoi ludzie zajmiecie pozycję tam, gdzie zaczyna się główna ulica, po tej stronie stacji, która znajduje się w mroku. Ruffy i ja przejdziemy brzegiem bagna do grobli i tam zostaniemy. I, na Boga, nie otwierajcie ognia, dopóki nasza grupa nie zaatakuje. Jeśli zaczniecie strzelać wcześniej, ciężarówka przestaną być potrzebne, będziemy potrzebowali trumien na resztę podróży. Rozumiesz?

- Okay, okay, wiem co robię- mruknął Wally.

- Mam nadzieję- powiedział Bruce i ciągnął dalej:- Uderzymy na nich o czwartej nad ranem, tuż przed brzaskiem. Ruffy i ja wkroczymy do miasta i obrzucimy granatami hotel; większość z nich będzie tam spała. Ci, którzy przeżyją to bombardowanie, wybiegną na ulicę. Jak tylko to zrobią, nadejdzie wasza kolej, ale nie wcześniej. Zaczekajcie, aż będziecie ich mieli jak na dłoni, wówczas strzelajcie. Jasne?

- Chryste- jęknął Hendry.- Bierzesz mnie za jakiegoś przygłupa czy co? Myślisz, że nie rozumiem po angielsku?

- Krzyżowy ogień obu grup powinien zlikwidować większość shufta.- Bruce zignorował pretensje Wally'ego.- Ale nie wolno nam pozwolić niedobitkom na zorganizowanie się. Atakujcie agresywnie, a jak tylko się gdzieś schronią, musicie podążyć za nimi, otoczyć ich i wykończyć. Jeśli nie rozprawimy się z ludźmi Mosesa w ciągu pięciu czy dziesięciu minut, wpadniemy w tarapaty. Mają przewagę liczebną, trzech do jednego, musimy więc maksymalnie wykorzystać element zaskoczenia.

- Maksymalnie wykorzystać element zaskoczenia- przedrzeźniał go Wally.- Po co ta cała gadka, dlaczego nie powiesz po prostu, że musimy wymordować tych gnojów!

Bruce uśmiechnął się nieznacznie w ciemności.

- W porządku, musimy wymordować tych gnojów- zgodził się.- Ale zróbcie to tak szybko, jak to, do cholery, możliwe.

- Wstał i odwrócił tarczę zegara w kierunku światła.- Jest wpół do jedenastej, ruszamy. Hendry, chodź ze mną.

Przeszli wzdłuż kolumny i podzielili zandarmów na dwie grupy. Upewniwszy się, że w grupie Wally'ego jest dwóch kaprali mówiących po angielsku, w ciągu dziesięciu minut dokonali podziału reszty na dwie jednostki i rozdzielili wiązki granatów. Potem ruszyli w dół zbocza,

wciąż posuwając się gęsiego.

- Tu cię zostawiam, Hendry- powiedział półgłosem Bruce.

- Nie szalej z bronią. Czekaj, aż usłyszysz wybuchy granatów.

- Dobra, dobra; wiem wszystko.

- Powodzenia- rzucił Bruce.

- Połamania karabinu na tyłku, kapitanie Curry- odwzajemnił się Wally, odłączając się.

- Chodź, Ruffy- powiedział Bruce, schodząc z nasypu i prowadząc grupę w bagna.

Niemal natychmiast ugrzęźli po kolana w błocie i szlamie i posuwając się naprzód, zapadali się coraz głębiej. Najpierw po brzuch, potem po pachy. Bagno wciągało ich przy każdym ruchu z bulgotem i sykiem wydzielających się cuchnących gazów. Moskity otaczały twarz Bruce'a tak gęsto, że oddychając wciągał je do ust i musiał mrugać, żeby nie dopuścić ich do oczu. Pot spływał spod hełmu, osiadając na brwiach. Splątane łodygi papirusu czepiały się stóp. Szli bardzo wolno, na piętnaście minut tracąc z oczu światło osady, zasłoniętej ścianą papirusu. Bruce kierował się luną pożaru i snopami iskier widocznymi raz po raz na niebie.

Zanim zdolali przebyć połowę drogi, minęła godzina. Bruce zatrzymał się, aby odpocząć, wciąż stojąc po piersi w oleistej mazi. Ręce zdrewniały mu od trzymania karabinu nad głową.

- Zapaliłbym, szefie- mruknął Ruffy.

- Ja też- odparł Bruce, wycierając twarz rękawem. Ukąszenia moskitów na czole i wokół oczu piekły go żywym ogniem.- Co to za życie- szepnął.

- Jeśli będzie pan żył nadal po tym wszystkim, będzie pan szczęściarzem- odpowiedział Ruffy.- Zdaje się, że parę osób nie doczeka jutra.

Lecz fizyczna niewygodność była teraz bardziej palącym problemem niż strach przed śmiercią. Bruce niemal zapomniał, że czeka ich bitwa. Bardziej martwiły go pijawki: bał się, że przedostawszy się przez rozporek zapinany na guziki, mogą dotrzeć do jego krocza. „Wiele dobrego można powiedzieć o zwykłym zamku błyskawicznym”- stwierdził w duchu.

- Wydostańmy się stąd- szepnął.- Idziemy, Ruffy. Powiedz chłopcom, żeby byli cicho.

Podszedł bliżej brzegu, brodząc już tylko po kolana w bagnie. Pochód z każdym krokiem stawał się bardziej hałaśliwy; wyciągali nogi z wody i z pluśnięciem stawiali je z powrotem. Na dodatek papirus szeleścił głośno, ocierając się o ich ciała.

Była już prawie druga, kiedy dotarli do grobli. Bruce zostawił swoich ludzi przyczajonych wśród papirusów i udał się na rekonesans wzdłuż betonowego mostu, trzymając

się w cieniu, pochylony, aż dotarł do suchego łądu na skraju miasteczka. Nie było żadnej straży. Z wyjątkiem trzasku palącego się drewna osada była pogrążona w ciszy, zatopiona w pijackim otępieniu.

Wrócił do żandarmów. Podzielił ich na pary i rozproszył po obrzeżach miasteczka. Jedną z pierwszych rzeczy, której nauczył się w tej kompanii, to nie puszczać ludzi samych. Nic tak nie odbiera Afrykańczykowi odwagi jak samodzielne działanie, zwłaszcza w nocy, kiedy duchy wychodzą na spacer.

Każdej parze wydał szczegółowe polecenia.

- Kiedy usłyszycie eksplozje granatów, strzelajcie do każdego na ulicy albo w oknach. Kiedy ulica będzie pusta, podejdźcie do tamtego budynku. Obsypcie każdy dom granatami i wypatrujcie ludzi porucznika Hendry'ego, którzy nadejdą z drugiej strony. Zrozumiano?

- Zrozumiano.

- Strzelajcie uważnie i celujcie dokładnie; nie tak jak ostatnim razem przy moście. I jeszcze jedno: nie wolno wam strzelać do cysterny. Potrzebujemy jej, by wrócić do domu.

Bruce zauważył na zegarku, że była już trzecia. Osiem godzin od chwili, kiedy opuścili pociąg i dwadzieścia dwie godziny od ostatniego snu. Ale nie czuł się zmęczony. Choć całe ciało miał obolałe i doskwierało mu pieczenie pod powiekami, to jednak jego umysł pracował sprawnie i jasno.

Bruce leżał obok Ruffy'ego w niskim buszu na skraju Port Reprieve. Wiał wiatr, przynosząc ze sobą dym z płonącej osady. Nagle Bruce zdał sobie sprawę, dlaczego nie jest zmęczony: „Czeka mnie kolejne rendezvous ze strachem- pomyślał.- Strach jest kobietą o miliardach twarzy i głosów. Ponieważ jest kobietą, a ja mężczyzną, muszę do niej powracać. Tyle że tym razem nie mogę uniknąć spotkania, tym razem nie szukam jej umyślnie. Wiem, że jest złem, wiem, że po tym, jak ją posiadę, będę roztrzęsiony i będę miał mdłości. Powiem wówczas: To był ostatni raz, nigdy więcej. Ale równie dobrze zdaję sobie sprawę, że powrócę do niej, nienawidząc jej, bojąc się jej i pragnąc równocześnie. Udałem się, żeby odszukać ją na górze, na Dutois Kloof Frontal, przy Ścianie Płaczu i Zębie Diabła. A ona czekała, ubrana w powłóczystrą szatę z kamienia, szatę, która opadała sześćset metrów w dół na zbocze obsypane piargiem. I krzyczała wietrznym głosem, który potem cichł, dzwoniąc jak pod naciskiem stopy, szepcząc jak zrywająca się nylonowa lina, zgrzytająca jak obłuzowany kawałek skały w mojej ręce. Szedłem za nią do buszu, na brzeg rzeki Sabi Luangwa j zawsze tam była, czekając,

w szacie ze skóry bawołu, z pyskiem ociekającym krwią. Pachniała kwaśnym zapachem mego potu. Smakowała jak zgniłe pomidory. Szukałem jej za rafa, w głębokiej wodzie, z butlą tlenową na plecach, oddychając regularnie z metaliczną chrapliwością. I czekała tam z rzędami białych zębów w półkolistych szczękach, z wysoką, trójkątną płetwą na grzbiecie, tym razem przybrana w zieleń, o chłodnym jak ocean dotyku i słonym smaku, skażonym umieraniem. Szukałem jej na autostradzie, ze stopą naciskającą pedał gazu i czekała tam, obejmując mnie chłodnym ramieniem, przemawiając głosem piskliwym jak guma opon na asfalcie i gwałtownym jak szum silników. Z Colinem Butlerem przy kole sterowym (człowiekiem, który traktował strach nie jak kochankę, ale z tolerancyjną pogardą, jak gdyby to była jego młodsza siostra) poszukiwałem jej na małej łódce. Ubrana była na zielono w pióropusz tryskającej piany i naszyjnik z ostrych, czarnych głazów. Jej głosem był ryk przełamującej się wody. Spotkaliśmy się w ciemności przy moście: jej oczy lśniły jak ostrza bagnetów. Ale to było spotkanie wymuszone, nie z mojego wyboru, takie jak to dzisiejsze. Nienawidzę jej- pomyślał- ale ona jest kobietą, a ja mężczyzną...”

Bruce uniósł rękę i zwrócił tarczę zegarka ku światłu, które dawał szalejący ogień.

- Za piętnaście czwarta, Ruffy. Czas iść i rozejrzeć się.

- Dobry pomysł, szefie.- Ruffy uśmiechnął się, pokazując w ciemności garnitur białych zębów.

- Boisz się, Ruffy?- zapytał Bruce zniechęcony, w przeświadczeniu, że musi to koniecznie wiedzieć. Jego własne serce biło jak bęben wzywający na wojnę. W ustach zabrakło mu śliny.

- Szefie, pewnych pytań nie zadaje się mężczyźnie- sierżant powoli podniósł się i kucnął.- Lepiej rzućmy okiem na okolicę.

Ruszyli razem szybkim krokiem, wchodząc do miasta główną ulicą. Trzymali się blisko płotów i ścian budynków, starając się pozostać w cieniu. Kiedy dochodzili do hotelu, oddech ich stał się krótki i płytki, a nerwy były napięte jak postronki.

W oknach nie było widać światła i budynek wydawał się opuszczony, zanim Bruce dojrzał leżące w bezładzie zatopione we śnie ciała.

- Ilu ich tam jest, Ruffy?

- Nie wiem, może dziesięciu, może piętnastu- cicho rzucił Ruffy w odpowiedzi.- Reszta musi być w środku.

- Tam są kobiety; musimy na nie uważać.

- Już dawno nie żyją, może mi pan wierzyć.

- W porządku. Chodźmy zatem na tyły.

Bruce wziął głęboki oddech, a potem szybko niczym błyskawica, przebiegł dwadzieścia jardów otwartej przestrzeni dzielącej go od narożnika hotelu. Zatrzymał się, kiedy znalazł się w cieniu i wkrótce zorientował się, że Ruffy stoi tuż obok.

- Chciałbym rzucić okiem na hol, założę się, że większość z nich tam właśnie jest-szepnął.

- Są tylko cztery sypialnie- zgodził się Ruffy.- Powiedzmy, że oficerowie śpią na górze, a reszta na dole.

Bruce szybko obiegł narożnik i potknął się o coś miękkiego. Poczul, jak to coś rusza się pod jego stopą.

- Ruffy!- krzyknął rozpaczliwym szeptem, tracąc równowagę.

Nastąpił na człowieka, który spał na dworze pod ścianą. Widział, jak światło odbija się od jego nagiego torsu i butelki, którą trzymał kurczowo w ręce. Mężczyzna usiadł, zamruczał coś pod nosem i nagle zaczął kaszleć suchym, urywanym kaszlem, przeklinając i wycierając usta dłonią. Bruce odzyskał równowagę i zdjął karabin, zamierzając zrobić użytek z bagnetu, ale Ruffy był szybszy. Postawił stopę na piersi mężczyzny, nadepnął mocno, stanął nad nim i użył swego karabinu z bagnetem w taki sposób, w jaki ogrodnik używa łopaty, by wykopać ziemniaki: napierając całym ciężarem ciała na karabin, aż ostrze zatopiło się w gardle leżącego. Ciało zadrgało konwulsyjnie i zeszywniało. Mężczyzna rozrzucił ramiona i nogi, a z jego rozplatanej krtani dobiegł odgłos ulatującego powietrza. Potem ciało rozluźniło się. Ruffy, ciągle opierając się stopą o pierś trupa, wyciągnął bagnet i stanął obok. „Niewiele brakowało”- pomyślał Bruce, uciszając falę przerażenia, którą ogarnęła go przy tej egzekucji. Oczy mężczyzny były otwarte, wyrażając niemal komiczne zdziwienie; butelka wciąż tkwiła w jego ręce; pierś miał odsłoniętą, a rozporek spodni rozpięty i sztywny od krwi- nie jego krwi, domyślił się z gniewem Bruce.

Ruszyli dalej, mijając kuchnię. Bruce zajrzał do środka i zobaczył, że nikogo tam nie ma. Białe kafelki odbijały blade światło, a stosy brudnych talerzy i garnków zalegały na stołach i w zlewie. Następnie doszli do baru oświetlonego stojącą na kontuarze lampą sztormową, która rzucała rozproszone żółte światło. Przez uchylone okna poczuli odór alkoholu. Półki były opróżnione z butelek, a na kontuarze widniały sylwetki śpiących mężczyzn. Skuleni razem niczym wataha psów, niektórzy spali również na podłodze pośród odłamków szkła, walającej się broni i rozbitych mebli. Ktoś zwymiotował przez okno, pozostawiając zacieki na białej ścianie.

- Stań tutaj- wyszeptał Bruce w ucho Ruffy'ego.- Wróć do frontowego wejścia i rzuć granaty na werandę i do holu. Poczekaj, aż usłyszysz wybuch.

Ruffy kiwnął głową i oparł karabin o ścianę. Wziął granaty do rąk i wyciągnął zawleccki.

Bruce zniknął za rogiem i pobiegł wzdłuż bocznej ściany. Dotarł do okien holu. Były zatrzęsnięte. Spojrzał do środka. Światło dochodzące przez otwarte drzwi ukazało wnętrze baru. I tutaj mężczyźni leżeli na podłodze. Część z nich w bezładnej masie zajmowała kanapy stojące przy przeciwległej ścianie. Co najmniej dwudziestu, oszacował Bruce po hałasie, jaki robili chrapaniem, i uśmiechnął się niewesoło. Mój Boże, co tam będzie za jatka!

Nagle coś mignęło przy schodach i uśmiech zamarł mu na twarzy. Jego oczy zwięzły się. Błysk, który zwrócił jego uwagę, był odbiciem światła od piramidy utworzonej przez nagie ciała czterech kobiet. Porzucono je, kiedy przestały spełniać swe zadanie, odciągnięto na bok, żeby zrobić więcej miejsca na podłodze i położono jedno na drugim, tworząc mieszaninę nagich ramion i nóg.

„Bez litości teraz- pomyślał Bruce z nienawiścią, pozbywając się strachu na widok kobiet, których nienaturalne pozycje zdradzały, że nie było już w nich życia.- Bez litości!”

Powiesił karabin na ramieniu, chwycił granaty, wyciągnął zawleccki i szybko podszedł do narożnika, tak że mógł kontrolować wzrokiem zadaszoną werandę. Wtoczył oba granaty pomiędzy śpiących, słysząc ich metaliczne grzechotanie o betonową podłogę. Szybko zanurkował pod okno holu, wyrwał z wiązki dwa następne i wyciągnawszy zawleccki, cisnął je przez zamknięte okno. Brzęk rozbijanego szkła złał się z podwójnym hukiem eksplozji na werandzie.

Ktoś krzyknął w holu, a potem okno nad Bruce'em wyleciało, obsypując go gradem stłuczonego szkła. Na wpół ogłuszony wybuchem, wrzucił jeszcze dwa granaty przez ziejącą w ścianie dziurę. Ludzie wewnątrz krzyczeli i jęczeli. Nagle granaty Ruffy'ego eksplodowały w barze; ich wybuch dał się mocno odczuć również w holu, gdzie po chwili kolejne granaty rzucone przez Bruce'a zdusiły kompletnie jęki żyjących, detonując z hukiem. Bruce wrzucił jeszcze dwa i pobiegł do szczytu werandy, sięgając po karabin.

Jakiś człowiek wyleciał z werandy i podniósł się na kolana, trzymając się za oczy. Spomiędzy palców płynęły strużki krwi. Bruce strzelił do niego z tak bliska, że ogień z lufy osmalił pierś mężczyzny, odrzucił go i rozpląszczył na ziemi.

Bruce spojrzał za siebie i zobaczył dwóch kolejnych na ulicy, ale zanim zdążył złożyć się

do strzału, ogień jego żandarmów trafił ich i przewrócił na drogę. Przeskoczył przez niski murek okalający werandę. Krzyczał, wydając z siebie nieartykułowany, bezsensowny dźwięk. Był podniecony, nie bał się, palił się do tego, aby wejść do budynku, aby wreszcie dostać się między nich. Seria z głębi ulicy otarła się o niego- czuł powiew powietrza, spowodowany przez wystrzały. Był to ogień jego własnych ludzi.

- Głupie bydlaki!- krzyknął bez gniewu, bez strachu, po to tylko, żeby krzyknąć; czuł potrzebę krzyczenia.

Wpadł do holu przez główne wejście. Było ciemno, ale mimo to jego wzrok przenikał mrok i mgiełkę gipsowego pyłu. Jakiś człowiek stojący na schodach otworzył ogień i Bruce poczuł ułknięcie kuli ocierającej się o jego udo. W odpowiedzi strzelił bez celowania, z biodra. Nie trafił i mężczyzna pobiegł jak szalony na górę. Bruce wyciągnął prawą ręką granat i rzucił go wysoko. Widział, jak odbił się od ściany i zniknął za załomem schodów. Wybuch w zamkniętej przestrzeni był ogłuszający. Towarzyszył mu błysk światła. Ciało mężczyzny znalazło się z powrotem w holu. Bruce pobiegł na górę, biorąc po trzy stopnie na raz, wypadł na korytarz i zobaczył w pierwszym pokoju kolejnego mężczyznę. Był nagi i zataczał się oszołomiony- pijany albo zaspany. Bruce ściał go pojedynczym strzałem w żołądek, odskoczył i wrzucił granat przez okienko nad drzwiami drugiego pokoju, potem następny przez okienko trzeciego i otworzył kopniakiem drzwi ostatniej sypialni przy ogłuszającym akompaniamencie wybuchów.

W pokoju czekał na niego mężczyzna; stał naprzeciwko drzwi i mierzył z pistoletu. Obaj wystrzelili jednocześnie. Kula zabrzęczała, odbijając się o stalowy hełm Bruce'a, odchylając gwałtownie jego głowę i przewracając go na ścianę. Mimo to wystrzelił raz jeszcze, tym razem serią, trafiając każdą kulą tak, że wydawało się, iż jego przeciwnik wykonuje jakiś groteskowy taniec.

Bruce ogłuszony podniósł się na kolana. W uszach słyszał brzęczenie miliona szalejących moskitów. Ręce jego poruszały się wolno i niezgrabnie. Kiedy wstał, nogi miał jak z waty, ale załadowana na nowo broń w jego rękach znów dodała mu animuszu. Wyszedł na korytarz, zobaczył jeszcze jednego- wielki czarny kształt majaczący w ciemności- zabić go! zabić go! zabić!

- Nie strzelaj, szefie! To był Ruffy.

- Został jeszcze kto?

- Wszyscy załatwieni, szefie; nieźle pan to zrobił.



- Ilu?- Bruce krzyczał, próbując przekrzyczeć szum w uszach.

- Około czterdziestu. Chryste, co za jatka! Krew jest dosłownie wszędzie. Te granaty...

- Musi być ich więcej.

- Tak, ale nie tutaj, szefie. Chodźmy pomóc chłopcom na zewnątrz.

Pobiegli korytarzem, w dół schodów i holem, którego podłoga była wilgotna i lepka od krwi. Cuchnęło jak w rzeźni- krwią i rozszarpanymi wnętrznościami. Jakiś człowiek pełznął na czworakach w kierunku drzwi. Ruffy strzelił do niego dwa razy.

- Nie przez główne wejście, szefie. Nasi chłopcy na pewno pana załatwią. Przez okno.

Bruce wyskoczył przez okno głową do przodu, błyskawicznie przekreślił się pod osłoną muru werandy i podniósł się na kolana. Czuł się potężny, nietykalny. Ruffy wkrótce znalazł się obok niego.

- Idą nasi- powiedział.

Bruce zobaczył, jak bieżą ulicą, pokonując krótkie odległości, zatrzymują się, żeby strzelić lub rzucić granat, a potem znów podrywają się do biegu.

- A tam są ludzie porucznika Hendry'ego.

Z przeciwnego kierunku, ale tym samym, przerywanym sprintem poruszała się grupa żandarmów z Wallym, który strzelał, trzymając karabin na biodrze.

Jak ptak wzbijający się w powietrze przed nagonką, jakiś shufta wybiegł ze sklepu, wpadając nie uzbrojony na ulicę. Biegł ze schyloną głową, pracując mocno rękoma i nogami. Bruce stał wystarczająco blisko, by dostrzec panikę w jego oczach. Wydawało się, że porusza się jakby w zwolnionym tempie. Płomienie oświetlały go bezlitośnie, rzucając przed niego zniekształcony cień. Kiedy trafiły go kule, nie upadł od razu; słał się, zataczając koło i bijąc powietrze rękami, jak gdyby oganiał się od roju pszczoł. Kule uderzały z łoskotem w jego ciało. Stojący obok Bruce'a Ruffy wycelował spokojnie i trafił mężczyznę w głowę, kończąc to widowisko.

- Ale musi ich być jeszcze więcej- denerwował się Bruce.

- Gdzie się ukrywają?

- Myślę, że w biurach.

Bruce błyskawicznie skoncentrował się na biurowcu Union Miniere. Okna budynku były ciemne, ale kiedy wpatrywał się w nie, wydawało mu się, że zauważył w środku jakiś ruch. Spojrzał szybko do tyłu na ludzi Wally'ego i zobaczył, że czterech z nich zbiło się w gromadkę za

plecami Wally'ego.

- Hendry, uważaj!- ryknął Bruce, jak tylko mógł najgłośniej.

- Z twojej prawej, biura!

Ale było za późno- ogień z karabinów błysnął w ciemnych oknach i grupka biegnących mężczyzn rozproszyła się. Bruce i Ruffy wystrzelili razem, strzelając seriami w okna. Ładując broń, Bruce spojrział w miejsce, gdzie znajdowali się ludzie Wally'ego. Nie wierząc własnym oczom, zobaczył, że jedynym, który stał jeszcze na nogach, był Wally. Przebiegł ulicę, pędząc w ich kierunku, dopadł werandy i schronił się za niskim murem.

- Jesteś ranny?- zapytał Bruce.

- Nawet mnie nie drasnęli. Ci dranie nie trafiliby nawet słonia, siedząc na jego grzbiecie- krzyknął prowokująco Wally głosem donośnym w nagłej ciszy. Wyciągnął pusty magazynek, odrzucił go i włożył nowy.

- No dalej, niech się który pokaże- powiedział, opierając karabin o murek, za którym klęczał, przyciskając kolbę do ramienia i strzelając krótkimi seriami w okna biurowca.

- Właśnie tego się obawiałem.- Bruce przekrzykiwał hałas strzelającej broni.- Teraz mamy punkt oporu w samym centrum miasta. Jest ich tam chyba z piętnastu albo dwudziestu w środku. Mogą minąć wieki, zanim ich wykurzymy.- Spojrział tęsknie na pokryte plandeką ciężarówki stojące przed stacją.- Mają samochody w zasięgu i jak tylko się domyśla, o co nam chodzi, wysadzą cysterne i zniszczą ciężarówki.

Ogień karabinów skrzył się na błyszczącej, żółto-czerwonej cysternie. Stojąc tak na otwartej przestrzeni wydawała się równocześnie i bardzo wielka, i bardzo słaba. Wystarczyła jedna kula spośród setek, które już wystrzelono, by zakończyć jej żywot.

„Musimy ich zaatakować teraz”- pomyślał Bruce. Wokół biurowca rozlegał się wściekły jazgot karabinów- to strzelały niedobitki grupy Wally'ego. Grupa Bruce'a przedostała się do hotelu i zajęła pozycje przy oknach.

- Ruffy- powiedział Bruce, chwytając Murzyna za ramię.- Weźmiemy czterech ludzi i spróbujemy się przedostać na tyły tych biur. Z tamtego budynku będziemy mieli do przebiegnięcia jakieś dwadzieścia jardów otwartej przestrzeni. Kiedy dostaniemy się pod ścianę, nie będą w stanie nam nic zrobić, a my będziemy mieli dobrą pozycję, żeby ich obrzucić granatami.

- Te dwadzieścia jardów wygląda stąd jak dwadzieścia mil- powiedział Ruffy, ale

podniósł swoją wiązkę granatów i odczołgał się od muru otaczającego werandę.

- Idź i wybierz czterech mężczyzn- polecił Bruce.

- Okay, szefie. Poczekamy na pana w kuchni.

- Hendry, posłuchaj!

- O co chodzi?

- Kiedy dobiegnę do tamtego rogu, kiwnę ci ręką. Będzie to oznaczać, że jesteśmy gotowi. Chcę, abyś nas osłaniał całą siłą swojej broni. Pamiętaj, muszą trzymać głowy nisko.

- Okay- zgodził się Wally, strzelając krótką serią.

- I staraj się nas nie trafić!

Wally odwrócił głowę, aby spojrzeć na Bruce'a i uśmiechnął się złośliwie.

- Wiesz, pomyłki czasem się zdarzają. Nie mogę ci nic obiecać. Naprawdę, wyglądałbyś wspaniale na moim celowniku.

- Nie czas na żarty- rzucił Bruce.

- A kto żartuje?- uśmiechnął się Wally.

Bruce odwrócił się i poszedł do hotelu. W kuchni czekał na niego Ruffy z czterema żandarmami.

- Idziemy- powiedział.

Wyszli na podwórze, przeszli obok przybudówek z dolami kloaczynymi zamkniętymi za stalowymi drzwiami. Duszący smród przyprawiał o mdłości. Minęli róg i przeszli przez ulicę w kierunku budynków stojących za biurowcem. Tam się zatrzymali zbici w gromadę, jakby chcieli w ten sposób zyskać więcej odwagi i spokoju. Bruce wzrokiem ocenił odległość.

- To niedaleko- stwierdził.

- Zależy, jak na to spojrzeć- mruknął Ruffy.

- Tylko dwa okna wychodzą na tę stronę.

- Dwa wystarczą. A ile by według pana miało być?

- Pamiętaj, Ruffy, umiera się tylko raz!

- O jeden raz za dużo- powiedział sierżant.- Skończmy z gadaniem. Od tego człowiek tylko dostaje pietra.

Bruce wyszedł z cienia i podszedł do narożnika budynku. Pomachał ręką w kierunku hotelu i wydawało mu się, że z końca werandy dobiegł go gest potwierdzenia.

- Wszyscy razem- powiedział.

Wciągnął głęboko powietrze, wstrzymał je przez chwilę, a potem ruszył w ziejącą pustkę. Czuł się taki mały; uczucie odwagi i nietykalności, które go przepelniało do tej pory, opuściło go. Wydawało mu się, że jego nogi poruszają się tak wolno, iż stoi w miejscu. Czarne oczodoły okien wpatrywały się w niego.

„Teraz- pomyślał- teraz umrę. Gdzie mnie trafią? Tylko nie w żołądek, proszę cię, Boże, tylko nie w żołądek”. Poruszając się na sztywnych nogach, przebiegł pół dystansu. „Tylko dziesięć kroków- pomyślał.- Jeszcze jedna rzeka, jedna rzeka do ziemi obiecanej. Byle nie w brzuch, Boże tylko nie w żołądek!” Mięśnie Bruce'a napięły się i skurczyły jakby w oczekiwaniu najgorszego; jego żołądek jakby zmalął.

Nagle ciemne okna rozbłysły jaskrawym światłem, tworząc białe, rozświetlone prostokąty w czarnej ścianie. Szyby rozprysły się. Potem kłęby dymu wydobywające się z budynku znów zaciemniły okna.

Huk eksplozji wciąż dźwięczał Bruce'owi w uszach, kiedy oszołomiony wyszeptał:

- Granat. Ktoś tam w środku rzucił granat.

Bez zatrzymywania się dobiegł do bocznych drzwi. Wpadł do pomieszczenia, dusząc się w dymie i strzelając dziko do umierających ludzi, kiedy tylko którykolwiek z nich się poruszył. W półmroku zauważył, że coś długiego i białego leży pod przeciwległą ścianą. Było to ciało, nagie ciało białego mężczyzny. Podeszedł do niego i przyjrzał się bliżej.

- Andre- powiedział- To Andre. To on rzucił granat- dodał i przyklęknął przy Belgu.

## Rozdział 17

Skulone, nagie ciało Andre leżało na betonowej posadzce. Biały człowiek czuł, jak życie z niego wycieka wraz z krwotokiem. Jego umysł był aktywny: słyszał wybuchy granatów Bruce'a, strzelaninę na ulicy i biegnących mężczyzn. Słyszał krzyki i strzały- pochodziły z pokoju, w którym leżał. Otworzył oczy. Przy każdym oknie widział skulonych pod parapetami mężczyzn. Gęsta zawiesina dymu, który wydobywał się z luf karabinów, unosiła się w powietrzu. Pomieszczenie wypełniał hałas wystrzałów.

Było mu zimno- czuł chłód na całym ciele. Nawet jego dłonie przyciśnięte do piersi były zimne i ciężkie. Tylko brzuch był ciepły, ciepły i wydęty wypełniającą go krwią. Myślenie przychodziło mu z trudem, a huk broni powodował, że z ledwością mógł się skoncentrować. Bez większego zainteresowania obserwował mężczyzn przy oknach. Powoli jego ciało jakby traciło na wadze. Wydawało mu się, że unosi się nad podłogą i patrzy na pokój spod sufitu. Jego powieki stały się ciężkie. Z trudem otworzył je znowu i wrócił do swego ciała.

Nagle kawałki gipsu odprysnęły od ściany, tuż nad głową Andre, wypełniając powietrze białym kurzem. Jeden z mężczyzn klęczących pod oknem upadł, z hałasem wypuszczając karabin z rąk. Jego ciało drgnęło konwulsyjnie i zamarło. Mężczyzna leżał zwrócony twarzą do podłogi. Powoli umysł Belga analizował obraz, który zarejestrowały jego oczy. Ktoś strzelał w biurowiec od zewnątrz. Mężczyzna obok niego był martwy. Z rany na jego głowie sączyła się krew, rozlewając się cienką strużką na podłodze i płynąc w kierunku Andre. Belg zamknął oczy- był bardzo zmęczony i było mu bardzo zimno.

Nastąpiła przerwa w wymianie ognia; jeden z tych niespodziewanych momentów ciszy w środku walki. W tej ciszy Andre usłyszał z oddali głos. Nie potrafił rozróżnić słów, ale rozpoznał ten głos natychmiast. Jego powieki błyskawicznie rozsunęły się szeroko. Ciało ogarnęło podniecenie, wstąpiła w nie nowa energia- głos, który usłyszał, należał do Wally'ego.

Poruszył się słabo, zaciskając ręce i powtarzając w myśli: „Wally wrócił po mnie, wrócił, by mnie uratować”. Odwrócił powoli głowę- był to bolesny wysiłek. Krew zbulgotała w jego brzuchu. „Muszę mu pomóc, nie mogę pozwolić, aby naraził się na niebezpieczeństwo- ci ludzie usiłują go zabić. Muszę im przeszkodzić. Nie mogę im pozwolić, aby zabili Wally'ego”.

W tym momencie zobaczył granaty wiszące na pasku mężczyzny, który leżał obok niego. Utkwił wzrok w okrągłych, błyszczących, metalowych szyszkach i zaczął się modlić cicho:

- Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą...- Poruszył się jeszcze raz, wyprężając ciało.-  
Błogosławionaś Ty pomiędzy niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

Wysunął rękę, trafiając na kałużę krwi. Hałas strzelających karabinów ogłuszył go tak, że nie słyszał swojej modlitwy. Jego dłoń brnęła przez krew z takim trudem, z jakim mucha przedziera się przez spodek z syropem.

- Błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Jezus. Módl się za nami... teraz... i w godzinę... błogosławionaś...- Dotknął gładkiej, podzielonej na kwadraty stali granatu.- ...Nami grzesznymi... dzisiaj... w godzinie śmierci... dzisiaj... chleba naszego powszedniego...- Chwytał zacisk przytrzymujący granat przy pasku. Jego palce były zimne i sztywne.- ...Święć się imię... święć się imię...- Rozległ się trzask zwolnionego zacisku. Andre trzymał w ręce granat, zaciskając wokół niego palce.- Zdrowaś Mario, łaski pełna...- Przyciągnął granat do siebie i przytrzymał go przy piersi w obu dłoniach. Podniósł go do ust i zębami chwycił zawleczkę.- Módl się za nami grzesznymi- wyszeptał i wyciągnął zawleczkę.- Teraz i w godzinę śmierci naszej.

Próbował odrzucić granat, który wypadł mu z ręki i uderzył o podłogę. Rączka zapłonu odskoczyła i zagrzechotała, uderzając o ścianę. Generał Moses odwrócił się i spojrział. Granat leżał u jego stóp. Potem wszystko zniknęło w oślepiającym błysku i huku eksplozji.

W kłębach gryzącego dymu, w stukocie spadających na podłogę odłamków gipsu, w brzęku pękających szyb, w pomrukach i jękach umierających Andre wciąż jeszcze słyszał swój własny oddech. Leżące obok ciało mężczyzny osłoniło głowę i klatkę piersiową Belga przed wybuchem. Pozostało w nim jeszcze dość życia, by rozpoznać Bruce'a pochylającego się nad nim, choć nie czuł już rąk, które go dotykały.

- Andre- powiedział Bruce.- To Andre. To on rzucił granat.

- Powiedz mu...- szepnął Andre i urwał.

- Tak?- zapytał Bruce.

- Że ja nie, dzisiaj i w godzinie. Ja musiałem... nie tym razem. Czuł, jak życie gaśnie w nim, niczym świeca na wietrze.

- O co chodzi, Andre? Co mam mu powiedzieć?- Głos Bruce'a wydawał się tak odległy.

- Dla niego... tym razem... nie, ja nie...- urwał znów. Zebrał resztkę sił, usta mu drżały, gdy próbował wyraźnie wypowiadać słowa.- Jak mężczyzna!- szepnął w końcu i zgasł w nim ostatni płomynek życia.

- Tak- powiedział cicho Bruce, trzymając go na rękach.- Tym razem jak mężczyzna.

Łagodnie położył ciało Andre, delikatnie układając jego głowę na podłodze. Potem wstał i spojrzał na potwornie okaleczone zwłoki. Czuł w sobie taką samą pustkę, jaką odczuwał, gdy skończyła się miłość. Podeszedł do biurka stojącego naprzeciwko. Na zewnątrz ogień karabinowy słabł, w końcu ucichł zupełnie. Żandarmi krzatali się wokół niego, przyglądając się zabitym, krzycząc w podnieceniu i śmiejąc się nienaturalnie, tak jak śmieją się ludzie, z których właśnie opadło śmiertelne przerażenie.

Powoli luzując pasek hełmu, Bruce wpatrywał się w ciało Andre, leżące pod przeciwległą ścianą.

- Tak- powtórzył szeptem.- Tym razem jak mężczyzna. Wszystkie inne razy się nie liczą, rachunek jest wyrównany.

Chociaż papierosy były wilgotne po przeprawie przez bagna, Bruce wybrał jednego ze środka paczki i wygładził go spokojnymi ruchami palców. Dopiero kiedy zapalił zapalniczkę, zauważył, że jego ręce zaczęły się trząść. Płomień zapalniczki drgał tak, że musiał przytrzymać ją dwoma rękami. Dłonie miał poplamione i lepkie od krwi. Przysunął zapalniczkę, zapalił papierosa i wciągnął dym. Smakował gorzko, powodując obfity napływ śliny do ust. Przełknął ją, czując uścisk w żołądku. Oddech miał przyśpieszony. „Nie było tak przedtem- przypomniał sobie.- Nawet tej nocy przy moście, kiedy przebiliśmy się przez skrzydło i przyszło walczyć na bagnety w ciemności. Przedtem nie miało to znaczenia, ale teraz znów potrafię odczuwać. Kolejny znak mego odrodzenia”. Nagle zapragnął być sam. Podniósł się i rzekł:

- Ruffy.

- Tak, szefie.

- Zrób tu porządek. Weź koce z hotelu i okryj ciała de Sumera i kobiet oraz tych leżących na stacji. Potem pogrzebicie ich.- Bruce miał wrażenie, że głos, który to mówił, należał do kogoś innego. Wydawało mu się, jakby ten głos dobiegał z daleka.

- Wszystko w porządku, szefie?

- Tak.

- Głowa cała?

Bruce uniósł rękę i dotknął podłużnego wgniecenia w hełmie.

- Nic mi się nie stało.

- A co z pana nogą?

- To tylko draśnięcie, nie umrę od tego.

- Okay, szefie. Co mamy zrobić z pozostałymi?

- Wrzucicie ich do rzeki- powiedział Bruce i wyszedł na ulicę. Hendry i jego żandarmi byli wciąż na werandzie hotelu. Zaczęli się zabawiać ciałami, odcinając im uszy bagnetami. Śmiali się przy tym nerwowo.

Bruce przeszedł przez ulicę i wszedł na stację. Nadchodził świt, rozciągając się po niebie niczym arkusz blachy świeżo wyprodukowany w hucie- najpierw purpurowy i fioletowy, a potem gorejący czerwienią nad dżunglą.

Ford stał na peronie- tam, gdzie Bruce go zostawił. Otworzył drzwi, wśliznął się za kierownicę i obserwował rodzący się dzień.



## Rozdział 18

- Kapitanie, sierżant prosi, aby pan przyszedł. Chce panu coś pokazać.

Bruce uniósł głowę znad kierownicy. Nie słyszał, jak żandarm podszedł.

- Już idę- powiedział, zabierając hełm i karabin z siedzenia obok i udając się do biurowca.

Jego żandarmi umieszczali właśnie jakiegoś trupa na jednej z ciężarówek. Trzymając ciało za nogi i ręce, rozkołysali je i policzywszy do trzech: un, deux, trois- wrzucili je na platformę. Rozległy się krzyki i wybuchy śmiechu, kiedy bezwładne ciało zatoczyło łuk i wylądowało na makabrycznym stosie.

Sierżant Jacques wyszedł z budynku, ciągnąc za nogi kolejnego trupa. Głowa mężczyzny uderzyła o schody, zostawiając mokry, brązowy ślad na cementowej werandzie.

- Jak poleć wieprzowiny!- zawołał Jacques wesoło.

Ciało należało do niewielkiego, siwego mężczyzny. Było kościste. Na nosie widniały ślady okularów. Mundur ozdabiał podwójny rząd medali. Bruce zauważył, że jednym z orderów był wojskowy krzyż na purpurowo- białej wstążce- dziwny łup jak na Kongo. Jacques puścił stopy mężczyzny, wyciągnął bagnet i pochylił się nad nim. Chwycił jedno ucho, przylegające ściśle do posiwiałej głowy, pociągnął za nie i pojedynczym cięciem oddzielił je od czaszki. Pozostała różowa rana z ciemną dziurą bębena w środku.

Bruce poszedł dalej. Wszedł do wnętrza budynku i w nozdrza uderzył go ostry zapach rzeźni.

- Niech pan spojrz na to, szefie- powiedział Ruffy, stojący przy biurku.

- Wystarczy, żeby kupić ranczo w Hyde Parku- stwierdził z uśmiechem stojący obok niego Hendry.

W ręku trzymał ołówek, na który było nanizane- jakby to był kebab- jakieś dwanaścioro uszu.

- Tak- powiedział Bruce i spojrział na stos przemysłowych i jubilerskich diamentów leżących na biurku.- Wiedziałem o nich. Lepiej policz je, Ruffy, a potem przesyp do woreczków.

- Chyba nie zamierzasz ich zwrócić?- zaprotestował Hendry.- Chryste, gdybyśmy podzielili ten skarb na trzy części, dla ciebie, Ruffy'ego i mnie, wystarczyłoby, żebyśmy stali się bogaczami!

- Albo skazańcami pod szubienicą- powiedział Bruce ostro.- Czy naprawdę myślisz, że

dżentelmeni z Elisabethville nie wiedzą nic o diamentach?- dodał i zwrócił się do Ruffy'ego:-  
Policz je i zapakuj. Odpowiadasz za nie, więc lepiej ich nie zgub.

Bruce spojrział pod przeciwległą ścianę, gdzie leżało owinięte w koc ciało Andre de Sumera.

- Czy wyznaczyłeś już ludzi, którzy pochowają ciała?

- Tak, szefie. Sześciu chłopców kopie groby na tyłach budynku.

- To dobrze.- Bruce kiwnął głową.- Hendry, chodź ze mną. Rzucimy okiem na ciężarówkę.

Pół godziny później Bruce zatrzasnął maskę ostatniego wozu.

- Tylko ta nie ruszy. Gaźnik jest roztrzaskany. Zdejmiemy opony; przydadzą nam się zapasowe- powiedział, wycierając ubrudzone smarem ręce o spodnie.- Dzięki Bogu, cysterna jest pełna. Jest w niej sześćset galonów beznyny; więcej niż potrzebujemy na podróż powrotną.

- Bierzesz Forda?- zapytał Hendry.

- Tak, może się przydać.

- I będzie wygodniejszy dla ciebie i twojej francuskiej laluni.- W głosie Hendry'ego pojawił się sarkazm.

- Zgadza się- gładko odparł Bruce.- Potrafisz prowadzić?

- Za kogo mnie masz, do cholery? Za jakiegoś półgłówka?

- Wszyscy próbują cię podejść, co? Nie możesz nikomu zaufać, co?- zapytał Bruce spokojnie.

- Żebyś wiedział, cholera jasna!- odparł Hendry. Bruce zmienił temat.

- Andre chciał przed śmiercią, abym ci coś przekazał.

- A, laleczka!

- To on rzucił ten granat. Wiesz o tym?

- Tak, wiem.

- Nie chcesz usłyszeć, co mi powiedział?

- Jeśli ktoś był kiedyś zboczeńcem, to już taki zostanie. A dobry zboczeniec to martwy zboczeniec.

- W porządku- skwitował Bruce, marszcząc czoło.- Weź paru ludzi i nalejcie benzyny do ciężarówek. Zmarnowaliśmy już dość czasu.

Pochowali swoich ludzi we wspólnej mogile. Pośpiesznie umieścili ciała w grobie i

równie pośpiesznie zasypali je. Potem stanęli w ciszy wokół mogiły.

- Zamierza pan wygłosić jakąś mowę, szefie?- zapytał Ruffy. Wszyscy spojrzeli na Bruce'a.

- Nie- powiedział krótko; odwrócił się i ruszył ku ciężarówkom.

„Co, u diabła, miałem powiedzieć- pomyślał zły.- Śmierć nie jest osobą, z którą można sobie porozmawiać. Wszystko, co można powiedzieć, to to, że byli ludźmi; słabymi i silnymi, złymi i dobrymi. Większość gdzieś pośrodku. Ale teraz nie żyją, są kupą mięsa jak poleć wieprzowiny”.

Spojrzał do tyłu przez ramię i powiedział:

- W porządku. Wyruszamy.

Kolumna pojazdów powoli przetoczyła się przez groblę. Bruce otwierał konwój, prowadząc Forda. Powietrze wpadało przez rozbitą szybę do wnętrza gorącym i wilgotnym strumieniem, który nie dawał ochłody.

Słońce było już wysoko na niebie, kiedy mijali drogę prowadzącą do misji. Bruce spojrzął na nią i chciał zasygnalizować reszcie, żeby jechali dalej, podczas gdy on uda się do ośrodka misyjnego. Chciał zobaczyć Mike'a i ojca Ignatiusa; chciał upewnić się, że są bezpieczni. Nagle odsunął od siebie tę pokusę. Pomyślał: „Jeśli znajdę tam tylko kolejną masakrę, jeśli shufta odnaleźli ich i zostawili za sobą zgwałcone kobiety oraz trupy mężczyzn, wówczas nie będę mógł nic zrobić. Lepiej, żebym nic o tym nie wiedział. Lepiej wierzyć, że są dobrze ukryci w dżungli. Lepiej wierzyć, że z tego wszystkiego zostało coś dobrego”.

Poprowadził kolumnę zdecydowanie naprzód, zostawiając z tyłu drogę do misji, jadąc wśród wzgórz w kierunku skrzyżowania.

Znienacka zaświtała mu w głowie pewna myśl, której oddał się całkowicie, z przyjemnością pozwalając, aby nim owładnęła. „Czterech mężczyzn przyjechało do Port Reprieve, mężczyzn bez nadziei, mężczyzn opuszczonych przez Boga. I nauczyli się, że nie jest za późno, że nigdy nie jest za późno. Jeden odnalazł siłę, aby umrzeć jak mężczyzna, choć całe swoje życie przeżył w słabości... Drugi ponownie nauczył się szacunku dla siebie, który zatracił gdzieś po drodze, a razem z nim odzyskał szansę nowego życia... Trzeci- zawahał się- tak, trzeci odnalazł miłość. A czwarty...?” Uśmiech zniknął z twarzy Bruce'a, gdy pomyślał o Wallym. „Wszyscy skorzystali na tej wyprawie z wyjątkiem Wally'ego. Co on odnalazł? Dwanaścioro uszu ludzkich nanizanych na ołówki?”

- Czy nie można wydusić z niej tyle pary, abyśmy jakoś dojechali do skrzyżowania? To tylko kilka mil.

- Cała para uszła, monsieur. Nie wyda z siebie nawet obłoczka, nie mówiąc o strumieniu- odparł maszynista, bezradnie rozkładając pulchne ręce.

Bruce przyjrzał się rozdarciu w kotle. Poszarpane kawałki metalu wyglądały jak płatki kwiatu. Zdał sobie sprawę z bezzasadności swego nalegania.

- Dziękuję- powiedział i zwrócił się do Ruffy'ego:- Będziemy musieli wszystko przenieść do ciężarówek. Kolejny zmarnowany dzień.

- To długi spacer- zgodził się Ruffy.- Lepiej zacznijmy natychmiast.

- Jak stoimy z żywnością?

- Nie najlepiej. Dużo dodatkowych gąb do karmienia, a ponadto zostawiliśmy sporo prowiantu Ignatiusowi.

- Na jak długo nam starczy?

- Na jakieś dwa dni.

- Powinno wystarczyć do Elisabethville.

- Szefie, chce pan, abyśmy przenieśli do ciężarówek wszystko? Reflektory, amunicję, koce... Cały ten majdan?

Bruce zastanowił się chwilę. Po namyśle stwierdził:

- Chyba tak. Możemy potrzebować tych rzeczy.

- Zajmie nam to czas do nocy.

- Wiem- odparł Bruce. Ruffy zaczął oddalać się wzdłuż pociągu, ale Curry zawołał za nim:- Ruffy!

- Co, szefie?

- Nie zapomnij o piwie!

Podobna do czarnego księżyca twarz Ruffy'ego rozpadła się na dwie części w szerokim uśmiechu.

- Sądzi pan, że powinniśmy je zabrać?

- Czemu nie?- roześmiał się Bruce.

- Człowieku, nie musisz mówić nic więcej!

Było już prawie ciemno, kiedy przeniesiono ostatnie partie ekwipunku z pociągu i załadowano na ciężarówki.

„Czas jest śliską rzeczą- pomyślał Bruce.- Nawet bardziej niż bogactwo. Żaden najlepiej strzeżony sejf nie zachowa go, mimo że jest tak cenny. Trwonimy go w zastraszającym tempie na błahostki. Odliczając czas na spanie, jedzenie, przemieszczanie się z miejsca na miejsce, zostają marne odsetki na prawdziwe życie...” Doświadczyl uczucia bezradnej złości, które zawsze go nawiedzało, gdy myślał o czasie. „Jeśli jeszcze odejmie się czas spędzony za biurkiem- kontynuował w myśli- to ile pozostanie? Pół dnia w tygodniu. Tak długo żyje przeciętny człowiek! Jesteśmy w stanie zużytkować tylko ułamek naszych zdolności fizycznych i umysłowych. Tylko pod hipnozą możemy wykrzesać z siebie zaledwie dziesiątą część drzemającej w nas mocy. Więc należałoby podzielić te pół dnia w tygodniu przez dziesięć. Reszta jest marnotrawstwem, przyprawiającym o mdłości marnotrawstwem!”

- Ruffy, czy wyznaczyłeś już warty na dzisiejszą noc?- warknął Bruce, wracając do rzeczywistości.

- Jeszcze nie. Właśnie zamierza...

- Więc zrób to. Szybko!

Ruffy spojrział na Bruce'a zdziwiony. Widząc to spojrzenie, Curry poczuł, jak przez jego gniew przebija się fala żalu, że wybrał tę górę kipiącej energii, aby dać upust swojej frustracji.

- Gdzie u diabła jest Hendry?- syknął.

Ruffy bez słowa wskazał na grupę mężczyzn stojących przy jednej z ostatnich ciężarówek. Bruce ruszył w tamtą stronę. Ogarnięty nagłym zniecierpliwieniem, wpadł między swoich ludzi niczym burza. Krzyczał na nich i wydawał rozkazy, wyznaczając ich do tuzina różnych zadań. Chodził wzdłuż kolumny, sprawdzając drobiazgowo, czy wykonywano jego polecenia. Upewnił się, czy usytuowanie Brenów i reflektorów jest prawidłowe, pilnując, aby małe ognisko rozpalone w celu ugotowania posiłku, było dobrze osłonięte i obserwując uważnie tankowanie ciężarówek. Żandarmi i cywile unikali jego wzroku, skupiając się całkowicie na swoich zadaniach. W całym obozie nie było słyhać głośniejszych rozmów czy śmiechu.

Jeszcze raz Bruce zdecydował się nie jechać nocą. Kusiło go to wprawdzie, ale wyczerpanie żandarmów, którzy nie spali od poprzedniego poranka, i niebezpieczeństwo podróży w ciemnościach były argumentami, których nie mógł zignorować.

- Wyruszamy jutro o brzasku- powiedział Ruffy'emu.

- Okay, szefie.- Murzyn kiwnął głową i dodał uspokajająco:- Jest pan zmęczony. Jedzenie jest już prawie gotowe, a potem niech pan się trochę prześpi.

Bruce wpatrywał się w niego, już otwierając usta, by udzielić mu ostrej reprimendy, ale nie powiedział nic. Odwrócił się i wyszedł z obozu, kierując się w stronę lasu. Znalazł zwaloną kłodę, usiadł na niej i zapalił papierosa. Było już ciemno. Pomiędzy ciężkimi, deszczowymi chmurami przebłyskiwały nieśmiało gwiazdy. Słyszał niewyraźne odgłosy obozu, ale nie widział żadnych świateł- tak właśnie rozkazał. To, że jego gniew nie mógł się na niczym wyładować, podsycało go jeszcze bardziej. Złość szarpała nim tak długo, aż w końcu znalazła cel: był nim on sam.

Natychmiast rozpoznał narastającą depresję bez jakiegoś określonego powodu, która czasami go dręczyła. Nie doświadczał jej już od dłuższego czasu, od niemal dwóch lat, kiedy rozpadło się jego małżeństwo i stracił swoje dzieci. Zdusił wtedy wszelkie emocje i nauczył się trzymać z dala od kipiącego wokół niego życia. Ale teraz ta bariera zniknęła. Nie było już bezpiecznego portu, który dałby schronienie przed nadchodzącą nawałnicą- musiał jej stawić czoło, aby potem móc zwinąć żagle i rzucić kotwicę.

Gniew miał przynajmniej jedną dobrą stronę: rozgrzewał, dodawał energii. Ale gniew minął i jego miejsce zajęła pustka. Powrócił myślą do dzieci. Poczul się rozpaczliwie samotny. Zamknął oczy i przycisnął powieki palcami. Zobaczył Christine z różowymi, pulchnymi nóżkami pod plisowaną spódniczką i przyciętymi na pazia jasnymi włoskami. „Kocham cię, najbardziej”- zwykła mówić bardzo poważnie, trzymając twarz Bruce'a w małych rączkach trochę lepkich od lodów.

Simon, miniaturowa kopia Bruce'a. Nawet nos miał taki sam. Kolana poznaczone strupami, twarz umorusana. Nie okazywał swoich uczuć, ale był wspaniałym kompanem jak na swoje sześć lat. Potrafił prowadzić dyskusje na wszystkie tematy, od religii począwszy („Dlaczego Chrystus się nie golił?”), na polityce skończywszy („Kiedy zostaniesz premierem, tato?”). Samotność stała się niemal namacalna. Bruce rzucił niedopałek na ziemię i przygniótł go butem, próbując w nienawiści znaleźć schronienie przed kobietą, która była kiedyś jego żoną. Kobieta, która odebrała mu dzieci. Ale jego nienawiść była zimna, martwa jak popiół. Wiedział, że wina leżała nie tylko po jej stronie. Była to jedna z jego porażek. „Może gdybym usilnie próbował- pomyślał- może gdybym nie powiedział niektórych okrutnych słów, może... Tak, może by się udało, może, może... i może. Ale tak się nie stało. Wszystko skończone, teraz jestem sam. Nie ma już nic gorszego, nic nie jest bardziej dokuczliwe niż samotność. Jest to ziemia jałowa, pustka”.

Coś poruszyło się obok niego, cicho zaszeleściła trawa. Coś, co raczej wyczuwał niż widział w ciemności. Bruce zeszytniał. Prawa ręka zacisnęła się na karabinie. Uniósł go powoli, wyężając wzrok.

Ruch powtórzył się, tym razem bliżej. Pod stopą zbliżającego się trzasnęła gałązka. Bruce powoli wymierzył w ciemność: palec wskazujący gotowy do naciśnięcia spustu, a kciuk do odbezpieczenia broni. „Co za idiotyzm, żeby tak się oddalić od obozu- pomyślał- sam prosiłem o to, teraz mam za swoje. To na pewno Balubasi!”

W niewyraźnym świetle gwiazd zobaczył skradającą się postać. „Ilu ich jest- zastanowił się.- Jeśli strzelę do tego, tuzin innych może się czaić w pobliżu. Muszę zaryzykować. Szybka, krótka seria, a potem w nogi! Jakies sto jardów do obozu. Mam pięćdziesiąt procent szans”.

Postać zatrzymała się nasłuchując. Bruce zauważył zarys głowy: „Bez hełmu, żaden z naszych”, skonstatował. Wymierzył jak mógł najdokładniej, choć w ciemnościach musiał zrezygnować z muszki i szczerbintó. Zresztą z tej odległości nie mógł chybić. Delikatnie wciągnął powietrze do płuc- był gotowy strzelić i uciekać.

- Bruce?- rozległ się nagle cichy, przestraszony głos Shermaine.

Błyskawicznie opuścił lufę karabinu. „Boże, niewiele brakowało- pomyślał.- O mało jej nie zabiłem”.

- Jestem tutaj- odparł łamiącym się głosem.

- A, tutaj jesteś.

- Co, u diabła, robisz poza obozem?- zapytał z furią. Szok zmienił się w gniew.

- Przepraszam, Bruce, ale przyszłam zobaczyć, czy wszystko u ciebie w porządku. Nie było cię tak długo...- Nastąpiła długa cisza, którą przerwała w końcu dziewczyna, mówiąc cichym, urażonym głosem:- Przyniosłam ci coś do jedzenia. Pomyślałam, że jesteś głodny. Przepraszam, jeśli zrobiłam coś nie tak.

Podeszła do niego, pochyliła się i postawiła coś na ziemi przed nim. Potem odwróciła się i ruszyła w kierunku obozu.

- Shermaine!- zawołał Bruce, chcąc, aby wróciła, ale jedyną odpowiedzią był słabnący szelest trawy, a następnie cisza. Znow był sam.

Podniósł talerz z jedzeniem.

„Ty głupcze- pomyślał.- Ty stuknięty ignorancie! Ty bezmyślny kretynie! Stracisz ją i będziesz na to zasługiwał. Zasługujesz na wszystko, co ci się przytrafiło, a nawet na więcej!

Nigdy się nie nauczysz, co Curry? Nigdy nie dotrze do ciebie, że za egoizm i bezmyślność jest kara”.

Spojrzał na talerz, który trzymał w rękach. Wołowina z puszki, cebula w plasterkach, chleb i ser.

„Tak, nauczyłem się czegoś- odpowiedział sam sobie z nagłą determinacją.- Nie zepsuję tego, co istnieje pomiędzy tą dziewczyną a mną. To był ostatni raz. Teraz koniec z tą całą dziecinadą, z tymi wybuchami gniewu czy litowaniem się nad samym sobą”.

Zjadł posiłek, niespodziewanie uświadamiając sobie, jak bardzo był głodny. Jadł szybko i łapczywie. Potem wstał i wrócił do obozu.

Straż zatrzymała go na obrzeżach obozu i wezwała do podania hasła. Bruce skwapliwie odpowiedział. Nocą jego żandarmi szybko pociągali za spust- to, że wezwali go do podania hasła było niezwykłą uprzejmością z ich strony.

- Nie jest to zbyt mądre, aby włączyć się nocą po lesie- wartownik udzielił mu reprimendy.

- Dlaczego?- odparł pytająco Bruce, czując, jak jego nastrój ulega zmianie. Depresja ulotniła się całkowicie.

- Bo to niemądre- odpowiedział tamten niewyraźnie.

- Duchy?- drażnił go Bruce.

- Ciotka męża mojej siostry zniknęła, kiedy oddaliła się od swojej chaty o rzut oszczepem. Nie zostawiła żadnych śladów, nie krzyczała, nic. Byłem tam. Nie podlega to żadnej dyskusji- powiedział żandarm z godnością.

- A może to był lew?- nalegał Bruce.

- Skoro pan tak mówi, to może tak było. Ale ja wiem swoje. I powiem tylko, że niemądrze jest przeciwstawiać się lokalnym obyczajom.

Nagle ujęty troską tego człowieka o niego, Bruce położył mu rękę na ramieniu i ścisnął je w starym geście wyrażającym sympatię.

- Będę o tym pamiętał. Zrobiłem to bezmyślnie- rzekł. Wrócił do obozu. Rozmowa ze strażnikiem potwierdziła coś, co już wcześniej niejasno przeczuwał, a o co dotychczas zupełnie nie dbał. Żandarmi lubili go. Setki podobnych zachowań zauważał jak dotąd jakby podświadomie, nie zastanawiając się nad nimi. Ale teraz uwagi strażnika sprawiły mu ogromną przyjemność, pozwalając zapomnieć o samotności, której doświadczył.



Minął niewielką grupę mężczyzn skupionych wokół ogniska i skierował się ku początkowi kolumny samochodów. Otwierał ją Ford. Zajrzał do pojazdu przez boczne okienko. Zauważył niewyraźną sylwetkę Shermaine, skuloną pod kocem na tylnym siedzeniu. Zapukał w szybę i dziewczyna usiadła, otwierając okno.

- Tak?- zapytała chłodno.

- Dziękuję za jedzenie.

- Nie ma za co.- W jej głosie pojawił się ledwo wyczuwalny cieplejszy ton.

- Shermaine, czasami mówię rzeczy, których potem żałuję. Przestraszyłaś mnie. Omal cię nie zastrzeliłem.

- To moja wina. Nie powinnam była iść za tobą.

- Ja zachowałem się niegrzecznie- upierał się.

- Zgoda.- Dziewczyna roześmiała się cicho.- Zachowałeś się niegrzecznie, ale miałeś ku temu dobry powód. Zapomnijmy o wszystkim.- Położyła mu rękę na ramieniu i dodała:- Musisz odpocząć, nie spałeś od dwóch dni.

- Pojedziesz jutro ze mną Fordem, aby udowodnić, że mi przebaczyłaś?

- Oczywiście- skinęła głową.

- Dobranoc, Shermaine.

- Dobranoc, Bruce.

„Nie- zdecydował Bruce, rozkładając koce obok ogniska- nie jestem sam. Już nie”.

## Rozdział 20

- Co będzie ze śniadaniem, szefie?

- Niech zjedzą po drodze. Daj każdemu puszkę wołowiny. Zmarnowaliśmy już dość czasu na tej wycieczce.- Niebo nad lasem robiło się bladoróżowe. Było na tyle jasno, że Bruce mógł sprawdzić godzinę na swoim zegarku. Wskazywał czwartą czterdzieści.- Pogoń ich trochę, Ruffy. Jeśli zdążymy do węzła Msapa przed zmrokiem, będziemy mogli potem jechać nocą i zjeść jutrzejsze śniadanie w domu.

- Nareszcie pan mówi do rzeczy, szefie- odparł Ruffy, włożył hełm na głowę i poszedł budzić mężczyzn śpiących na ziemi obok ciężarówek.

Shermaine wciąż spała. Bruce przyglądał się jej twarzy przez okno Forda. Kosmyk włosów przykleił się jej do ust, unosząc się i opadając z oddechem. Łaskotał ją w nos, którym w śnie ruszała jak królik. Bruce poczuł niemal nieznośny przypływ czułości. Delikatnie odsunął kosmyk z jej twarzy. Potem uśmiechnął się do siebie. „Jeśli czujesz się tak przed śniadaniem- pomyślał- to naprawdę niedobrze z tobą! A jednak- kontynuował dialog sam z sobą- podoba mi się to”.

- Dalej, leniuchu!- powiedział na głos i pociągnął ją za ucho.- Czas wstawać.

Zanim kolumna pojazdów znalazła się w drodze, było już wpół do szóstej. Dużo czasu pochłonęło rozbudzanie ze snu i nakłanianie do wstania sześćdziesięciu mężczyzn, a następnie umieszczenie ich na ciężarówkach. Tego ranka Bruce nie czuł złości z powodu opóźnienia. Udało mu się znaleźć czas na czterogodzinny sen w nocy, chociaż nie wystarczało to, aby odrobić dwudniowe zaległości. Czuł się lekko, jego wyczerpanie zamieniło się w jakąś nierealną wesołość, w jakiś nastrój karnawałowy. Nie odczuwał już dotychczasowej presji- droga do Elisabethville była prosta i krótka. Śniadanie w domu!

- Za niecałą godzinę będziemy przy moście- powiedział, patrząc kątem oka na Shermaine.

- Zostawiłeś tam ludzi?

- Dziesięciu- odparł Bruce.- Zabierzemy ich bez zatrzymywania się. Następny postój: Hotel Grand Leopold II, Avenue du Kasai- uśmiechnął się do własnych słów.- Wanna pełna wody tak gorącej, że będę potrzebował pięciu minut, aby do niej wejść. Czyste ubranie. I gruby stek z francuską sałatką i butelką Liebfraumilch.

- Na śniadanie?!- jęknęła Shermaine.

- Na śniadanie- wesoło potwierdził Bruce.

Umilkł na chwilę, rozkoszując się tą myślą. Droga przed nim była poznaczona pasami cienia, niczym skóra tygrysa. Powietrze dostające się do środka przez okna było chłodne i pachnące. Czuł się wspaniale. Odpowiedzialność za dowodzenie przestała mu ciążyć. Obok siebie miał śliczną dziewczynę, a przykre przeżycia ostatnich dni odeszły już w niepamięć. Cudowny poranek- równie dobrze mogliby jechać na piknik.

- O czym myślisz?- zapytał. Shermaine siedziała obok, milcząca.

- Rozmyślałam o przyszłości- odparła cicho.- Nie znam nikogo w Elisabethville i nie chcę tam zostać.

- Wrócisz do Brukseli?

Pytanie nie miało żadnego znaczenia, ponieważ Bruce Curry miał określone plany dotyczące przyszłości, w których znaczące miejsce zajmowała Shermaine.

- Sądzę, że tak. Nie znam innych miejsc.

- Masz tam krewnych?

- Ciotkę.

- Jesteście w bliskich stosunkach?

Shermaine roześmiała się gorzko:

- Tak, bardzo blisko! Odwiedziła mnie raz w sierocińcu. Tylko raz, przez te wszystkie lata. Przyniosła mi komiks o tematyce religijnej i powiedziała, żebym myła zęby i czesała włosy sto razy dziennie.

- Nie masz nikogo więcej?- spytał Bruce.

- Nie.

- To po co wracać?

- A co innego mam zrobić?- zapytała.- Dokąd się udać?

- Masz swoje życie i cały świat do zobaczenia.

- Czy ty to właśnie zamierzasz zrobić?

- Dokładnie, poczynając od gorącej kąpieli.

Bruce czuł, jak rodzi się między nimi uczucie. Oboje zdawali sobie z tego sprawę, ale wiedzieli również, że za wcześnie o tym mówić. „Pocałowałem ją tylko raz, ale to wystarczyło. Więc co się stanie? Małżeństwo?” Na samą myśl o tym Bruce wzdrygnął się gwałtownie, a potem niechętnie i powoli powrócił do tej kwestii, podkradając się do niej, jak gdyby była

niebezpieczną bestią, gotów uciec, jak tylko pokaże zęby. „...Dla niektórych małżeństwo jest dobrą rzeczą. Może pomóc wyprostować się tym, którzy chodzili z nisko opuszczoną głową, złagodzić ból samotnych, wskazać cel tym, którzy błądzą, zdopingować tych bez ambicji i oczywiście obdarzyć człowieka czymś, co stanowi bezsporny argument przemawiający za małżeństwem: dziećmi. Ale są również tacy, którzy się kurczą i słabną w bezbarwnej celi małżeńskiej. Bez przestrzeni do lotu. Skrzydła słabną, jeśli ich nie używasz. Jeżeli skoncentrujesz się na sobie, staniesz się krótkowidzem. Jeżeli twój kontakt ze światem zewnętrznym odbywa się przez szklane okienko tej celi, wówczas jest on bardzo ograniczony. A ja już mam dzieci. Mam córkę i syna...” Bruce odwrócił głowę i przyjrzał się dziewczynie siedzącej obok niego. „Nie mogę w niej znaleźć żadnej skazy. Ma taką delikatną, niemal kruchą urodę. Nie jest zepsuta. Ciężki los doświadczył ją srodze i nauczyła się dzięki temu dobroci i pokory. Jest dojrzała, da sobie radę w każdej sytuacji. Poznała, co to śmierć i strach, zło i dobro w człowieku. Nie wierzę, że kiedykolwiek żyła otoczona bajkowym kokonem, który większość młodych dziewcząt tworzy wokół siebie. I nie zapomniała jeszcze, co to śmiech. Może- pomyślał- może... Ale jeszcze za wcześnie, żeby o tym rozmawiać”.

- Masz bardzo ponurą minę- odezwała się Shermaine, powstrzymując się od śmiechu.- Znów jesteś jak Bonaparte. Kiedy robisz taką minę, twój nos staje się taki wielki i okrutny. Wygląda bardzo brutalnie i nie pasuje do reszty twojej twarzy. Myślę, że kiedy cię wykańczano, został Panu Bogu tylko jeden nos w zapasie. „Jest za duży, powiedział, ale to jedyny nos, który nam został, i kiedy uśmiechniesz się, nie będzie wyglądało tak źle”. Więc zaryzykowali i przyprawili ci go.

- Czy nigdy cię nie uczono, że nieładnie jest śmiać się z ułomności ludzkich?- zapytał Bruce ponuro, dotykając nosa.

- Twój nos może być uważany za wszystko, tylko nie za ułomność. Nigdy- roześmiała się i przysunęła się bliżej do niego.

- Wiesz, że możesz mnie krytykować, mając taki doskonały nos, a ja nie mogę ci się odplącić.

- Nigdy nie ufaj nikomu, kto prawi piękne stówka, bo na pewno prawi je każdej dziewczynie, którą spotyka- powiedziała, przysuwając się jeszcze bliżej i niemal dotykając Bruce'a.- Marnuje pan swój talent, mon capitaine. Jestem uodporniona na pański urok.

- Za chwilę zatrzymam samochód i...

- Nie możesz- rzekła Shermaine i odwróciła głowę do tyłu, wskazując na dwóch żandarmów siedzących za nimi.- Co oni by sobie pomyśleli, Bonaparte? Żle by to wpłynęło na dyscyplinę.

- Do diabła z dyscypliną! Jeszcze chwila, a zatrzymam się i sprawię ci zdrowe lanie, zanim cię pocałuję.

- Nie boję się pierwszej groźby, ale z powodu tej drugiej odstąpię od naigrawania się z twojego nosa.- Tym razem odsunęła się trochę i Bruce spojrzał na nią raz jeszcze. Pod jego wzrokiem, zaczęła się wiercić i czerwienić.

- Przepraszam, ale czy nigdy nie uczono cię, że to niegrzecznie wpatrywać się w ludzi?

„A więc znów się zakochałem- pomyślał Bruce.- Trzeci raz w życiu. Średnio wypada raz na dziesięć lat. Trochę mnie to przeraża, ponieważ zawsze towarzyszy temu ból; ból kochania i agonია utraty. Zaczyna się w lędźwiach, co jest bardzo mylące, ponieważ sądzisz, że to jest owo znane napięcie, które wywołuje każda ładnie zaokrąglona pupa lub para piersi. Podrap się, myślisz, to tylko trochę swędzi. Wetrzyj tylko odrobinę maści w swędzące miejsce i swędzenie minie natychmiast. Ale nagle ono rozlewa się, płynie w górę, opada w dół, dociera do każdego zakątka ciała. Brzuch płonie, serce trzepoce. A kiedy dotrze tak głęboko, wtedy staje się niebezpieczne. Nie możesz już nic poradzić; możesz się drapać i drapać, ale ono się tylko zaogni coraz bardziej. Potem ostatnie stadium: kiedy atakuje mózg. Bez bólu i to jest najgorsze. Następuje wyostrenie zmysłów: oczy widzą precyzyjniej, krew płynie szybciej, jedzenie smakuje lepiej, usta chcą krzyżeć, a nogi biegać. Pojawia się złudzenie wielkości. Jesteś najmądrzejszy, najsilniejszy, najbardziej męski w całym wszechświecie. Wydaje ci się, że masz trzy metry wzrostu w skarpetkach. I jak to się kończy? Kończy się na słowach. Słowa mogą zepsuć wszystko. Kończy się na chłodnych słowach; słowach jak ogień, które przenikają do głębi, obejmują uczucia, pełzają po nich, zwęglać je i pozostawiając tylko dymiące zgliszcza. Kończy się na podejrzeniach o rzeczy, których się nie zrobiło, i na pewności rzeczy, które się zrobiło i pamięta. Kończy się na egoizmie i obojętności, i słowach, słowach, słowach... Kończy się na bólu i szarości. Pozostaje blizna i krzywda, której nie da się naprawić. Albo kończy się bez zamieszania i szalu. Po prostu załamuje się i rozwiewa na wietrze jak pył. Ale wciąż pozostaje agonია, agonია utraty. Znam dobrze oba zakończenia, kochałem dwa razy. „Teraz, znów jestem zakochany. Może tym razem nie będzie tak samo. Może tym razem to przetrwa? Nic nie jest wieczne- pomyślał.- Nic nie jest wieczne, nawet życie, ale może tym razem, jeśli będę dbał o

uczucie i pielęgnował je, może będzie trwało tak długo jak życie”.

- Już prawie dojechaliśmy do mostu- powiedziała Sher- maine.

Wzdrygnął się, wyrwany z zamyślenia. Mile znikają za nimi, a las po obu stronach drogi gęstniał. Podszycie było nie do przebycia, a im bardziej zbliżali się do rzeki, tym bardziej zielona i ciemna stawała się roślinność.

Bruce zwolnił- droga przebiegała tunelem przez gęsty busz. Minęli ostatni zakręt torów i wyjechali na polanę, gdzie droga spotykała się z torami, biegnąc wzdłuż nich w kierunku mostu z ciężkich drewnianych bali.

Zatrzymał Forda i wyłączył silnik. Siedzieli w milczeniu, wpatrując się w ścianę dżungli na drugim brzegu. Poplątane pnącza i liany zwieszały się z drzew, mącąc bystre, ciemnozielone wody rzeki. Wpatrywali się w kikuty pali skierowane ku przeciwnym brzegom niczym ramiona rozdzielonych kochanków. Drewno wciąż się tliło, a wiatr spychał dym w dół rzeki.

- Nie ma mostu- rzekła Shermaine.- Spalony!

- Nie- jęknął Bruce.- Na Boga, tylko nie to!

Z wysiłkiem odwrócił wzrok od zwęglonych pozostałości mostu i rozejrzał się wokół. Sto jardów od samochodu rozciągała się wroga, cicha dżungla.

- Nie wychodź z samochodu!- warknął, widząc, że Shermaine chwyta za klamkę.- Zamknij okno, szybko!- Dziewczyna posłusznie wykonała polecenie.- Czają się tam- wskazał na skraj dżungli. Za nimi na polanie pojawiły się pierwsze ciężarówki. Bruce wyskoczył z Forda i podbiegł do pierwszej z nich.- Nie wysiadajcie, zostańcie w środku- krzyknął i pobiegł wzdłuż konwoju, powtarzając rozkaz ludziom w każdym pojeździe. Kiedy dotarł do samochodu, w którym jechał Ruffy, skoczył na stopień, chwycił za klamkę, otworzył drzwi, wskoczył na siedzenie, pośpiesznie zatrzasnął drzwi za sobą.- Spalili most!

- Co się stało z chłopcami, którzy mieli go pilnować?

- Nie wiem jeszcze, ale się dowiemy. Zatrzymaj się obok innych, tak żebyśmy mogli z nimi porozmawiać.

Przez uchylone okno wydał rozkazy kierowcom i w ciągu dziesięciu minut wszystkie pojazdy ustawiły się w krąg, tworząc obóz obronny.

- Ruffy, weź brezent i rozłóż go na górze, tak żebyśmy mieli dach. Nie chcę, aby razili nas strzałami.

Ruffy wybrał sześciu żandarmów i przystąpił do pracy, wyciągając ciężkie, zwinięte

plandeki.

- Hendry, umieść po dwóch ludzi pod każdą ciężarówką. Rozłokuj też Breny na wypadek ataku.

Wally nie skomentował polecenia Bruce'a, jak to miał w zwyczaju, ale po prostu zgromadził ludzi i przekazał im rozkaz. Wczołgali się pod ciężarówki i skierowali broń ku milczącej dżungli.

- Postawcie gaśnice na środku, tak żeby były łatwo dostępne. Mogą próbować wykurzyć nas ogniem.

Dwóch żandarmów wydobyło z ciężarówek gaśnice.

- Czy jest coś, co mogłabym zrobić?- Shermaine stała obok Bruce'a.

- Bądź cicho i nie kręć się- odparł Bruce i odwrócił się. Podeszedł do grupy Ruffy'ego, zajęte] rozkładaniem brezentu. Minęło pół godziny desperackiej pracy, zanim powstałe umocnienia zadowolily Bruce'a.

- To powinno ich zatrzymać- rzekł, stojąc obok Ruffy'ego i Hendry'ego w środku pierścienia i przyglądając się zielonemu brezentowi, który służył im jako dach, oraz ciasno ustawionym samochodom, które ich otaczały. Ford był zaparkowany obok cysterny- był stosunkowo niewielki i stanowiłby słabe ogniwo w pierścieniu ciężarówek.

- Będzie tu cholernie gorąco i tłoczno- utyskiwał Hendry.

- Tak, wiem- powiedział Bruce i spojrzał na niego.- Może chciałbyś zmniejszyć ten tłok i poczekać za zewnątrz?

- Uważaj, bo pękne ze śmiechu- odparł Wally.

- Co teraz, szefie?- Ruffy ubrał w słowa pytanie, które Bruce sam sobie zadawał w myśli.

- Ty i ja pójdziemy zbadać stan mostu- powiedział.

- Będziesz wyglądał dziwnie znajomo ze strzałą wystającą z pleców- rzekł Wally, szczerząc zęby.- Chłopie, chyba padnę, jak to zobaczę!

- Ruffy, będziemy potrzebowali z sześciu pałatek dla każdego z nas. Wątpię, żeby strzały je przebiły z odległości stu metrów. Nałożymy również hełmy.

- Okay, szefie.

Pod sześcioma warstwami gumowanego płótna czuli się jak w saunie. Opuścili pierścien pojazdów i szli drogą w kierunku mostu. Bruce czuł, jak z każdym krokiem poci się coraz obficiej, a jego plecy stają się mokre.

Olbrzymie ciało Ruffy'ego jeszcze powiększone przez pałatki, przywodziło Bruce'owi na myśl samicę jakiegoś prehistorycznego potwora pod koniec ciąży.

- Jesteś wystarczająco rozgrzany, Ruffy?- zapytał żartem. Otaczająca ich dżungla denerwowała go. Może nie docenił skuteczności strzał wojowników plemienia Baluba? Choć lekkie, zrobione z trzciny, miały jednak ostry jak igła żelazny grot nasączony trucizną.

- Jeszcze trochę trzęsę się z zimna- odparł Ruffy; pot spływał mu po twarzy i kapał z brody.

Na długo zanim doszli do mostu uderzył ich w nozdrza odór gnicia. Bruce kojarzył zapachy z kolorem- ten był zielony, takiej samej barwy jak gnijące mięso. Fetor był tak intensywny, iż wydawało mu się, że bmie przez gęstą mgłę wdzierającą się do gardła, duszącą i pokrywającą usta i język grubą warstwą tłustej, mdłej słodyczy.

- Wiadomo, skąd ten smród!- powiedział Ruffy i splunął, próbując pozbyć się przykrego smaku.

- Gdzie oni są?- zapytał Bruce niewyraźnie, zasłaniając usta i nos dłonią.

Doszli do brzegu i tam znalazł odpowiedź na swoje pytanie, spoglądając w dół na wąską plażę. Tuż przy rzece widniały czarne ślady dwunastu ognisk, a przy wysokim brzegu ustawione były prymitywne konstrukcje z drewnianych żerdzi. Przez chwilę Bruce zastanawiał się nad ich przeznaczeniem. Nagle ze zgrozą zdał sobie sprawę, do czego służyły. Widział już wcześniej takie poprzeczki zawieszane pomiędzy dwoma słupkami w obozach łowieckich w całej Afryce. To były ramy do patroszenia zwierzyny! Z poprzeczki zwisały kawałki łyka, którymi przywiązywano zdobycz za tylne nogi, tak że głowa i łapy przednie zwisały swobodnie, a brzuch wydymał się, umożliwiając szybkie wypatroszenie jednym, długim pociągnięciem noża. Po takim cięciu wnętrzności same wypadały na ziemię.

Tym razem zwierzyną wypatroszoną na tych ramach byli ludzie, jego ludzie! Policzył zwisające kawałki łyka: było ich dokładnie dziesięć- nikt nie uszedł z życiem.

- Oślaniaj mnie, Ruffy. Schodzę, aby się lepiej temu przyjrzeć- powiedział Bruce. Był to rodzaj pokuty, jaki nałożył sam na siebie. To byli jego ludzie, on ich tutaj zostawił.

- Okay, szefie.

Bruce zszedł wydeptaną ścieżką na plażę. Odór stał się nie do zniesienia. Po chwili znalazł jego źródło. Pomiędzy ramami leżała ciemna, bezkształtna masa. Roiała się od much- wydawało się, że drży i pełza. Nagle z głośnym brzęczeniem muchy uniosły się, tworząc czarną



chmurę, by po chwili opaść z powrotem na ludzką padlinę. Jedna z nich usiadła Bruce'owi na rękę. Miała metalicznoniebieski tułów i zwinięte skrzydła. Wesóło pocierała przednie łapki. Bruce poczuł skurcze żołądka; zaczęło mu się zbierać na wymioty. Próbował zabić muchę, ale nie trafił i owad błyskawicznie odleciał. Wokół ognisk rozrzucone były kości, a tuż przy jego butach leżała czaszka rozplątana na dwie części, aby łatwiej było wyciągnąć mózg. Kolejny spazm wstrząsnął Bruce'em. Tym razem zawartość żołądka podeszła mu do gardła, ale zdołał się opanować. Następnie odwrócił się i wspiał na wysoki brzeg, gdzie czekał Ruffy. Stał obok niego, ciężko dysząc, walcząc z mdłościami. W końcu przemówił:

- W porządku, dowiedziałem się tego, co chciałem. Ruszyli z powrotem w kierunku obozu. Bruce usiadł na masce Forda i zaciągnął się mocno papierosem, próbując pozbyć się smaku śmierci.

- Prawdopodobnie w nocy przepłynęli rzekę wplaw i wspięli się na filary mostu. Kanaki i jego chłopcy zorientowali się dopiero, kiedy tamci byli już na moście- powiedział, wciągając dym z papierosa do płuc i wydmuchując go przez nos.- Powinienem być o tym pomyśleć. Powinienem być ostrzec Kanakiego przed tym.

- Chcesz powiedzieć, że oni zjedli wszystkich dziesięciu żandarmów? Chryste!- Nawet Hendry był pod wrażeniem.- Chciałbym rzucić okiem na plażę. To musi być coś!

- Wspaniale!- powiedział Bruce szorstko.- Zajmiesz się pogrzebaniem tego, co z nich zostało. Możesz tam zejść i uporządkować plażę, zanim przystąpimy do naprawy mostu.

Wally nie protestował.

- Chcesz, żebym to zrobił zaraz?

- Nie- warknął Bruce.- Ty i Ruffy weźmiecie dwie ciężarówki i wróćcie do Port Reprieve po materiały potrzebne do naprawy.

Obaj spojrzeli na niego z uznaniem.

- Nigdy bym na to nie wpadł- powiedział Wally.

- Dach hotelu i biurowca są zrobione z solidnych belek drewnianych- rzucił Ruffy, uśmiechając się.

- Gwoździe- dodał Wally tonem, jak gdyby dokonał wielkiego odkrycia.- Będą nam potrzebne gwoździe.

Bruce uciął ich komentarze.

- Jest druga. Dotrzecie do Port Reprieve przed zmrokiem. Materiały powinniście zebrać

rano i do wieczora uporać się z drogą powrotną. Pojedziecie tamtymi ciężarówkami; sprawdźcie, czy mają pełne baki. Będziecie potrzebowali jakichś piętnastu osób. Powiedzmy, pięciu żandarmów na wypadek kłopotów i dziesięciu cywilów.

- To powinno wystarczyć- zgodził się Ruffy.

- Przywieźcie ze sobą ze dwanaście arkuszy blachy falistej. Użyjemy jej do zbudowania osłony przed strzałami podczas pracy.

- Tak, do dobry pomysł.

Uzgodnili szczegóły, wybrali ludzi i wyprowadzili ciężarówki z pierścienia. Bruce patrzył, jak znikają na drodze do Port Reprieve. Tępy ból głowy zaczął mu dokuczać i nagle poczuł się strasznie zmęczony brakiem snu, upałem i emocjami, które targały nim w ciągu ostatnich czterech dni. Z trudem obszedł obóz jeszcze raz, sprawdzając stanowiska ogniowe i zatrzymując się na krótkie rozmowy z żandarmami. Potem powlókł się do Forda, wśliznął się na przednie siedzenie, odłożył hełm i karabin i położywszy głowę na rękach, natychmiast zasnął.

## Rozdział 21

Shermaine obudziła go po zapadnięciu zmroku, przynosząc zimne mięso i butelkę piwa z zapasów Ruffy'ego.

- Przepraszam cię, Bruce, ale nie rozpaliliśmy ogniska. Wiem, że zimne konserwy nie smakują najlepiej, a na dodatek piwo jest ciepłe.

Bruce usiadł i potarł oczy. Sześciogodzinny sen pomógł- były mniej opuchnięte i zaczerwienione. Ale ból głowy nie ustąpił.

- Dziękuję ci, ale chyba nie jestem głodny. To przez ten upał.

- Musisz jeść, Bruce. Spróbuj choć odrobinę- powiedziała i uśmiechnęła się.- Przynajmniej jesteś teraz bardziej uprzejmy. Mówisz „dziękuję” zamiast „bądź cicho i nie kręć się”.

- Jesteś kobietą z wbudowanym magnetofonem- rzekł Bruce zrezygnowanym głosem.- Każde słowo nagrane i użyte później przeciwko tobie.- Dotknął jej ręki i dodał:- Przepraszam.

- Przepraszam- powtórzyła dziewczyna.- Lubię, jak przepraszasz, mon capitaine. Robisz to w taki męski sposób, podobnie jak wszystko inne. Nie ma nic niemęskiego w tobie, co jest czasami bardzo przytłaczające- obserwowała go z figlarnym błyskiem w oczach.

Bruce wiedział, że mówiła o scenie w pociągu, którą przerwał Wally.

- Spróbujmy tego jedzenia- powiedział i po chwili stwierdził:- Nieźle, jesteś doskonałym kucharzem.

- Tym razem zasługa należy do Heinza i jego pięćdziesięciorga siedmiorga dzieci. Ale pewnego dnia przygotuję dla ciebie tournedos au Prince. To moja specjalna.

- Specjalność- poprawił ją Bruce automatycznie. Ponad gwar głosów dochodzących z obozu wybijał się od czasu do czasu wybuch śmiechu. Wyczuwało się pewne rozluźnienie wśród ludzi. Brezentowy dach i ściany samochodów dawały wszystkim poczucie bezpieczeństwa. Leżeli na ziemi śpiąc albo rozmawiali cicho w małych grupkach.

Bruce wyskrobał widelcem resztki jedzenia i włożył do ust ostatnią porcję.

- Teraz muszę jeszcze raz sprawdzić nasze punkty obronne i stanowiska ogniowe.

- Och, znów Bonaparte! Zawsze na służbie- westchnęła z rezygnacją Shermaine.

- To nie potrwa długo.

- Zaczekam na ciebie.

Bruce chwycił karabin i hełm. Wychodził właśnie z Forda, kiedy w dżungli odezwały się tam- tamy.

- Bruce!- szepnęła Shermaine, przywierając kurczowo do niego.

Szum głosów urwał się, ustępując złowieszczej ciszy przerywanej biciem bębnow. Było ono tak głębokie i donośne, że wydawało się wszechobecne. Ciepłe, nieruchome powietrze drgało. Monotonny rytm, niczym puls wszelkiego stworzenia, wypełniał przestrzeń, rozlewając się coraz szerzą.

- Bruce!- szepnęła ponownie Shermaine.

Drżała, przerażona, wbijając palce z całą siłą w ramię mężczyzny. Silny chwyt dziewczyny złagodził jego własny strach.

- Kochanie- powiedział uspokajająco, tuląc ją do piersi.- To tylko dźwięk dwóch kawałków drewna, którymi uderza nagi dzikus. Nie mogą nam tutaj nic zrobić, wiesz o tym.

- Och, Bruce. To jest straszne! Ten dźwięk jest podobny do dzwonów pogrzebowych.

.- Nie mów głupstw.- Bruce odsunął dziewczynę od siebie, trzymając ją za ramiona.- Chodź. Pomóż mi uspokoić innych, muszą być przerażeni. Bez ciebie nie dam rady.

Ściągnął ją delikatnie z siedzenia Forda i otoczył ramieniem, prowadząc w kierunku środka pierścienia.

„Co zneutralizuje otepiający, hipnotyzujący rytm? - zapytał sam siebie.- Hałas, nasz własny hałas!”

- Joseph, M'pophu...- krzyknął pogodnie, zwracając się do dwóch najlepszych śpiewaków wśród swoich ludzi.- Szkoda, że rytm bębnow jest tak kiepskiej jakości, ale Balubasi to małpy nie mające pojęcia o muzyce. Pokażcie im, jak członkowie plemienia Bambala potrafią śpiewać!

Ktoś się roześmiał, a potem Joseph zaczął śpiewać głosem niepewnym z początku, później nabierającym mocy. Dołączył się M'pophu, którego basowy, niski głos stworzył doskonałe tło dla wibrującego, dźwięcznego tenoru Josepha. W ciemności rozległy się kłaśnięcia zsynchronizowane z biciem bębnow. Bruce czuł wokół siebie rytmiczne ruchy ciał. Shermaine nie drżała już. Bruce objął ją w pasie i dziewczyna przytuliła się do niego.

„Teraz potrzebujemy światła- pomyślał.- Nocnej lampki dla moich dzieci, które boją się ciemności i bębnow”.

Z Shermaine u boku przeszedł przez obozowisko.

- Sierzancie Jacque.

- Kapitanie?

- Włącz reflektory i przeczesuj nimi teren.

- Oui, capitaine.- Ton odpowiedzi był mniej łagodny.

Do każdego z reflektorów były tylko dwie zapasowe baterie. Bruce wiedział o tym. Jedna bateria wystarczała na osiem godzin; reflektory będą świecić jeszcze przez dwie noce.

Długie, silne promienie białego światła przebiły ciemność po obu stronach pierścienia. Oświetliły skraj dżungli, odbijając się od ściany drzew, rozpraszając mrok panujący w obozie, tak że można było rozróżnić rysy twarzy każdego człowieka. Bruce spojrział na te twarze i z zadowoleniem stwierdził, że nastrój poprawił się; duchy odeszły.

- Brawo, Bonaparte!- powiedziała Shermaine.

Bruce nagle zdał sobie sprawę z uśmiechów, jakimi obdarzali go jego ludzie, widząc, jak obejmuje dziewczynę. Chciał już odsunąć rękę, ale nie uczynił tego. „Do diabła z tym- pomyślał- przynajmniej myślą o czymś innym!” Skierował się do Forda.

- Zmęczona?- zapytał.

- Trochę- kiwnęła głową.

- Rozłóż ci siedzenie. Zakryj okno kocem, będziesz się czuła bardziej swobodnie.

- Nie będziesz odchodził daleko?- zapytała szybko.

- Będę przy samochodzie.- Odpiął pas z kaburą i podał jej.- Lepiej, żebyś od teraz nosiła to przy sobie.

Nawet gdy zapięła pas na ostatnią dziurkę, pistolet zwisał jej aż do kolana.

- Dziewica Orleańska- zemścił się Bruce.

Skrzywiła się do niego i weszła na tylne siedzenie. Chwilę później zawołała cicho:

- Bruce?

- Tak?

- Chciałam się tylko upewnić, że nigdzie nie odszedłeś. Dobranoc.

- Dobranoc, Shermaine.

Bruce leżał na pojedynczym kocu i pocił się. Śpiew dawno ucichł, ale bicie bębnow rozlegało się nadal, bez najmniejszego potknięcia, rytmicznie i pulsujące. Reflektory omiatały regularnie teren, raz oświetlając jasno obóz, raz pozostawiając go w cieniu.

Bruce słyszał wokoło ciche pochrapywania, zduszone kaszlnięcia, bełkot i odgłosy mężczyzn poruszających się we śnie. Ale sam nie mógł zasnąć. Leżał na wznak, trzymając rękę

pod głową. Palił papierosa i wpatrywał się w brezent. Wydarzenia ostatnich czterech dni powracały uparcie w jego myślach: fragmenty rozmów, umierający Andre, Boussier przytulający swoją żonę, wybuchy granatów, ręce lepkie od krwi, zapach śmierci, gwałt i przerażenie.

Poruszył się niespokojnie i strzepnął popiół, zakrywając oczy rękoma, jak gdyby próbując odciąć się od wspomnień. Ale one nadal przebiegały przez jego umysł jak film z gigantycznego projektora, chaotyczny i bezsensowny, ale przerażający.

Przypomniawszy sobie muchę na ręce śmiejącą się do niego, zacierającą przednie łapki, wstrętną. Odwracał głowę z boku na bok. „Ogarnia mnie szaleństwo- pomyślał.- Muszę przestać myśleć o tym”. Szybko usiadł, podciągając kolana pod brodę. Czuł jak się kurczy, staje się mały i przestraszony. „Rozplaczę się”- pomyślał, czując wzbierający w gardle płacz. I jak dziecko, które się skaleczyło, biegnie do matki, aby się przytulić do jej łona, tak Bruce Curry wszedł do Forda i szukając po omacku dziewczyny, szepnął:

- Shermaine!

- Bruce? Co się stało?- zapytała, siadając szybko. Ona również nie spała.

- Gdzie jesteś?!- W jego głosie brzmiała panika.

- Tutaj. O co chodzi?

Bruce wreszcie ją odnalazł i niezgrabnie przyciągnął ją ku sobie.

- Obejmij mnie, Shermaine. Proszę cię, obejmij mnie!

- Kochany- szepnęła niespokojnie.- O co chodzi? Powiedz mi, kochanie.

- Po prostu obejmij mnie, Shermaine. Nie mów nic- odparł, przytulając się do niej i przyciskając twarz do jej szyi.- Tak bardzo cię potrzebuję. O Boże, jak bardzo cię potrzebuję!

- Bruce- powiedziała. Pieściła palcami jego kark, uspokajająco i łagodnie.- Mój Bruce- powtórzyła i objęła go. Jej ciało zaczęło się instynktownie kołysać; próbowała go ukoić, jakby był dzieckiem. Powoli rozluźnił się i westchnął gwałtownie, rozdierająco.- Bruce, moje kochanie.

Uniosła cienką bawełnianą koszulkę, która służyła jej za piżamę, i ulegając znów instynktowi, w odwiecznym rytuale pocieszenia podała mu pierś. Jego usta przywarły do sutka. Dziewczyna zacisnęła ręce wokół szyi mężczyzny i opiekuńczo pochyliła się nad nim, zakrywając opadającymi włosami twarze obojga. Czując jego ciało na sobie i jego twarz na swoich piersiach i wiedząc, że daje siłę mężczyźnie, którego kocha, Shermaine zdała sobie sprawę, że nigdy przedtem nie zaznała szczęścia.

Nagle ciało Bruce'a stało się niespokojne i nastrój dziewczyny zmienił się: ogarnęło ją pożądanie.

- Tak, Bruce, tak!- powiedziała prosto w jego usta, pragnące usta, które znalazły tuż przy jej wargach; usta, które nie należały do dziecka, lecz do dorosłego mężczyzny.

- Taka piękna, taka ciepła- wyszeptał Bruce dziwnie ochryplym głosem.

Shermaine przebiegł dreszcz intensywnego pożądania.

- Szybko, Bruce. Och, Bruce...- Czuła jego kochające dłonie poszukujące i znajdujące.-  
Och, Bruce, szybko- wyszeptała pośpiesznie, unosząc ku niemu biodra.

- To będzie bolało.

- Nie. Tak, chcę bólu- Czuła jakiś wewnętrzny opór i krzyknęła zniecierpliwiona.- Teraz, Bruce!- a w chwilę później:

- To boli!

- Przestaną.

- Nie, nie!

- Kochanie, to za wiele dla ciebie.

- Tak... nie mogę... och Bruce. Moje serce!

Jej zaciśnięte pięści waliły go po plecach. Czuła, jak wchodzi w nią, jak wychodzi i wraca, wychodzi i wraca, by zanurzyć się w źródle wszelkiego istnienia, a potem oddala się jeszcze raz i jeszcze raz powraca. Tryskając i niemal parząc, odszedł, odszedł, odszedł...

- Spadam! Och, Bruce! Bruce! Bruce!

Razem w otchłań- wszystko inne zniknęło. Nie pozostało nic- nie było czasu, nie było przestrzeni, nie było dna otchłani. Nic... i wszystko. Spełnienie.

A w dżungli wciąż rozlegało się bicie bębnow.

Potem, długo potem, dziewczyna spała, opierając głowę na ramieniu mężczyzny. On, nie śpiąc, wsłuchiwał się w jej sen, w jego łagodny dźwięk, w regularny, delikatny oddech, który usłyszeć można tylko kiedy wsłuchuje się uważnie albo kiedy się kocha.

„Tak. Chyba kocham tę kobietę- pomyślał- ale muszę być tego pewien. Jeśli mam postępować uczciwie wobec niej i siebie samego to muszę mieć całkowitą pewność. Ponieważ nie będę w stanie żyć tak jak przedtem. Ponieważ nie chcę, aby doświadczyła cierpienia, które towarzyszy nieudanemu małżeństwu. Lepiej, znacznie lepiej byłoby przerwać ten związek teraz, chyba, że jest w nim siła gwarantująca przetrwanie”.

Bruce przesunął wolno głowę, aż jego twarz znalazła się w jej włosach. Dziewczyna położyła głowę na jego piersi.

„Ale tak trudno jest przewidzieć. Tak trudno jest powiedzieć zaraz na początku, czy się uda, czy nie. Łatwo można pomylić litowanie się nad sobą albo samotność z miłością, a na to nie mogę sobie już pozwolić. Więc muszę dokładnie przemyśleć moje małżeństwo z Joan. Będzie to trudne, ale muszę spróbować. ...Czy z Joan było tak samo na początku? Było to tak dawno, siedem lat temu, że dziś nie wiem. Wszystko, co pamiętam z tamtych lat, to obrazy miejsc i zbitki słów, które utkwiły tam, skąd ani wiatr, ani ból nie mogły ich usunąć. ...Plaża spowita we mgle; drzewo wyrzucone przez wodę, na wpół zakopane w piasku i białe od soli; koszyk truskawek zabrany na drogę. Kiedy ją całowałem, czułem cierpką słodycz owoców na jej ustach. ...Pamiętam piosenkę, którą śpiewaliśmy razem: •Dzwony misji powiedziały mi, że nie mogę zostać, na południe od granicy... po Meksyku się tułać... Zapomniałem już większość słów. ...I pamiętam niewyraźnie jej ciało i kształt piersi zanim urodziła dzieci. Ale to wszystko, co zostało z tamtych dobrych czasów. ...Inne wspomnienia są wyraźne: bolą jak uderzenia bata. Każde zjadliwe słowo i ton głosu, jakim zostało powiedziane. Płacz w nocy i przeciąganie wspólnego życia na siłę, kosztem olbrzymich wysiłków z obu stron, trzy lata po tym, jak zostało ono śmiertelnie ranione. I wszystko to z powodu dzieci. ...Dzieci! O Boże, nie wolno mi teraz o nich myśleć. To tak bardzo boli. Muszę pomyśleć o niej jeszcze raz, bez wciągania do tego dzieci. Muszę skończyć z tą kobietą. Z Joan. Raz na zawsze zapomnieć o tej, przez którą płakałem. Nie nienawidzę jej za to, że odeszła z innym. Zasługiwała na szczęście. Nienawidzę jej za dzieci i za to, że zbrukała miłość, którą mógłbym ofiarować Shermaine w czystej, nieskalanej postaci. Lecz równocześnie żal mi jej, bo nie potrafi znaleźć szczęścia, którego szuka tak gorączkowo. Żal mi jej, bo jej umysł i ciało są zimne, bo jej uroda już niemal przeminęła, bo jej egoizm jest tak niszczący, że straci miłość swoich dzieci... Moich dzieci, nie jej! Moich dzieci! To wszystko- to koniec z Joan. Teraz mam Shermaine, która w niczym nie przypomina Joan. Ja również zasługuję na jeszcze jedną próbę...”

- Shermaine- szepnął i lekko przesunął jej głowę, by ją pocałować.- Shermaine, obudź się.- Poruszyła się i powiedziała coś niewyraźnie.- Obudź się.- Chwycił zębami jej ucho i ugryzł delikatnie. Otworzyła oczy.- Bon matin, madame.- Uśmiechnął się do niej.

- Bonjour, monsieur- odparła i zamknęła oczy, wtulając raz jeszcze twarz w jego pierś.

- Obudź się. Chcę ci coś powiedzieć.



- Nie śpię, ale najpierw mi powiedz, czy to jest sen? Mam przeczucie, że to nie może być rzeczywistość.

- To nie jest sen.

Westchnęła cicho i przytuliła się mocniej.

- Teraz powiedz mi to, co chciałeś powiedzieć.

- Kocham cię.

- Nie. Teraz to na pewno sen.

- Naprawdę.

- Nie, proszę, nie budź mnie teraz. Nie zniosłabym teraz rzeczywistości.

- A ty?- zapytał.

- Przecież wiesz...- odparła.- Nie muszę ci tego mówić.

- Już świta- powiedział.- Zostało mało czasu.

- Więc wypełnię go, mówiąc ci o tym... Trzymał ją w ramionach, słuchając, jak mu o tym mówi szeptem. „Nie- pomyślał.- Teraz jestem pewien. Nie mógłbym się aż tak mylić! To jest moja kobieta”.

## Rozdział 22

Bębny umilkły o świcie. Cisza, która nastąpiła, była złowieszcza, nie dająca wytchnienia. Zdążyli się już przyzwyczaić do tego urywanego rytmu i nawet zaczęli za nim tęsknić.

Krażąc po obozie, Bruce wyczuł niepokój wśród swoich ludzi. Biło od nich oczekiwanie przemieszane ze strachem. Zachowywali się bardzo powściągliwie, jak gdyby nie chcieli zwracać na siebie uwagi. Śmiech, którym przyjmowali jego dowcipy, był nerwowy i urywał się szybko. Ich oczy cały czas uciekały w kierunku ściany drzew.

Bruce stwierdził, że pragnie ataku. Jego własne nerwy były zszarpane przez ciągłe obcowanie ze strachem. „Niech tylko wyjdą- mówił sobie w duchu.- Niech tylko się pokażą, tak żebyśmy mogli zobaczyć żywych ludzi, a nie zjawy!”

Ale dżungla nawet nie drgnęła. Wydawało się, że czeka, obserwując ich. Niewidoczne oczy wpatrywały się w obóz. Wroga dżungla zdawała się napierać wraz z rosnącym upałem.

Bruce przeszedł na południowy kraniec obozu, starając się poruszać swobodnie. Uśmiechnął się do sierżanta Jacques'a, kucnął obok i spojrzał spod ciężarówki na pozostałości mostu.

- Niedługo przywiozą materiały- powiedział.- A naprawa nie zajmie nam dużo czasu.

Jacque nie odpowiedział od razu. Jego wysokie, inteligentne czoło przecinała głęboka bruzda, a twarz lśniła od potu.

- To czekanie, kapitanie. To ono wywołuje skurcze w żołądku- powiedział po chwili.

- Wkrótce przywiozą materiał- powtórzył Bruce.

„Jeśli ten jest zdenerwowany, to pozostali muszą być przerażeni”. Bruce spojrzał na twarz mężczyzny siedzącego obok Jacques'a: była stężała ze strachu. „Jeśli zaatakują teraz, Bóg wie co się stanie”. Afrykańczyk może zamyślić się na śmierć- po prostu położy się i umrze. Zbliżają się powoli do tego stadium; jeśli teraz nastąpi atak to albo wpadną w szal, albo zwiną się w kłębek i będą wyc z strachu. Tego nigdy się nie da przewidzieć. Bądź szczery, Bruce, ty również nie jesteś spokojny, prawda? Nie, to przez to cholerne oczekiwanie”.

Nagle z przeciwległego brzegu polany dobiegł ich wysoki, dziki i niehumanoidalnie wściekły krzyk. Bruce poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Obrócił się błyskawicznie w kierunku głosu. Przez sekundę wydawało mu się, że cały obóz kurczy się pod wpływem tego niesamowitego dźwięku.

Znów rozległ się krzyk podobny do świstu bata. W jednej chwili utonął w huku wystrzałów.

Naraz Bruce roześmiał się. Odrzucił głowę do tyłu i śmiał się, pozwalając ujść przerażeniu. Inni również zaczęli się śmiać. Ci, którzy jeszcze przed chwilą strzelali, uśmiechali się teraz z zażenowaniem, zmieniając magazynki. Nie po raz pierwszy w swoim życiu Bruce przestraszył się, słysząc krzyk żółtego dzioborożca. Ale teraz był w stanie określić ten śmiech; była to forma łagodnej hysterii.

- Co, miałeś ochotę na parę piórek do kapelusza?- zapytał ktoś głośno, wywołując salwę śmiechu w całym obozie.

Napięcie opadło. Ludzie zaczęli żartować i przekomarzać się. Bruce podniósł się i opanował śmiech. „Nic się nie stało- pomyślał.- Za cenę pięćdziesięciu kul kupiliśmy spokój na jakąś godzinę. Niezły interes”. Podszedł do Shermaine. Dziewczyna również się śmiała.

- Co z działem zaopatrzenia?- uśmiechnął się do niej.- Jakie cudo sztuki kulinarnej będzie dzisiaj na obiad?

- Wołowina z puszki.

- A cebula?

- Cebula się skończyła. Tylko wołowina.

Bruce przestał się uśmiechać.

- Ile puszek zostało?- zapytał.

- Jedna skrzynka. Wystarczy jeszcze na jutrzejszy obiad. „Naprawa mostu pochłonie co najmniej dwa dni. Potem czeka nas jeszcze dzień drogi”- pomyślał Bruce.

- No cóż- rzekł.- Kiedy dojedziemy do domu, będziemy wszyscy mieli wilcze apetyty. Od dzisiaj zmniejszamy racje o połowę. Zajmij się tym, Shermaine.

Był tak zaabsorbowany tym nieoczekiwanym problemem, że nie zwrócił uwagi na niewyraźny warkot dochodzący spoza obozu.

- Kapitanie!- krzyknął Jacques.- Słyszysz pan? Bruce pochylił głowę i wsłuchał się uważnie.

- Ciężarówka!- powiedział z ulgą.

W całym obozie rozległy się natychmiast podniecone głosy. Bezczyenne czekanie skończyło się.

Ruffy i Wally wjechali z rykiem silników na polanę. Pojazdy były tak załadowane drewnem i arkuszami blachy wystającymi spod plandek, że zawieszenie ugięło się

niebezpiecznie. Ruffy wychylił się z kabiny pierwszej ciężarówki i krzyknął:

- Dobry, szefie! Gdzie mamy to zrzucić?

- Przy moście. Zaczekaj chwilę, dołączę do ciebie.- Wyśliznął się z obozu i podbiegł do ciężarówki Ruffy'ego. Przebiegając przez otwarty teren, czuł mrowienie na plecach. Z ulgą zatrzasnął za sobą drzwi kabiny.- Nie uśmiecha mi się dostać strzałą w plecy- powiedział.

- Były jakieś kłopoty podczas naszej nieobecności?

- Nie- odparł Bruce.- Ale wciąż siedzą w dżungli. Walili w bębny przez całą noc.

- Zwołują kumpli- mruknął Ruffy, zwalniając sprzęgło.- Będziemy mieli niezłą zabawę, zanim skończymy ten most. Pewnie odczekają z dzień albo dwa, zanim nabiorą odwagi, ale w końcu ruszą na nas.

- Zatrzymaj się tutaj, Ruffy- polecił Bruce i opuścił szybę w drzwiach.- Dam sygnał Hendry'emu, aby stanął obok nas. Wyładujemy materiały między dwiema ciężarówkami i zbudujemy osłonę z blachy.

Gdy Hendry ustawił swoją ciężarówkę przy pojeździe Ruffy'ego, Bruce zmusił się, aby spojrzeć na plażę.

- Krokodyle- powiedział z ulgą.

Ramy do patroszenia nadal stały na swoim miejscu, ale szczątki ludzkie zniknęły. Mimo to smród i roje much wciąż unosiły się w powietrzu.

- Zrobiły to w nocy- przytaknął Ruffy, przyglądając się długim śladom na piasku.

- Dzięki Bogu za to.

- Tak, chłopcy nie byliby zadowoleni, gdyby musieli uprzątnąć pozostałości ucztę Balubasów.

- Wyślę kogoś na plażę, aby rozwalił te ramy. Nie chcę, żeby widzieli je w czasie pracy.

- Rzeczywiście, nie jest to najpiękniejszy widok- zgodził się Ruffy, przebiegając wzrokiem po prymitywnych konstrukcjach.

Bruce wyszedł z ciężarówki i stanął między dwoma pojazdami.

- Hendry.

- To do mnie!- Wally wychylił się przez okno.

- Obawiam się, że muszę cię rozczarować: krokodyle odwały twoją robotę.

- Widzę. Nie jestem ślepy.

- To dobrze. Zakładając, że nie jesteś ani ślepy, ani sparaliżowany, co byś powiedział o

rozładowaniu ciężarówek?

- Ale śmieszne- mruknął Hendry. Wysiadł jednak z kabiny i zaczął pokrzykiwać na ludzi siedzących na skrzyni pojazdu.- Wyłażcie stamtąd! No już, ruszać się!

- Jakie są najgrubsze belki, które znaleźliście?- zwrócił się Bruce do Ruffy'ego.

- Dziewięć na trzy cale, mamy ich całą masę.

- Wystarczą- zdecydował Bruce.- Zbijemy po dwanaście takich belek na filary. Hendry, drewno trzeba ułożyć według wielkości. Blachę połóżcie tam- powiedział, odganiając muchy z twarzy.- Ruffy, ile mamy młotków?

- Dziesięć, szefie. Znalazłem też parę pił.

- Wspaniale. Jak stoimy z gwoździami i linami?

- Mamy ich całe mnóstwo. Zdobyłem skrzynkę sześciocalowych gwoździ i...

Pochłonięty myśleniem o moście, Bruce nie zauważył, że jeden z cywilów wyszedł z obozu. Zrobił kilka kroków w kierunku mostu i zatrzymał się. Potem niespiesznie odpiął rozporek. W tym momencie Bruce podniósł głowę.

- Co robisz u diabła?- krzyknął.

Mężczyzna spojrział na niego z poczuciem winy. Nie rozumiał po angielsku, ale ton głosu kapitana był jednoznaczny.

- Monsieur- zaczął wyjaśniać.- Chciałem...

- Wracaj do obozu!- ryknął Bruce. Zdezorientowany mężczyzna rozejrzał się wokół, a następnie zaczął zapinać rozporek.

- Pośpiesz się, idioto!

Wszyscy żandarmi przerwali pracę, obserwując go. Był tak zażenowany, że jego twarz pociemniała i ręce zaczęły mu się trząść.

- Zostaw to!- krzyknął wściekle Bruce.- Wracaj! Pierwsza strzała uniosła się leniwie z nadrzecznego buszu, cicho zataczając parabolę. Gdy zaczęła opadać, nabrała prędkości i z sykiem prując powietrze, utknęła w ziemi tuż przy stopach mężczyzny. Wyglądała niewinnie jak dziecinna zabawka: cienka trzcina z małym pióropuszem zielonych liści.

- Biegnij!- wrzasnął Bruce.

Mężczyzna stał i z niedowierzaniem wpatrywał się w strzałę. Bruce ruszył, żeby sprowadzić go pod osłonę ciężarówek, ale ciężka, czarna dłoń Ruffy'ego zacisnęła się na jego ramieniu, unieruchamiając go. Odtrącił Ruffy'ego, próbując się uwolnić, ale nie mógł nic zrobić.

Chwył Murzyna był jak z żelaza.

Chmura strzał pojawiła się na niebie jak szarańcza, lecąc wysoko z cichym świstem. Bruce przestał się szamotać i stanął spokojnie, patrząc, co się stanie. Słyszał, jak metalowe groty bębnią o maskę ciężarówki i zobaczył, jak strzały opadają obok mężczyzny, jak niektóre z nich pękają, uderzając o ziemię.

Nagle jakaś strzała niczym doskonale wymierzona banderilla trafiła mężczyznę dokładnie między łopatki. Biegący wykręcił ramiona do tyłu, bezskutecznie próbując wyciągnąć strzałę. Jego twarz wyrażała przerażenie i ból.

- Przytrzymajcie go!- krzyknął Bruce, kiedy mężczyzna wbiegł między ciężarówki.

Dwóch żandarmów chwyciło biegnącego za ręce i położyło na ziemi, twarzą w dół. Mężczyzna, przerażony, mamrotał coś bez związku, kiedy Bruce usiadł na nim i chwycił strzałę. Grot zagłębił się tylko do połowy, ale gdy Bruce szarpnął, trzcina pękła, zostawiając metal w ciele.

- Nóż!- krzyknął Bruce i ktoś wetknął mu do ręki bagnet.

- Niech pan uważa, szefie. Nie może się pan skaleczyć.

- Ruffy, weź chłopców i przygotujcie się do odparcia ataku, gdyby ruszyli na nas- rzucił Bruce, rozdzierając koszulę.

Przez chwilę wpatrywał się w prymitywny, kuty ręcznie żelazny grot. Był obficie oblepiony wypełniającą szczerby trucizną, która wyglądała jak lepkie, czarne toffi.

- Jest już trupem- powiedział Ruffy, opierając się o maskę ciężarówki.- Tylko jeszcze nie przestał oddychać.

Mężczyzna wrzasnął i zaczął się wić pod siedzącym na nim Bruce'em, gdy ten zrobił pierwsze nacięcie, zagłębiając bagnet obok grotu.

- Hendry, wyciągnij szcypce z pudła na narzędzia!

- Masz.

Bruce chwycił grot stalowymi szczękami szczypiec i pociągnął. Skóra niechętnie oddała ułamek, unosząc się niczym piramida. Bruce przeciągnął po niej bagnetem, czując, jak pęka. Cała operacja była podobna do wyciągnięcia haczyka z pyska zębacza.

- Marnuje pan czas, szefie- rzekł Ruffy, zachowując typowo afrykański spokój wobec gwałtownej śmierci.- Ten facet jest już stracony. Nawet koń by padł, gdyby mu zaaplikować taką dawkę jadu węża. Widać, że został świeżo wymieszany. Koniec z tym gościem.

- Jesteś pewien, Ruffy?- zapytał Bruce, podnosząc głowę.- Jesteś pewien, że to jad węża?

- Tego właśnie używają. Mieszają to z mączką kassawa.

- Hendry, gdzie mamy odtrutkę na jad węża?

- W apteczce, w obozie.

Bruce pociągnął jeszcze raz za grot, który w końcu puścił, zostawiając głęboką, czarną dziurę pomiędzy łopatkami mężczyzny.

- Wszyscy na ciężarówki, musimy go zabrać do obozu. Każda sekunda się liczy!

- Niech pan spojrzy na jego oczy- mruknął Ruffy.- Zastrzyk z odtrutką już mu nie pomoże.

Źrenice mężczyzny zwężyły się do wielkości łebka zapalki, a jego ciało ogarnęły konwulsje wywołane przez rozprzestrzeniającą się truciznę.

- Weźcie go na ciężarówkę.

Położyli go w kabinie i sami weszli do pojazdu. Ruffy zapalił silnik, wrzucił bieg wsteczny i ruszył ostro do tyłu, z rykiem przejeżdżając trzydzieści jardów dzielące ich od pierścienia ciężarówek.

- Wyciągnijcie go i zanieście do obozu.

Mężczyzna mamrotał coś zdrtwiałymi wargami. Strużki potu spływały obficie po jego twarzy i nagim korpusie. Prawie nie krwawił- z rany sączyła się tylko brązowa ciecz. „Trucizna musi powodować, że krew tężeje”- wywnioskował Bruce.

- Bruce, czy nic ci się nie stało?- zawołała Shemnaine, biegnąc w jego kierunku.

- Nie, ze mną wszystko w porządku.- Tym razem Bruce pamiętał, aby odezwać się odpowiednio.- Ale jeden z nich oberwał.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Nie, nie chcę, abyś to oglądała- odparł i krzyknął do Wally'ego:- Hendry, gdzie jest ta cholerna szczepionka?

Zaciągnęli rannego do obozu i ułożyli go w cieniu. Bruce ukląkł obok niego, wziął od Hendry'ego apteczkę i otworzył ją.

- Ruffy, ustaw te dwie ciężarówki w pierścieniu i upewnij się, że chłopcy są gotowi do walki. Balubasi mogą nabrać odwagi prędzej niż przypuszczałeś.- Osadził igłę na strzykawce i powiedział:- Hendry, postaraj się o jakiś parawan. Najlepiej koc.

Ułamał czubek ampułki i napełnił strzykawkę jasnożółtym serum.

- Przytrzymajcie go- rzekł do dwóch żandarmów, wprowadzając igłę pod skórę tuż przy ranie.

Skóra mężczyzny była lepka i wilgotna jak skóra żaby. Wstrzyknąwszy serum, Bruce próbował obliczyć, ile czasu upłynęło od momentu wniknięcia trucizny do organizmu. Może jakieś siedem lub osiem minut. Jad węża mamba zabija w ciągu czternastu minut.

- Odwróćcie go na plecy- powiedział.

Głowa mężczyzny opadła bezwładnie na bok, jego oddech był płytki i przyśpieszony, a z kącików ust wypływała ślina, ściekając po policzkach.

- Co za widok!- wydyszał Wally.

Bruce spojrział na niego. Twarz miał rozpromienioną jakąś głęboką, prawie zmysłową przyjemnością. Oddychał równie płytko i szybko jak umierający.

- Rusz się i pomóż Ruffy'emu- warknął Bruce, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła z obrzydzenia.

- Nigdy w życiu. Nie zamierzam opuścić takiego widowiska! Bruce nie miał czasu na klótnie. Chwycił skórę mężczyzny na brzuchu, uniósł ją i wprowadził igłę. Towarzyszył temu dźwięk podobny do cichego wybuchu, kiedy uleciały gazy nagromadzone we wnętrznościach mężczyzny.

- Chryste!- szepnął Hendry.

- Spieprzaj!- warknął Bruce.- Czy nie możesz pozwolić mu umrzeć bez ślinienia się nad nim?!

Nie mając już nadziei, Bruce zrobił jeszcze jeden zastrzyk w klatkę piersiową, tuż nad sercem. Gdy nacisnął tłoczek, ciało mężczyzny wyprężyło się gwałtownie w pierwszym ataku i igła pękła pod skórą.

- Umiera...- szepnął Hendry.- Umiera. Spójrz na niego, człowieku. To naprawdę coś!

Ręce Bruce'a drżały; jakaś zasłona zaczęła opadać w jego umyśle.

- Ty parszywa świnio!- wrzasnął, uderzając Hendry'ego otwartą dłonią w twarz. Wally oparł się plecami o cysternę. Bruce zacisnął dłonie na jego szyi. Pod kciukami wyczuwał tchawicę.- Czy dla ciebie nie ma nic świętego?- ryknął prosto w twarz Hendry'ego.- Czy nie możesz pozwolić człowiekowi umrzeć w spoko...

W tym momencie pojawił się Ruffy, bez trudu odciągając Bruce'a od Wally'ego. Wszedł między walczących i rozdzielił ich swoim potężnym ciałem.



- Niech pan da spokój, szefie.

- Zap...- Hendry dyszał, masując gardło.- Zapłacisz mi za to!

Bruce odwrócił się. Było mu wstyd i czuł mdłości. Spojrzał na człowieka leżącego na kocu.

- Zakryjcie go- powiedział drżącym głosem.- Połóżcie ciało na jednej z ciężarówek. Pochowamy go jutro.

## Rozdział 23

Zanim zapadła noc, zdążyli wykończyć osłonę z blachy. Była to prosta konstrukcja o czterech ścianach. Jedną ściankę można było odłączyć, a wszystkie cztery miały w równych odstępach otwory strzelnicze. Osłona była prymitywna, lecz wystarczająco obszerna, by pomieścić dwunastu ludzi i wysoka na tyle, by głowy mężczyzn nie wystawały ponad nią.

- Jak zamierza ją pan przenieść, szefie?- zapytał Ruffy, z powątpiewaniem przypatrując się konstrukcji.

- Zaraz zobaczysz. Przeniesiemy ją teraz do obozu, tak że rano będziemy mogli w niej pójść do pracy.

Bruce wybrał dwunastu ludzi. Weszli do środka po odsunięciu ruchomej ścianki, którą Bruce zamknął od wewnątrz.

- Okay, Ruffy. Wracajcie ciężarówkami do obozu. Hendry i Ruffy zawrócili samochodami, zostawiając osłonę na przyczółku mostu, jak gdyby to była buda, w której pobiera się myto za przejazd. Wewnątrz niej Bruce rozstawił mężczyzn w równych odstępach wzdłuż ścian.

- Chwyćcie dolną ramę z drewna, aby unieść do góry!- krzyknął.- Gotowi? W porządku, w górę!- Osłona zakołysała się i uniosła sześć cali nad ziemią. Z obozu widać było tylko buty dźwigających mężczyzn.- Razem- polecił Bruce.- Idziemy!

Chwiejąc się i skrzypiąc, konstrukcja posuwała się niezgrabnie w kierunku obozu. Poruszające się pod nią stopy upodabniały ją do ogromnej gąsienicy. Ludzie w obozie zaczęli wiwatować, na co niosący zareagowali wybuchami śmiechu. Wszyscy mieli doskonałą zabawę, zupełnie zapominając o zatrutych strzałach i zjawach ukrywających się w dżungli. Doszli do obozu i postawili osłonę na ziemi. Potem jeden za drugim żandarmi błyskawicznie pokonywali brakujące metry otwartej przestrzeni i wślizgiwali się do dającego schronienie pierścienia samochodów. Czekający na nich ludzie witali ich ze śmiechem, klepali po plecach i gratulowali im.

- Cóż, to działa, szefie- Ruffy powitał Bruce'a wśród ogólnej wrzawy.

- Tak- powiedział Bruce i dodał podniesionym głosem:

- Wystarczy tego. Uspokójcie się i wracajcie na stanowiska. Śmiech ucichł i powrócił porządek. Bruce stanął na środku pierścienia i rozejrzał się wokoło. Zapanowała kompletna cisza.

Wszyscy wpatrywali się w niego. „Tak często o tym czytałem- pomyślał, uśmiechając się w duchu.- Bohaterska mowa wygłaszana do żołnierzy przed rozpoczęciem bitwy. Módlmy się, żebym jej nie sfuszerował!”

- Jesteście głodni?- zapytał po francusku, co spotkało się ze zgodnym chórem odpowiedzi twierdzących.- Na kolację jest wołowina z puszki.- Tym razem rozległy się żartobliwe jęki.

- I wołowina z puszki na śniadanie jutro rano- powiedział i zrobił pauzę. Po chwili dodał:- A potem nie zostanie już nic.

- W obozie zaległa cisza.- Więc zanim przejdziemy przez rzekę, zgłodniejecie naprawdę porządnie. Im szybciej naprawimy most, tym prędzej napełnicie swoje brzuchy.- Bruce pomyślał, że warto by też przypomnieć żołnierzom o paru rzeczach.- Widzieliście wszyscy, co się przydarzyło mężczyźnie, który wyszedł dzisiaj na otwartą przestrzeń, zatem nie muszę wam mówić, żebyście nie wytykali nosa poza obóz. Sierżant Ruffararo zajmuje się właśnie organizowaniem sanitariatów, będą nimi dwudziestolitrowe beczki. A że nie są zbyt wygodne, więc nie będzie was kusiło, aby siedzieć na nich zbyt długo.- Rozległ się słaby śmiech.- Jeszcze jedno. Pamiętajcie, że dopóki pozostajecie w obozie lub w obrębie osłony, nie mogą wam nic zrobić. Nie musicie się niczego, absolutnie niczego obawiać. Mogą walić w bębny tak długo, jak tylko zechcą, ale nie mogą nas nawet tknąć.- To stwierdzenie zostało przyjęte zgodnym pomrukiem aprobaty.- A im wcześniej skończymy most, tym prędzej ruszemy w dalszą drogę.- Bruce rozejrzał się wokoło i to, co wyczytał z twarzy otaczających go ludzi, sprawiło mu satysfakcję. Budowa osłony zaowocowała wzrostem morale.

- Sierżancie Jacque. Możecie włączyć reflektory, jak tylko się ściemni.

Bruce skończył przemawiać i podszedł do Shermaine stojącej obok Forda. Poluzował paski hełmu i zdjął go. Przyczesał palcami włosy mokre od potu.

- Jesteś zmęczony- powiedziała cicho dziewczyna, przyglądając się jego zapadniętym oczom i kurzym łapkoms w kącikach ust.

- Nie, czuję się dobrze- zaprzeczył, ale każdy mięsień bolał go od wyczerpania i napięcia nerwowego.

- Dzisiaj musisz przespać zdrowo całą noc- powiedziała.

- Przygotuję ci posłanie na tylnym siedzeniu. Bruce szybko spojrzał na nią i zapytał:

- Przy twoim?

- Tak.

- Nie obchodzi cię, że wszyscy się dowiedzą?
- Nie wstydzę się naszego związku- odparła z zawziętością.
- Wiem, ale...
- Powiedziałeś kiedyś, że nic co istnieje między nami, nie może być splugawione.
- Nie, oczywiście, że nie. Po prostu myślałem...
- No dobrze. Kocham cię i od tej chwili będziemy dzielili jedno łóżko- powiedziała zdecydowanie.

„Jeszcze wczoraj była dziewicą- pomyślał zaskoczony.- A teraz, cóż, żadnych zahamowań. Kiedy już się pobudzi kobietę, staje się ona bardziej lekkomyślna i nierozważna niż jakikolwiek mężczyzna. Kobiety zawsze idą na całość. Ale oczywiście ona ma rację. Jest moją kobietą i jej miejsce jest w moim łóżku. Do diabła z resztą świata i tym, co sobie myśli!”

- Przygotuj więc łóżko, dziewczyno!- powiedział, uśmiechając się do niej czule.

Dwie godziny po zapadnięciu zmroku znów odezwały się bębny. Leżeli przytuleni do siebie i słuchali uderzeń. Nie budziły już ich przerażenia, ponieważ czuli się bezpieczni i odprężeni po chwilach napiętności. Było tak, jak gdyby leżeli i wsłuchiwali się w bezsilną furję burzy wściekle bębniącej deszczem w dach.

## Rozdział 24

O świcie udali się nad most. Osłona przemierzająca otwarty teren była podobna do skorupy metalowego żółwia o wielu nogach. Mężczyźni, którzy ją nieśli, rozmawiali i żartowali głośno, nadal podekscytowani tym wynalazkiem. Zabrali się do pracy. W ciągu godziny słońce zamieniło to wielkie metalowe pudło w rozżarzony piec. Mężczyźni rozebrali się do pasa, a mimo to pot kapał z nich. Pracowali jak w transie, ogarnięci świeżym zapachem, niepomni na nic z wyjątkiem grubo ociosanego drewna, które zostawiało drzazgi w ich skórze. Pracowali w niewyobrażalnym upale, wśród huku młotków i w duszącym zapachu trocin. Praca posuwała się sprawnie, tylko od czasu do czasu Bruce lub Ruffy wydawali krótkie polecenia.

Do południa uporali się z wykonaniem czterech kratownic, którymi zamierzali uzupełnić wyrwę w moście. Bruce sprawdził ich wytrzymałość, podkładając podpórki pod końce jednej z nich i każąc wszystkim pracującym wejść i stanąć pośrodku. Ugięła się o jeden cal.

- Co pan o tym myśli, szefie?- zapytał Ruffy bez przekonania.

- Cztery takie kratownice powinny wystarczyć. Umocujemy nad nimi dodatkowe belki- odparł Bruce.

- Czy ja wiem... Cysterna waży strasznie dużo.

- Tak, nie jest to waga musza- zgodził się Bruce.- Ale będziemy musieli zaryzykować. Najpierw przejedzie Ford, potem ciężarówka, a cysterna na końcu.

Ruffy kiwnął głową i wytarł twarz ręką. Mięśnie pod jego pachami zagrały sprężystością, gdy wykonał ruch ramieniem.

- Uff, mam ochotę na piwo. Pragnienie daje mi się porządnie we znaki.

- Przyniosłeś coś ze sobą?- zapytał Bruce, zgarniając pot z czoła, tak że strużki spłynęły mu po twarzy.

- Są dwie rzeczy, bez których nigdzie się nie ruszam: spodnie i zapasik bursztynowych bąbelków- odparł Ruffy, przynosząc z kąta małą paczkę, w której coś cicho zadźwięczało.- Słyszysz pan, szefie?

- Słyszę. Ten dźwięk jest jak muzyka dla moich uszu- uśmiechając się powiedział Bruce.- Uwaga, wszyscy!- podniósł głos.- Dziesięć minut przerwy.

Ruffy otworzył butelki i rozdał je- po jednej na trzech zandarmów.

- Te Arabcy nie potrafią docenić dobrego piwa- wyjaśnił Bruce'owi.- Byłoby

marnotrawstwem dawać im więcej.

Napój był letni i mocno gazowany. Tylko trochę ukoił pragnienie Bruce'a, który szybko opróżnił butelkę i wyrzucił ją za osłonę.

- W porządku- rzekł wstając.- Ustawmy te kratownice.

- To było najkrótsze dziesięć minut, jakie przeżyłem w swoim życiu- skomentował Ruffy.

- Twój zegarek się spóźnia- odparł Bruce. Przenosząc kratownice wewnątrz osłony, przesunęli ją na most.

Nie było już słyhać śmiechu tylko ciężkie oddechy i przekleństwa.

- Zawiążcie liny- polecił Bruce. Osobiście sprawdził węzły, spojrział na Ruffy'ego i kiwnął głową.- To wystarczy.

- Dalej, leniwe dranie- popędził Ruffy.- Podnieście ją! Pierwsza kratownica uniosła się prostopadle do mostu i zakołysała się jak siup na ludowych festynach, z którego zwisają wstążki. Do jej końca przywiązane były liny.

- Dwóch ludzi do każdej liny- rozkazał Bruce.- Opuszczajcie powoli.- Rozejrzał się dokoła, aby sprawdzić, czy są gotowi.

- Jeśli spadnie do wody, to polecicie tam za nią- ostrzegł Ruffy.

- Opuszczajcie!- krzyknął Bruce.

Kratownica zawisała nad wyrwą w moście, opadając w kierunku osmalonych resztek po drugiej stronie rzeki. Z początku przesuwiała się powoli, a później coraz szybciej, ulegając sile ciężenia.

- Do cholery, trzymajcie ją! Nie puszczajcie!- ryczał Ruffy, naprężając mięśnie ramion.

Żandarmi zaparli się nogami w ziemię, ale ciężar opadającej kratownicy ciągnął ich do przodu. Wreszcie konstrukcja z hukiem uderzyła o przeciwległy brzeg, wznosząc tumany kurzu i wywołując silne drgania.

- Człowieku, już myślałem, że straciliśmy ją na zawsze- mruknął Ruffy. Po chwili z furją natarł na swoich ludzi.- Uważajcie, dranie, lepiej na następną, jeśli nie macie ochoty na kąpiel w rzece!

Powtórzyli procedurę z drugą kratownicą i znów nie udało im się jej przytrzymać, tyle że tym razem mieli mniej szczęścia. Kratownica uderzyła końcem w przeciwległy brzeg, odbiła się i ześliznęła bokiem.

- Spada! Ciągnąć, dranie, ciągnąć!- krzyczał Ruffy. Kratownica przechyliła się i runęła

bokiem w dół, uderzyła w wodę, wznosząc fontannę, znikła pod powierzchnią rzeki i wyskoczyła jak korek, spływając w dół rzeki, aż przytrzymujące ją liny napięły się.

Bruce i Ruffy wściekali się i klęli, kiedy z wysiłkiem przyciągnięto ją do mostu i umieszczono na górze. Zanim im się to wreszcie udało, niezgrabna konstrukcja ześlizgiwała się w krytycznej chwili i wpadała do rzeki ze sześć razy.

Zasób przekleństw Ruffy'ego był bardzo ubogi, co powodowało u niego frustrację, kiedy musiał się powtarzać. Bruce znacznie przewyższał Murzyna pod tym względem; pamiętał wiele przekleństw, a i sam ukuł ich parę. Kiedy w końcu umieścili ociekającą kratownicę na moście i odpoczywali, Ruffy zwrócił się do Bruce'a z nie ukrywanym podziwem:

- Klnie pan naprawdę nieźle- powiedział.- Nigdy przedtem nie słyszałem, jak pan to robi, ale jest pan dobry, nie ma wątpliwości! Co to było z tą krową? Sam pan to wymyślił?- zapytał, kiedy Bruce powtórzył przekleństwo.

- Pod wpływem chwilowego impulsu- roześmiał się Bruce.

- To chyba najmocniejsze słowa, jakie słyszałem.- Ruffy nie mógł ukryć zazdrości.- Człowieku, powinien pan napisać książkę.

- Skończmy najpierw ten most- odparł Bruce.- A potem zastanowię się nad tym.

Tym razem wydawało się, że kratownica w niemal służalczy sposób próbuje ich zadowolić. Gładko opadła na drugą stronę i leżała posłusznie obok pierwszej.

- Wyklnie pan coś porządnie i zaraz dzieją się cuda- stwierdził Ruffy z mądrą miną.- Myślę, że to przekleństwo o krowie było decydujące, szefie.

Ustawivszy dwie kratownice, przenieśli na nie osłonę i przyciągnęli dwie pozostałe. Położyli je obok pierwszych i zabezpieczyli linami oraz gwoździami. Wszystko to zrobili przed zapadnięciem zmroku. Kiedy powrócili w chwiejącej się osłonie do obozu, wszyscy byli skrajnie wyczerpani. Ręce mieli pokrwawione i pełne drzazg, ale mimo to byli z siebie bardzo zadowoleni.

- Sierzancie Jacque, skierujcie jeden z reflektorów na most i oświetlajcie to miejsce przez całą noc. Nie chcę, aby nasi przyjaciele z dżungli znów podłożyli ogień.

- Baterie niedługo się wyczerpią. Każda z nich będzie działała najwyżej przez kilka godzin- cicho powiedział Jacque.

- Użyjcie więc jedną po drugiej- bez wahania odparł Bruce.

- Most musi być oświetlony przez całą noc.- Potem zwrócił się do sierżanta.- Ruffy,

myślisz, że znalazłbyś butelkę piwa dla każdego z chłopców, którzy dzisiaj pracowali przy moście?

- Całą butelkę dla każdego?!- Ruffy był wstrząśnięty.

- Zostało mi tylko parę skrzynek.- Bruce popatrzył na niego surowo i Murzyn się uśmiechnął.- Okay, szefie. Chyba zasłużyli na to.

Bruce podszedł do Hendry'ego, który siedział na skrzyni ciężarówki, czyszcząc paznokcie czubkiem bagnetu.

- Wszystko w porządku w obozie?- zapytał chłodno.

- Pewnie. A ty myślisz, że co się stało? Arcybiskup wpadł z wizytą? Niebo się zapadło? Twoja Francuzeczka urodziła bliźniaki?- odparł Hendry, unosząc głowę i spoglądając na Bruce'a.

- A kiedy wy, dowcipnisie, skończycie ten most, zamiast łaźić w kółko i zadawać głupie pytania?

Bruce był zbyt zmęczony, aby zareagować na te zaczepki.

- Masz nocną wartę, Hendry- powiedział.- Od teraz do świtu.

- Uważasz, że to w porządku, co? A ty co będziesz robił? Co będziesz robił przez całą noc? A może to pytanie wywołuje rumieńce na twoich policzkach?

- Będę spał, to właśnie zamierzam robić w nocy. Nie wałkonilem się przez cały dzień.

Hendry wetknął bagnet w ziemię między stopami i parsknął.

- Cóż, daj jej trochę tego snu ode mnie również, koziółku. Bruce odwrócił się i podszedł do Forda.

- Cześć, Bruce! Jak wam poszło? Tęskniłam za tobą- powitała go Shermaine z rozpromienioną uśmiechem twarzą.

„Jak dobrze jest być kochanym”- pomyślał Bruce i cześć jego zmęczenia zniknęła natychmiast.

- W połowie skończone. Czeka nas jeszcze dzień pracy- odwzajemnił się uśmiechem.- Nie będę kłamał i nie powiem, że tęskniłem za tobą. Byłem zajęty jak diabli.

- Twoje ręce!- powiedziała z troską, unosząc dłonie Bruce'a i przyglądając się im.- Są w strasznym stanie.

- Niezbyt ładne, co?

- Wezmę igłę i powyciągam drzazgi.

Siedzący po drugiej stronie obozu Wally Hendry spojrział na Bruce'a i niedwuznacznie



posuwistym ruchem ręki wskazał na swoje podbrzusze. Kiedy na twarzy Bruce'a pokazał się gniew, Wally odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się uradowany.

## Rozdział 25

Bruce stał z Ruffym i Hendrym, wpatrując się w ognisko. W żołądku burczało mu z głodu. W świetle wczesnego ranka widać było tylko ciemne zarysy mostu. Bębny wciąż warczały w dżungli, ale teraz prawie już nie zwracali na nie uwagi. Przyjmowali je jako coś równie naturalnego jak moskity.

- Baterie sę wyczerpały- jęknął Ruffy.

Słaby, żółty promień światła reflektorów z trudem docierał do mostu.

- Wystarczyły zaledwie na tę noc- zgodził się Bruce.

- Jezu, ale jestem głodny- poskarżył się Hendry.- Co ja bym dał za dwa sadzone jajka i befsztyk z polędwicy!

Na wzmiankę o jedzeniu ślina napłynęła Bruce'owi do ust. Odrzucił od siebie obraz, który słowa Wally'ego wywołały w jego umyśle.

- Nie zdołamy dzisiaj skończyć mostu i przejechać na drugą stronę- powiedział.

Ruffy przytaknął skinieniem głowy.

- Został nam cały dzień pracy, szefie.

- Powiem wam, co zrobimy- ciągnął Bruce.- Pójdę z grupą roboczą na most. Hendry, ty zostaniesz w obozie i będziesz nas osłaniał, tak jak wczoraj. Ty, Ruffy, weźmiesz ciężarówkę, ze dwunastu ludzi i zawrócicie drogą z dziesięć mil w miejsce, gdzie las nie jest taki gęsty i nie będą w stanie was podejść. Zetnijcie parę drzew i potnijcie je na grube kłody, które będą się paliły przez całą noc. Wokół obozu ustawimy pierścień ognisk na dzisiejszą noc.

- To ma sens- kiwnął głową Ruffy.- A co zrobimy z mostem?

- Umieścimy na nim straż- powiedział Bruce, widząc jak wyraz ich twarzy zmienia się.

- Więcej kotletów dla chłopców z buszu- mruknął Hendry.- Na pewno ja nie będę siedział przez całą noc na moście.

- Nikt cię o to nie prosi- warknął Bruce.- W porządku, Ruffy. Przywieźcie drewno, dużo drewna.

Późnym popołudniem ukończyli naprawę mostu. Najbardziej niebezpiecznie było w południe, kiedy z czterema ludźmi musiał zejść po filarach w dół, aby zainstalować dodatkowe wzmocnienia zaledwie metr nad powierzchnią rzeki. Byli wystawieni na strzały, które mogły ich dosięgnąć z gęstego buszu na brzegach. Ale strzały się nie pojawiły i kiedy skończyli, wspięli się

na most z uczuciem pewnego zawodu. Przybili poprzeczne belki do kratownic i wszystko dokładnie powiązali. Bruce przyjrzał się uważnie efektom ich pracy.

- Funkcjonalne- stwierdził głośno.- Ale z pewnością nie zdobylibyśmy żadnej nagrody za walory estetyczne lub rozwiązania techniczne.- Podniósł kurtkę i narzucił ją na siebie. Poczł chłód. Słońce już prawie zaszło.- Panowie, do domu!- zakomenderował i żandarmi rozmieścili się wewnątrz osłony, aby zanieść ją do obozu.

Metalowa osłona okrążała obóz, przysiadając co dwadzieścia lub trzydzieści kroków. Kiedy się unosiła, zostawiała za sobą ognisko. Zanim zapadła ciemność, pierścień ognisk wokół obozu był gotowy i osłona powróciła do obozu.

- Jesteś gotów, Ruffy?- zawołał Bruce ze środka osłony.

- Wszystko gotowe, szefie.

Ruffy z sześcioma żandarmami przeszedł szybko krótki odcinek otwartej przestrzeni i przyłączył się do Bruce'a. Potem wszyscy ruszyli na most, na swoją czołową wachtę. Przed północą w osłonie z blachy falistej zrobiło się bardzo zimno- od rzeki wiał chłodny wiatr, przed którym nie sposób było się schować, a na niebie nie pojawiła się żadna chmurka przytrzymująca przy ziemi ciepło nagromadzone w ciągu dnia. Mężczyźni w osłonie otulili się pałatkami i czekali. Bruce i Ruffy oparli się o blaszaną ścianę, siedząc ramię w ramię. Światło gwiazd było wystarczające, aby rozjaśnić wnętrze osłony.

- Księżyc pojawi się za godzinę- mruknął Ruffy.

- Tylko sierp, ale i to spowoduje, że będzie jaśniej niż teraz- zgodził się Bruce, spoglądając w dół przez czarną dziurę, którą stworzył między stopami, wyciągając jedną ze świeżo położonych belek.

- Co by pan powiedział na to, żebym poświecił trochę latarką?- zaproponował Ruffy.

- Nie.- Bruce potrząsnął głową i przelożył latarkę do drugiej ręki.- Poczekamy, aż będzie ich słycać.

- Możemy ich nie usłyszeć.

- Jeśli podpłyną, aby wspiąć się na most po filarach, tak jak się spodziewam, wówczas na pewno ich usłyszymy. Będą chlapać i rozpryskiwać wodę- powiedział Bruce.

- Kanaki i jego chłopcy nie słyszeli ich- zauważył Ruffy.

- Kanaki i jego chłopcy nie spodziewali się, że wejdą po filarach- odparł Bruce.

Umilkli na chwilę. Jeden z żandarmów zaczął chrapać i Ruffy kopnął go w plecy.

Mężczyzna krzyknął i zerwał się na kolana, z przerażeniem rozglądając się wokoło.

- Miłe miałeś sny?- uprzejmie zapytał Ruffy.

- Nie spałem!- zaprotestował mężczyzna.- Rozmyślałem tylko.

- Więc na drugi raz nie myśl tak głośno- poradził Ruffy.- Chrapałeś tak, jakbyś chciał przepiłować most na pół.

Kolejne pół godziny wlokło się, jak gdyby czas był sparaliżowany.

- Ogniska dobrze się palą- stwierdził Ruffy.

Bruce obrócił głowę i spojrzał przez otwór strzelniczy na mały ogród pomarańczowych kwiatów ognia wylaniający się z ciemności.

- Tak, powinny dawać światło aż do rana.

Znów zapadła cisza, przerywana tylko bzykaniem moskitów i szumem rzeki opływającej filary mostu. „Shermaine ma mój pistolet- przypomniał sobie Bruce z bijącym sercem.- Powiniennem go jej odebrać”. Zdjął bagnet z lufy karabinu, sprawdził ostrze kciukiem i wsunął go do płóciennej pochwy zawieszanej u pasa. „Mógłbym łatwo zgubić karabin, gdyby coś się zaczęło dziać w ciemności”- pomyślał.

- Chryste, ale jestem głodny- jęknął siedzący obok Ruffy.

- Jesteś za gruby- powiedział Bruce.- Dieta dobrze ci zrobi.

Czekali nadal. Bruce spojrzał przez dziurę w moście. W ciemności zamajaczyły fantastyczne kształty. Widział niewyraźne postacie, które poruszały się, jak gdyby pływały pod powierzchnią wody. Żołądek podszedł mu do gardła. Z trudem oparł się pokusie zapalenia latarki. Zamknął oczy, aby dać oczom odpocząć. „Policzę powoli do dziesięciu- pomyślał- a potem spojrzę jeszcze raz”.

Dłoń Ruffy'ego zacisnęła się na jego ramieniu. Bruce błyskawicznie otworzył oczy.- Niech pan posłucha- powiedział cichym szeptem Ruffy. Bruce usłyszał ciche kapanie wody pod sobą. Potem coś uderzyło w most tak łagodnie, że bardziej wyczuł to, niż usłyszał.

- To oni- powiedział szeptem.

Wysunął rękę i poklepał siedzącego obok żandarma w ramię. Ciało mężczyzny zeszywniało pod dotykiem jego palców. Wstrzymując oddech, Bruce czekał, aż ostrzeżenie zostanie przekazane wszystkim ludziom. Potem podniósł karabin spoczywający na kolanach i skierował lufę w ciemny otwór. Wziął głęboki oddech i włączył latarkę. Strumień światła rozdarł ciemności panujące pod mostem i Bruce spojrzał w oświetloną przestrzeń.

Kwadratowy otwór w poszyciu mostu stworzył jakby ramę dla obrazu, który zobaczył. Czarne, nagie ciała, błyszczące od wilgoci i wpatrująca się w niego twarz o szerokim, pochylonym czole ponad zaskakująco białymi oczami i płaskim nosem. Długie, błyszczące ostrze maczety. Wojownicy Baluba byli poprzyklepani do drewnianych filarów niczym rzep na psim ogonie. Nogi, ramiona i połyskliwe ciała zlały się w coś, co przypominało okropnego, śliskiego potwora morskiego.

Bruce wystrzelił. Kolba uderzyła go w ramię, a długie pomarańczowe serie z lufy nadały obrazowi nowy wymiar. Ciała unosiły się desperacko, szamocąc się jak szczury w pustej studni. Niektórzy spadali do rzeki, powodując fontanny wody, inni usiłowali się wdrapać na filary, skręcając się i wijąc, gdy trafiały ich kule, i wrzeszcząc przy tym tak, że zagłuszali huk karabinów. Broń Bruce'a szczęknęła głucho; sięgnął po nowy magazynek. Ruffy i jego ludzie wychylili się ponad barierki i strzelali w dół, omiatając filary długimi seriami. Ogień oświetlał ich twarze i zarysowywał sylwetki na tle nieba.

- Wciąż nadchodzą!- wrzasnął Ruffy.- Nie pozwólcie im wejść na most!

W otworze u stóp Bruce'a pojawiła się głowa, a następnie tors mężczyzny. W ręce trzymał maczetę. Jego oczy były zamglone w ostrym świetle latarki. Baluba zamachnął się, celując w nogi Bruce'a. Curry odskoczył i maczeta niemal otarła się o jego kolana. Mężczyzna wyczołgał się z otworu i ruszył na niego, wydając z siebie gniewny okrzyk. Bruce uderzył lufą karabinu w wykrzywioną czarną twarz. Włożył w ten cios całą swą siłę i trafił napastnika w oko. Muszka i czterocalowy fragment lufy zniknęły w głowie mężczyzny, zatrzymując się na kości czaszki. Bezbarwny płyn z roztrzaskanej gałki ocznej spłynął po lufie. Ciągnąc i wykręcając karabin, Bruce próbował uwolnić broń, ale muszka zachowywała się jak haczyk na ryby, nie pozwalając na wyciągnięcie lufy. Baluba upuścił maczetę i chwycił rękami za karabin. Jęczał i rzucał głową za każdym razem, kiedy Bruce usiłował wyciągnąć lufę z jego głowy. Z otworu wyłoniły się głowa i ramiona kolejnego dzikusa. Bruce puścił karabin i podniósł maczetę. Przeskoczył wijące się ciało rannego mężczyzny i trzymając maczetę obydwoma rękami, uniósł ją nad głową. Mężczyzna utknął w otworze- nie był w stanie się obronić. Spojrzał na Bruce'a i otworzył z przerażenia usta. Bruce pochylił się całym ciałem, zadając cios. Siła uderzenia niemal wykręciła mu ręce. Krew obryzgała jego nogi. Nie hartowana stal maczety pękła przy rączce. Ciężko dysząc, Bruce wyprostował się i powiódł wokół siebie dzikim wzrokiem. Balubasi przedostali się na most przez barierkę. Jeden z żandarmów leżał skulony z głową przekreśloną i

karabinem w rękach. Ruffy i pozostali żandarmi wciąż strzelali w dół.

- Ruffy!- krzyknął Bruce.- Za tobą! Wchodzą na most!- Puścił maczetę, biegnąc w stronę żandarma. Potrzebował jego karabinu.

Zanim dobiegł, drogę zastąpił mu nagi Balubas. Bruce pochylił się, unikając ciosu maczety i chwycił napastnika. Spleceni ze sobą, upadli na most. Ciało dzikusa było śliskie. W nozdrza uderzył Bruce'a kwaśny odór, jak gdyby mężczyzna wysmarowany był zjełczałym tłuszczem. Curry nacisnął kciukiem miejsce przy łokciu ręki, w której mężczyzna trzymał broń. Baluba jęknął, a jego maczeta uderzyła z łoskotem o most. Bruce ramieniem zablokował jego szyję, a drugą ręką sięgnął po bagnet. Balubas próbował palcami wybić oczy Bruce'a; podrapał go po nosie, ale kapitan miał już bagnet w dłoni. Przytknął koniec ostrza do piersi Balubasa i pchnął silnie. Poczul, jak stal zgrzyta o żebra mężczyzny, który, czując ukłucie bagnetu, podwoił wysiłki, aby wygrać tę walkę. Bruce przekreślił ostrze ruchem nadgarstka, drugą ręką odsuwając jego głowę do tyłu. Bagnet zsunął się po kości. Opór nagle ustał i ostrze weszło w ciało. Mężczyzna drgnął. Bruce nie czekał, aż przeciwnik umrze. Wyciągnął ostrze i wstał, widząc jak Ruffy podnosi innego Balubasa i wrzuca go ponad barierką do rzeki.

Bruce wyrwał karabin z martwych rąk żandarma i stanął na skraju mostu. Atakujący przełazili przez barierkę. Ci, którzy byli na dole, przepychali się i krzyczeli na tych, którzy byli wyżej.

„To jak strzelanie do wróbli siedzących na płocie”- pomyślał Bruce i długą serią wyczyścił barierkę. Potem pochylił się i wygarnął do mężczyzn pod mostem. Skończyła mu się amunicja. Wyciągnął z kieszeni nowy magazynek i wsunął go na miejsce starego. Ale nie było to już potrzebne. Napastnicy wpadali jeden po drugim do rzeki- tylko ich głowy unosiły się nad powierzchnią, gdy płynęli z prądem. Filary mostu opustoszały.

Bruce opuścił karabin i rozejrzał się dookoła. Żandarmi dobijali mężczyznę, którego Bruce zranił. Stali nad nim i pomrukiwali, zatapiając bagnety w jego ciele. Mężczyzna wciąż jęczał. Bruce odwrócił wzrok. Ponad drzewami pokazał się jeden narożnik sierpa księżyca, otoczony przejrzystą aureolą.

Curry zapalił papierosa. Makabryczne dźwięki za jego plecami ucichły.

- Nic się panu nie stało, szefie?

- Nie, nie drasnęli mnie nawet. A tobie, Ruffy?

- Chce mi się tylko cholernie pić. Mam nadzieję, że nikt nie nadepnął na moją paczkę.

Bruce obliczył, że minęło około czterech minut od pierwszego wystrzału do ostatniego. Taka jest wojna- siedem godzin czekania i nudy, a potem cztery minuty szaleńczej walki. „Nie tylko wojna, zresztą- dodał w duchu.- Całe życie jest takie”. Nagle poczuł, jak uda zaczynają mu się trząść, a żołądek kurczy w pierwszym spazmie ogarniających go mdłości. Reakcja na zabijanie.

- Co się dzieje?- dobiegł ich głos z obozu. Bruce rozpoznał Wally'ego.- Wszystko w porządku?

- Odparliśmy ich- krzyknął Ruffy w odpowiedzi.- Teraz jest spokój. Może pan spać dalej. „Teraz muszę szybko usiąść”- powiedział w duchu Bruce.

Poza tatuażem na policzkach i czole martwy Baluba niewiele się różnił od ludzi z plemion Bambala i Bakuba, którzy stanowili podstawę oddziału Bruce'a. Curry oświetlił ciało latarką. Ramiona i nogi były chude, ale umięśnione, a brzuch wyduły po latach niedożywienia. Było to brzydkie ciało, zdeformowane i poskręcane. Bruce z odrazą przesunął światło latarki na twarz. Czaszka była niemal kwadratowa, nos spłaszczony, a grube wargi były lekko rozchylone, odsłaniając zęby ostre i spiczaste jak u rekina.

- To ostatni, szefie. Wrzucę ciało do rzeki- powiedział Ruffy stojący w ciemności obok Bruce'a.

- Dobrze.

Ruffy sapnął i ciało z głośnym plaśnięciem wpadło do wody. Murzyn wytarł ręce o barierkę i podszedł do Bruce'a.

- Cholerne małpy- powiedział głosem, w którym zabrzmiał antagonizm plemienny.- Kiedy pozbedziemy się tych z ONZ, trzeba będzie zrobić tutaj porządek. Ci cholerni Balubasi muszą się nauczyć paru rzeczy.

„Tak to już jest- pomyślał Bruce.- Żydzi i goje, katolicy i protestanci, biali i czarni, Bambala i Baluba”. Sprawdził, która godzina. Do świtu brakowało dwóch godzin. Uspokoił się, a dłoń w której trzymał papierosa, przestała drżeć.

- Nie powrócą już- powiedział Ruffy.- Może pan się trochę przespać, jeśli ma pan ochotę, szefie. Będę miał oko na wszystko.

- Nie, dzięki. Będę czuwał z tobą.- Nie uspokoił się jeszcze na tyle, aby zasnąć.

- Co pan powie na buteleczkę piwa?

- Dzięki, chętnie.

Bruce sączył piwo, wpatrując się w ogniska wokół obozu. Zamieniały się w stosy czerwonych węgli. Wiedział, że Ruffy ma rację. Baluba nie powtórzą ataku tej nocy.

- Więc jak ci się podoba wolność?

- Że co, szefie?- Pytanie wprawilo Ruffy'ego w zakłopotanie i ze zdziwieniem zwrócił się do Bruce'a.

- Jak ci się podoba to, że Belgowie wracają do domu?

- To chyba dobrze.

- A jeśli Tshombe będzie musiał ustąpić przed rządem centralnym?

- Te cholerne Arabby!- warknął Ruffy.- Chcą tylko naszej miedzi. Będą musieli wstawać wcześniej rano, aby ją dostać. My tu rządzymy.

Wielki turniej kontynentu afrykańskiego. Ja tu rządzę, spróbuj mnie wysadzić z siodła! Jak we wszystkich sprawach dotyczących przetrwania, nie była to kwestia etyki i doktryny politycznej, choć obserwatorzy w Londynie, Moskwie, Waszyngtonie i Pekinie byli odmiennego zdania. „Nadchodzą ważne dni- pomyślał Bruce.- Mój własny kraj, jeśli tylko zechce, spowoduje, że Algieria będzie wyglądała jak kółko starych szwaczek”.



## Rozdział 26

Słońce stało już wysoko, rzucając długie cienie na polanę. Bruce, stojąc obok Forda, patrzył na osłonę z blachy falistej widniejącą na drugim brzegu. Rozluźnił się na chwilę i dał się ponieść myślom. Czy czegoś nie zaniedbał? Czy maksymalnie wykorzystał wszystko, aby zapewnić bezpieczny przejazd przez most?

Hendry z dwunastoma żandarmami siedział w osłonie, gotów odeprzeć każdy atak z tamtej strony.

Shermaine przejedzie Fordem pierwsza. Potem ciężarówki. Pojadą puste, aby zmniejszyć niebezpieczeństwo zapadnięcia się mostu i nie osłabiać jego konstrukcji przed przejazdem cysterny. Po przejeździe każdej ciężarówki Hendry przeniesie jej ładunek i przeprowadzi ludzi jadących na niej w osłonie, a potem zostawi wszystko pod bezpiecznym baldachimem z płótna. Ostatnia ciężarówka przejedzie w pełni obciążona. Nie dało się tego uniknąć. Na końcu Bruce poprowadzi cysternę. Nie dlatego, że chciał być bohaterem- ponieważ była to najniebezpieczniejsza część przeprawy- ale dlatego, że jeśli chodzi o to zadanie nie zaufałyby nikomu innemu, nawet Ruffy'emu. Pięćset galonów paliwa było dla nich gwarancją szczęśliwego powrotu do domu. Na wszelki wypadek napełniono baki wszystkich pozostałych pojazdów, ale i tak nie wystarczyłoby tej benzyny na drogę do Elisabethville.

Bruce spojrział na Shermaine siedzącą za kierownicą Forda i powiedział:

- Jedź jedyneką, wolno, ale zdecydowanie. Cokolwiek się stanie, nie zatrzymuj się.- Dziewczyna skinęła głową i uśmiechnęła się do niego. Była spokojna. Bruce poczuł dumę, patrząc na nią, taką drobną i śliczną istotę, która dzisiaj musiała wykonywać męską pracę. Po chwili ciągnął dalej:- Jak tylko znajdziesz się po drugiej stronie, wyślę za tobą pierwszą ciężarówkę. Hendry umieści w niej sześciu swoich ludzi i wróci po resztę.

- Oui, monsieur Bonaparte.

- Zapłacisz mi za to w nocy- zagroził Bruce.- No, zmykaj już stąd.

Shermaine puściła sprzęgło i Ford ruszył, chwiejąc się na nierównym gruncie i powoli przyśpieszając.

Bruce wstrzymał oddech, ale samochód zakołysał się tylko nieznacznie, przejeżdżając przez naprawioną część mostu.

- Dzięki Ci Boże- szepnęła, wypuszczając powietrze. Shermaine zatrzymała się obok

osłony.

- Allez!- krzyknął Bruce na maszynistę, który siedział za kierownicą pierwszej ciężarówki.

Mężczyzna uśmiechnął się pogodnie, kiwnął ręką i ruszył naprzód.

Obserwując niespokojnie jego przejazd przez most, Bruce zauważył, że nowe belki uginają się pod ciężarem pojazdu, skrzypiąc głośno.

- Nie wygląda to dobrze- mruknął.

- Nie- przytaknął Ruffy.- Szefie, dlaczego nie pozwoli pan jechać cysterną komu innemu?

- Już to przerabialiśmy, Ruffy- odparł Bruce, nie odwracając głowy.

Hendry umieszczał swoich ludzi na ciężarówce. Potem zaczęli przenosić osłonę na brzeg, gdzie stał Bruce.

Curry zniecierpliwiony denerwował się okropnie przez cztery godziny, które były potrzebne na przejazd czterech ciężarówek. Dużo czasu pochłaniało przenoszenie osłony- jedna taka przeprawa wymagała co najmniej dziesięciu minut. W końcu na północnym brzegu została tylko ostatnia, piąta ciężarówka i cysterna. Bruce zapalił silnik, wrzucił pierwszy bieg i zatrąbił. Kierowca stojącej przed nim ciężarówki machnął w odpowiedzi ręką i ruszył.

Pojazd wtoczył się na most i dojechał do środkowej części. Był maksymalnie obciążony- na platformie było dwudziestu ludzi. Kiedy osiągnął odbudowany fragment mostu, zwolnił, niemal się zatrzymując.

- Jedź dalej! Do cholery, jedź dalej!- krzyknął Bruce w bezradnym gniewie.

Kierowca nie stosował się do jego rozkazów. Posuwał się mozolnie naprzód, podczas gdy most ugiął się niebezpiecznie pod pełnym obciążeniem. Plandeka ciężarówki kołysała się jak szalona. Mimo ryku silnika cysterny, Bruce słyszał wyraźnie skrzypienie drewna.

- Co za głupiec, co za cholerny głupiec- szepnął.

Nagle poczuł się opuszczony i samotny. W końcu puścił sprzęgło. Jadący przed nim kierowca wpadł w panikę. Silnik ciężarówki wył na wysokich obrotach, a tylne koła obracały się w miejscu, otoczone niebieskim dymem palonych opon. Jedna z belek stanowiących poszycie mostu odpadła. Po chwili pojazd skoczył do przodu i z rykiem wpadł na brzeg.

Bruce zawahał się, hamując i zatrzymując się tuż przy wjeździe na most. Myślał szybko. Byłoby rozsądnie naprawić uszkodzenie przed niebezpiecznym przejazdem ciężką cysterną. Ale to oznaczałoby kolejny dzień zwłoki. Nie jedli nic od poprzedniego ranka. Czy miał prawo

ryzykować przy równych szansach- pół na pół? Orzeł- przejedziesz, reszka- zwalisz się z mostu do rzeki.

Wówczas nieoczekiwanie ktoś inny podjął za niego decyzję. Umieszczony na drugim brzegu rzeki Bren odezwał się ogniem. Bruce wskoczył na siedzenie i spojrzał, co się dzieje. Sześciu innych ludzi zaczęło również strzelać. Obok cysterny przeleciał pocisk smugowy. Strzelali w jego kierunku, tuż przy pojeździe. Bruce starał się znaleźć w swoim ogłupiałym mózgu jakieś wyjaśnienie, ale wszystko zaczęło dziać się tak szybko. Wokół niego panował chaos i zamieszanie.

Nagle zauważył jakiś ruch w lusterku wstecznym. Przez chwilę wpatrywał się w nie tępo, potem odwrócił się szybko i wyrzwał przez okno.

- Chryste!- jęknął ze zgrozą.

Z dżungli wysypali się na polanę Balubasi. Biegli w jego kierunku. Spódniczki ze skór zwierzęcych wirowały wokół ich nóg, we włosach powiewały barwne pióra, a długie ostrza maczet lśniły w słońcu. Jakaś strzała zadzwoniła głucho o cysternę.

Bruce przyśpieszył obroty silnika, chwycił mocno kierownicę i wjechał na most. Ponad huk broni wybijało się przeraźliwe zawodzenie, podekscytowany krzyk dwustu Balubasów. Rozbrzmiewał bardzo blisko i Bruce szybko spojrzał w lusterko. To co zobaczył, sprawiło, że omal nie stracił głowy i nie wdusił maksymalnie pedału gazu. Najbliższy Baluba kryjący się za cysterną znajdował się od niej tylko o dziesięć kroków. Tak blisko, że Bruce widział tatuaż na jego twarzy i piersi. Z wysiłkiem powstrzymał się od zbyt szybkiej jazdy i wjechał na najbardziej newralgiczną część mostu z umiarkowaną prędkością dwudziestu mil na godzinę. Próbował nie myśleć o pisku, jaki rozległ się za nim i ryku karabinów przed nim.

Przednie koła uderzyły w nowe belki i mimo panującego zgiełku Bruce usłyszał głośnie skrzypnięcie, czując równocześnie, jak drewno się ugina. Cysterna toczyła się naprzód i najechała na naprawioną część mostu tylnymi kołami, na których spoczywał cały ciężar. Skrzypnięcia drewna przeszły w trzaskający, rozdzierający dźwięk. Most zapadał się. Pojazd zwolnił, koła zaczęły się kręcić w powietrzu, nie znajdując oparcia. Cysterna przechyliła się na bok; nie posuwała się już naprzód.

Bruce usłyszał głośny trzask, kiedy jedna z kratownic pękła. Poczul, jak tył cysterny zaczyna ciążyć ku rzece. Maskę samochodu uniosła się w powietrze i pojazd zaczął się ześlizgiwać w dół.

„Wyskakuj!- ryczał głos w umyśle Bruce'a.- Wyskakuj! Ona spada!” Sięgnął do klamki, ale w tym momencie most załamał się zupełnie, a cysterna spadła do rzeki.

Bruce'em rzuciło z taką siłą, że był przez chwilę oszołomiony. Jego nogi zaklinowały się pod siedzeniem. Cysterna spadała i Bruce czuł, jak żołądek podchodzi mu do góry, napierając na płuca, jak gdyby jechał na gigantycznej karuzeli w wesołym miasteczku. Przyprawiający o mdłości upadek trwał tylko chwilę- potem cysterna uderzyła w wodę. Odgłosy strzelaniny i krzyki wojowników z plemienia Baluba ucichły natychmiast, kiedy pojazd zniknął pod powierzchnią rzeki. Przez przednią szybę Bruce ujrzał chłodną zieleń wody, jakby zaglądał do akwarium. Cysterna tonęła, łagodnie się kołysząc.

- O Boże, tylko nie to!- powiedział głośno, usiłując się podnieść.

Wokół rozlegał się syk uciekającego powietrza, które w chmurach bąbelków unosiło się ku powierzchni. Pojazd wciąż tonął i Bruce czuł w uszach ból spowodowany wzrastającym ciśnieniem. Otworzył oczy i nerwowo przełknął ślinę. Przez podłogę kabiny i tablicę rozdzielczą dostawały się do środka strumienie wody. Kabina wypełniała się coraz bardziej.

Bruce przekręcił klamkę i pchnął drzwi ramieniem. Nie ustąpiły ani o milimetr. Natarł całym ciałem, opierając się stopami o tablicę rozdzielczą i pchając, aż poczuł, że oczy wychodzą mu z orbit. Drzwi były zablokowane ciśnieniem wody na zewnątrz.

- Szyba przednia- krzyknął na głos.- Zbij szybę!- dodał i zaczął szukać po omacku karabinu.

Woda w kabinie sięgała mu już do pasa. Znalazł karabin i przyłożył broń do ramienia. Przytknął lufę do szyby i już chciał pociągnąć za spust. Ale zdrowy rozsądek ostrzegł go w porę: wystrzał w zamkniętej kabinie groził utratą słuchu, a rozbite szkło mogłoby pokaleczyć mu twarz wtłoczone ciśnieniem wody.

Przygnębiony, opuścił karabin. Czuł, jak panika powoli ustępuje chłodnej pewności porażki. Był w pułapce piętnaście metrów pod powierzchnią rzeki. Nie było wyjścia. Pomyślał o samobójstwie, skoro i tak miał umrzeć, ale odrzucił ten pomysł natychmiast. Nie w ten sposób, nigdy nie w ten sposób! Pobudzał umysł, starając się wyrwać go z letargicznego uchwytu pewnej śmierci: „Musi być jakieś wyjście. Pomyśl! Do cholery, rusz głową!”

Cysterna wciąż się kołysała. Nie opadła jeszcze na dno. Jak długo to już trwa? Jakież dwadzieścia sekund. Przecież dawno już powinna być na dnie.

Chyba, że... Bruce czuł, jak nadzieja dodaje mu nowych sił. Cysterna! Na Boga, to musi

być to! Wielki, niemal pusty zbiornik za kabiną! Zbiornik o pojemności pięciu tysięcy galonów, w którym znajdowało się tylko czterysta galonów benzyny- jego wyporność musi wynosić prawie osiemnaście ton! Powinien pływać. Jakby na potwierdzenie tej nadziei poczuł, jak ciśnienie opada! Kabina podnosiła się.

Bruce wpatrywał się przez szybę w zieloną wodę. Srebrne chmury bąbelków już nie wędrowały ku górze. Wydawało się, że unoszą się obok kabiny. Początkowy impet, z jakim pojazd zanurzył się tak głęboko, minął i teraz wóz wypływał na powierzchnię w takim samym tempie jak bąbelki powietrza. Ciemnozielona woda stawała się coraz jaśniejsza i nagle Bruce roześmiał się. Był to histeryczny, pozbawiający tchu śmiech, który zaszokował jego samego. Natychmiast się opanował.

Cysterna wynurzyła się na powierzchnię. Woda spływała po przedniej szybie, przez którą Bruce zobaczył zamglony i zniekształcony obraz. Nacisnął klamkę; tym razem drzwi otworzyły się natychmiast. Do kabiny wlała się strumieniem woda, utrudniając mu wyjście na zewnątrz.

Rozejrzał się szybko i ocenił sytuację. Cysterna unosiła się na wodzie sześć metrów pod mostem, karabiny na południowym brzegu umilkły, a na północnym nie było widać śladu Balubasów. „Musieli się schować z powrotem w dżungli”- pomyślał. Wskoczył do rzeki i zaczął płynąć ku południowemu brzegowi. Z trudem wychwytywał wysokie głosy dopingujących go żandarmów. Kiedy przepłynął kilka metrów zorientował się, że jest w kłopotach. Ciężenie butów i przemoczonego munduru było ogromne. Zatrzymał się i unosząc się w pozycji pionowej, zerwał z głowy hełm, pozwalając mu zatonać. Następnie spróbował zrzucić panterkę.

Przywarła do ramion i klatki piersiowej tak, że zanim się jej pozbył, cztery razy zniknął pod powierzchnią. Krztusząc się wodą, czuł, jak bardzo zmęczone i ciężkie są jego nogi.

Południowy brzeg był za daleko. Nigdy tam nie dopłynie. Kaszląc, zmienił cel i popłynął pod prąd w kierunku mostu. Czuł, jak z każdym uderzeniem ramion idzie coraz bardziej pod wodę. Nadludzkim wysiłkiem zmuszał ręce, aby unosiły się i opadały.

Coś plusnęło w wodzie tuż obok niego. Nie zwrócił na to uwagi- nagle stał się obojętny; pierwsze stadium tonięcia. Źle wziął oddech i napił się jeszcze więcej wody, co sprawiło, że znów zaczął się krztusić. Położył się na wodzie, ciężko oddychając i kaszląc boleśnie. Znów coś plusnęło- tym razem Bruce uniósł głowę. Zobaczył przepływającą obok strzałę. W tym momencie zaczęło ich spadać coraz więcej. Balubasi ukryci w nadbrzeżnym buszu nad plażą strzelali do niego. Wokół jego głowy spadał do wody deszcz strzał. Bruce znów zaczął płynąć,

szaleńczo walcząc z prądem. Płynął tak długo, aż nie był już w stanie unieść ramion nad powierzchnię, a ciężkie buty uniemożliwiały pracę nóg, ściągając je w dół. Jeszcze raz uniósł głowę. Most był blisko- brakowało mu jeszcze jakieś dziesięć metrów- ale było mu obojętne czy to dziesięć metrów, czy dziesięć kilometrów. I tak nie był w stanie ich pokonać.

Strzały, które rozpryskiwały wodę wokół niego, przestały go już przerażać. Trochę go tylko drażniły. „Dlaczego, u diabła, nie mogą zostawić mnie w spokoju? Ja już wypadłem z tej gry, nie chcę jej. Chcę tylko się rozluźnić, jestem tak zmęczony, tak strasznie zmęczony...” Przestał się ruszać i poczuł, jak zimna woda zakrywa mu usta i nos.

- Trzymaj się, szefie. Już skaczę!

Krzyk przeniknął przez mgłę otaczającą mózg tonącego Bruce'a. Kapitan poruszył gwałtownie nogami i jego głowa znów pojawiła się na powierzchni. Spojrzał na most. Zobaczył nagie ciało: wielki, podskakujący z każdym krokiem brzuch i olbrzymie, kołyszające się wesoło genitalia należące do pędzącego niczym atakujący hipopotam sierżanta Ruffararo.

Ruffy dobiegi do miejsca, w którym most się zawalił, i zaczął schodzić w dół po barierce. Wokół niego fruwały strzały, sycząc niby wściekle owady. Jedna odbiła się nawet od jego pleców, na szczęście nie raniąc go. Ruffy wzdrygnął się i odbił się od barierki. Rozstawiając szeroko nogi i ręce, trzasnął w wodę z głośnym pluśnięciem.

- Gdzie, u diabła, pan jest, szefie?

Bruce wyjęczał coś niewyraźnie i Ruffy prując ramionami wodę, podpłynął do niego niezgrabnym stylem.

- Znów się pan zabawia niebezpiecznie- wydyszał.- I pomyśleć, że są faceci, którzy nigdy się niczego nie nauczyli!- dodał, chwytając go za włosy.

Szamocząc się Bruce poczuł, jak Ruffy chwycił go mocno za szyję, pokonując opór wody. Od czasu do czasu jego twarz wysuwała się na powierzchnię, umożliwiając zaczerpnięcie oddechu, ale przez większość czasu trzymał głowę pod wodą. Powoli tracił przytomność, odpływając w nicość. Uderzył głową o coś twardego, ale był zbyt słaby, aby sprawdzić, co to jest.

- Niech się pan obudzi, szefie. Będzie się pan mógł przespać później- zagrzmiął głos Ruffy'ego.

Otworzył oczy i zobaczył filar mostu.

- No, dalej. Nie zaniosę przecież pana na górę.

Ruffy opłynął filar, ciągnąc Bruce'a za sobą, aby ukryć się przed strzałami. W tym miejscu był jednak szybki prąd, który spychał ich w dół rzeki. Nie miał siły, aby mu się przeciwstawić i znów zanurzył się pod wodą.

- Hej, szefie, niech się pan wreszcie obudzi- powiedział Ruffy, uderzając mocno Bruce'a otwartą ręką w twarz.

Policzek pobudził go: zakrztusił się i zwymiotował ustami i nosem mieszanką wody z zawartością żołądka. Potem czknał i jeszcze raz zwymiotował.

- Jak pan się teraz czuje?- zapytał sierżant. Bruce z trudem uniósł rękę i wytarł usta. Czuł się znacznie lepiej.- Już dobrze? Da pan radę?- Bruce kiwnął głową.- No to idziemy.

Ledwo żywy, wspinał się po filarach wspomagany przez Ruffy'ego, który to popychał go, to znów ciągnął w górę. Woda ściekała z jego munduru, włosy przykleiły się do czoła, a za każdym razem, gdy brał oddech, czuł bulgotanie w płucach.

- Niech pan posłucha, szefie. Kiedy dojdziemy na górę, znajdziemy się na otwartym terenie, co oznacza, że będzie więcej strzał. Nie mamy zatem czasu, aby usiąść sobie i pogawędzić. A więc przechodzimy przez barierę i dajemy gazu, zgoda?- usłyszał głos sierżanta.

Ponownie kiwnął głową. Widział nad sobą poszycie mostu. Jedną ręką chwycił słupek podtrzymujący barierkę i zawisł, nie mając siły się podciągnąć.

- Niech się pan trzyma- mruknął Ruffy, przenosząc swoje błyszczące ciało na most.

Znów pojawiły się strzały. Jedna z nich utkwiała w moście kilka centymetrów od twarzy Bruce'a. Powoli jego chwyt rozluźnił się. „Nie dam rady- pomyślał- spadam”. W tym momencie dłoń Ruffy'ego zacisnęła się na jego nadgarstku. Czuł, jak unosi się w górę, dyndając nogami. Wisiał na jednej ręce, patrząc, jak pod nim woda pieni się w wirach.

Powoli Ruffy wciągnął go na górę. Koszula zahaczyła o barierę i rozdarła się. Chwilę później Bruce zwałił się na most. Jak przez mgłę słyszał ogień karabinowy, lot strzał i głos Ruffy'ego:

- No dalej, szefie. Niech pan wstanie!

Czuł, jak Murzyn podnosi go i ciągnie za sobą. Nogi miał jak z waty- szedł obok Ruffy'ego, potykając się. Nagle strzały przestały przesywać powietrze, a poszycie mostu stało się solidne i mocne. Usłyszał głosy i poczuł na sobie wiele rąk. Uniesiono go, a potem położono na plecach na drewnianej platformie ciężarówki. Czuł rytmiczny nacisk na pierś, gdy rozpoczęto sztuczne oddychanie, i ciepły strumień wody wypływający z gardła. Usłyszał głos Shermaine.

Nie rozumiał, co mówiła, ale wystarczył mu dźwięk tego głosu, aby zdał sobie sprawę, że jest bezpieczny. Niejasno rozumiał, że jej głos był dla niego najważniejszym dźwiękiem w życiu. Ponownie zwymiotował.

Z początku jakby z wahaniem, a później bardzo szybko, Bruce powrócił do rzeczywistości.

- Wystarczy- mruknął niewyraźnie i wysunął się spod sierżanta Jacque'a, który udzielał mu pierwszej pomocy.

Gwałtowny ruch wywołał kolejny napad kaszlu; w tym momencie poczuł uspokajający dotyk rąk Shermaine na swoich ramionach.

- Bruce, musisz odpocząć.

- Nie- powiedział siadając.- Musimy się stąd wydostać na sawannę.

- Nie ma pośpiechu, szefie. Zostawiliśmy Balubasów na drugim brzegu. Dzieli nas rzeka.

- Jesteś pewien?- zapytał prowokująco Bruce.

- Cóż...

- Nie jesteś- powiedział mu Bruce zdecydowanie.- Za chwilę możemy być otoczeni przez kolejnych kilkuset Balubasów- przerwał znowu, zanosząc się kaszlem, po czym ciągnął dalej:

- Ruszamy za pięć minut, niech ludzie się przygotowują.

- Okay- rzucił Ruffy, wychodząc z ciężarówki.

- Ruffy!

- Tak, szefie?- Odwrócił się wyczekująco.

- Dziękuję.

Murzyn uśmiechnął się zażenowany.

- Wszystko w porządku, szefie. I tak miałem się wykapać.

- Kiedy wrócimy, postawię ci drinka.

- Będę pamiętał, szefie- ostrzegł go Ruffy i zszedł z platformy ciężarówki.

Bruce słyszał, jak pokrzykuje na żandarmów.

- Myślałam, że cię straciłam- powiedziała Shermaine, wciąż obejmując Bruce'a.

Spojrzał na nią po raz pierwszy.

- Moje kochanie, nie pozbędziesz się mnie tak łatwo- zapewnił ją. Czuł się już znacznie lepiej.

- Bruce... chcę... nie potrafię tego wyjaśnić...



Nie potrafiła znaleźć słów, więc pochyliła się i pocałowała go gorąco.

Sierżant Jacques i dwóch żandarmów, którzy znajdowali się na ciężarówkach, uśmiechali się z zadowoleniem. Kiedy skończyli się całować, Jacques powiedział:

- Nic już panu nie jest, kapitanie.

- Nie, wróciłem w pełni do siebie- przytaknął Bruce.- Zaczniemy przygotowywać się do drogi.

Siedząc obok Shermaine w Fordzie, Bruce spojrzął ostatni raz na most. Ta część, którą naprawili, zwisała jak popsuty most zwodzony, zanurzając się w wodzie. Na drugim brzegu leżało kilka ciał martwych Balubasów błyszczących w słońcu jak plastikowe lalki. Przy plaży, w pewnej odległości od mostu, leżała na boku rzucona tam przez prąd cysterna. Była w połowie zanurzona, wystawiając na widok znak firmy Shell. A rzeka płynęła dalej, tocząc zielone, tajemnicze wody poprzez napierającą po obu stronach dżunglę.

- Jedźmy już- powiedział Bruce.

Shermaine zapaliła silnik i kolumna ciężarówek ruszyła za nimi drogą wiodącą przez gęsty pas nadrzecznych buszu w kierunku sawanny.

Bruce spojrzął na zegarek. Szkiełko było zaparowane, więc przyłożył zegarek do ucha.

- Cholera, stanął! Którą masz godzinę?

- Za dwadzieścia pierwsza.

- Pół dnia zmarnowane- mruknął z niezadowolaniem.

- Dojedziemy do węzła Msapa przed nocą?

- Nie, nie dojedziemy. I to z dwóch powodów. Po pierwsze jest za daleko, a po drugie nie starczy nam paliwa.

- Co zamierzasz zrobić?- zapytała spokojnym głosem, wyrażającym niezachwianą wiarę w Bruce'a.

„Ciekawe, jak długo to potrwa- zastanawiał się chłodno.- Na początku jesteś jak bóg: bez skazy, bez słabości. Tworzą twój obraz, obraz doskonałości. Kiedy pierwszy raz zdarzy ci się, że nie przystajesz do tego obrazu, cały ich świat się załamuje”.

- Wymyślimy coś- zapewnił ją.

- Jestem tego pewna- przytaknęła z przekonaniem, wywołując uśmiech na jego twarzy.

Cały dowcip polegał na tym, że kiedy to powiedziała, Bruce sam uwierzył w to, co mówił. „Co ta cholerna miłość robi z tobą- pomyślał.- Czujesz się jak jakiś superman”. Przeszedł

na angielski, nie chcąc, aby siedzący za nimi żandarmi słyszeli rozmowę.

- To, że cię spotkałem, to najlepsza rzecz, jaka mi się przydarzyła w ciągu trzydziestu lat.

- Och, Bruce...

Shermaine odwróciła ku niemu twarz z wyrazem bezgranicznej miłości, co w połączeniu z intensywnością własnego uczucia, uderzyło Bruce'a, jak gdyby ktoś zadał mu potężny cios. „Będę dbał o tę miłość- poprzysiągł sobie w duchu.- Muszę troszczyć się o nią i chronić ją przed niebezpieczeństwem egoizmu i rutyny”.

- Och, Bruce, tak bardzo cię kocham. Dziś, kiedy... kiedy myślałam, że cię już straciłam, kiedy zobaczyłam, jak cysterna spada do rzeki...- Przełknęła ślinę. Jej oczy były pełne łez.- To było tak, jak gdyby nagle zapadła ciemność, chłodna ciemność. Bez ciebie.

Pochłonięta rozmową i Bruce'em, Shermaine zupełnie zapomniała, że są na drodze i pozwoliła, aby Ford zjechał na bok, uderzając w krawędź drogi.

- Uważaj!- ostrzegł ją.- Ja również bardzo cię kocham, ale muszę powiedzieć, że jesteś fatalnym kierowcą. Daj, ja poprowadzę.

- Dasz sobie radę?

- Tak, zjedź na pobocze.

Jechali powoli, dostosowując prędkość do posuwających się za nimi pojazdów. Dwukrotnie mijali opuszczone wioski Balubasów, chaty z trawy rozpadały się, a uprawne polećka zarosły chwastami.

- Mój Boże, ależ jestem głodny. Oprócz tego boli mnie głowa, a brzuch mam chyba pełen wody- jęknął Bruce.

- Nie myśl, że tylko ty jeden. To jest chyba najbardziej surowa dieta, na jakiej byłam w swoim życiu; musiałam schudnąć o co najmniej dwa kilo! Tylko, że ja zawsze chudnę nie w tych miejscach, co trzeba, nigdy nie w biodrach.

- To dobrze- powiedział Bruce.- Podobają mi się takie, jakie są. Nie waz się chudnąć w biodrach- dodał z uśmiechem i spojrzał przez ramię na siedzących z tyłu dwóch żandarmów.

- Jesteście głodni?- zapytał po francusku.

- Mon Dieu!- wykrzyknął grubszy z nich.- Nie zasnę dzisiaj, jeśli będę musiał leżeć na pustym żołądku.

- Może to nie będzie konieczne- rzekł Bruce, rozglądając się po buszu. Krajobraz zmienił się po przejechaniu ostatnich stu mil.- Wygląda na okolicę obfitującą w zwierzynę. Zauważyłem

sporo śladów. Miejcie oczy szeroko otwarte.

Wysokie drzewa były rzadko rozrzucone, górując nad rosnącą na ziemi trawą. Ich gałęzie nie były poplątane, co sprawiło, że prześwitywało przez nie niebo. Od czasu do czasu pojawiały się polany pokryte zieloną, bagnistą trawą, zagajnikami bambusowymi i palmami.

- Słońce zajdzie za jakieś pół godziny. Może do tego czasu natrafimy na coś.

Przez chwilę obserwował w lusterku wstecznym wlokącą się kolumnę pojazdów. „Benzyna musi im się już kończyć- pomyślał.- Z ledwością starczy na pół godziny jazdy”. Ale były też i dobre strony ich sytuacji- nareszcie byli na otwartym terenie, w odległości zaledwie osiemdziesięciu mil od węzła Msapa.

Spojrzał na wskaźnik benzyny- zostało pół baku. W Fordzie było dość paliwa, aby dojechać do węzła, nawet gdyby ciężarówki stanęły.

Oczywiście! To było rozwiązanie: znaleźć dobre miejsce na obóz, zostawić tam kolumnę i pojechać po pomoc. Bez opóźniających jazdę ciężarówek mógł dotrzeć do Msapa w ciągu dwóch godzin. Na stacji był telegraf; nieważne, że była ona nadal opuszczona.

- Zatrzymamy się na drugim brzegu tego strumienia- powiedział Bruce, zwolnił i wrzucił drugi bieg, pozwalając, aby samochód łagodnie zjechał ze stromego brzegu.

Strumień był płytki. Woda nie sięgała nawet do połowy koła, kiedy jechali, kołysząc się, po skalistym dnie. Na drugim brzegu Bruce przyśpieszył, wjeżdżając znów w las.

- Tam!- krzyknął jeden z żandarmów, wyciągając rękę. Bruce spojrzał we wskazanym kierunku. Obok drogi stały dwa stare byki bawołu o potężnych garbach, z nisko pochylonymi głowami, na których znajdowały się połączone rogi. Bruce nacisnął mocno hamulec i, wpadając w poślizg, zatrzymał Forda, sięgając w tym samym momencie po karabin. Przekręcił klamkę, pchnął drzwi ramieniem i wyskoczył z samochodu.

Bawoły prychnęły i ruszyły, zarzuciwszy niezgrabnie głowami. Bruce wybrał pierwszego i wycelował w miejsce między łopatkami. Pochylając się do przodu, aby zrównoważyć odrzut broni, strzelił. Byk zwolnił. Jego krótkie, grube nogi przednie ugięły się i zwierzę upadło na nos, przewracając się na bok i wzniecając tumany kurzu. Obracając się powoli, z bronią gotową do strzału, śledził wzrokiem drugie zwierzę. Wystrzelił ponownie. Byk potknął się i zachwiał, zdołał jednak utrzymać równowagę i zaczął galopować dalej. Biegł ciężko; jego wielkie ciało, z siwą sierścią na bokach, poruszało się niezdarnie.

Bruce uniósł szczerbinę na wysokość oka i dwa razy pod rząd wystrzelił, celując w serce

i trafiając za każdym razem. Zwierzę było tak blisko, że widać było krwawiące rany po kulach. Galop zmienił się w kłus, głowa opadła nisko. Byk zaryczał, wydając z siebie smutny dźwięk i przewrócił się na trawę.

Mężczyźni wysypali się z ciężarówek, które stanęły w jednej linii za Fordem. Przekrzykując się i śmiejąc radośnie, cywile oraz żandarmi przebiegli obok Bruce'a w kierunku leżących bawołów.

- Niezły strzał, szefie- z uznaniem powiedział Ruffy.- Zamierzam zjeść porcję flaków wielką jak kopiec termitów.

- Najpierw jednak rozbijemy obóz- powiedział Bruce, wciąż mając w uszach odgłos wystrzałów.- Ustawcie ciężarówki w okręgu.

- Zajmę się tym.

Bruce podszedł do najbliższego bawołu i przez chwilę przypatrywał się, jak dwunastu mężczyzn z trudem przetoczyło zwierzę na grzbiet i zaczęło je obdzierać ze skóry. W fałdach między nogami a tułowiem byka tkwiły ciemnoniebieskie kleszcze. „Niezła głowa- zauważył Curry mechanicznie- co najmniej metr”.

- Mnóstwo mięsa, kapitanie. Wieczorem będziemy mieli pełne brzuchy- uśmiechnął się jeden z żandarmów i pochylił się nad ogromnym cielskiem, aby rozpocząć ćwiartowanie.

- Mnóstwo- zgodził się Bruce i powrócił do Forda.

Gorączka polowania i podniecenie sprawiło Bruce'owi przyjemność. Ale gdy było już po wszystkim, poczuł się brudny, smutny i winny tak jak po pójściu do łóżka z kobietą, której się nie kocha.

Wszedł do samochodu. Shermaine, zgaszona, ustąpiła mu miejsca.

- Były tak wielkie i brzydkie, takie piękne- powiedziała cicho.

- Potrzebujemy tego mięsa. Nie zastrzeliłem ich dla zabawy- odparł. Ale zaraz pomyślał ze wstydem: „Zabiłem wiele innych dla zabawy”.

- Tak- zgodziła się.- Potrzebujemy tego mięsa. Zjechał z drogi, sygnalizując kierowcom ciężarówek, aby zatrzymali się za nim.

## Rozdział 27

Wieczorem wszyscy byli rozluźnieni i zadowoleni. Zapach mięsa pieczonego na dwunastu ogniskach rozchodził się po całym obozie. Ciemne sylwetki drzew rysowały się na rozgwieżdżonym niebie, a na ziemi migotały przyjaźnie ogniska. Ludzie rozmawiali podniesionymi głosami, ktoś nawet śpiewał. Z buszu dochodziły odgłosy nocy: owady brzęczały, a żaby ze strumienia oznajmiały swą obecność głośnym rechotaniem.

Bruce czuł się wspaniale: przed nim stał talerz z górą parujących kawałków wątroby i butelka piwa z zapasów Ruffy'ego. Powietrze było chłodniejsze; wiał lekki wiatr odpędzający moskity. U boku Bruce'a siedziała Shermaine.

Ruffy podszedł do nich, lawirując między ogniskami. W jednej ręce trzymał ociekający tłuszczem połów mięsa nabity na patyk, w drugiej butelkę piwa.

- Co by pan powiedział na jeszcze jedno piwo, szefie?

- Wystarczy już- odparł Bruce, podnosząc rękę.- Boję się, że więcej nie zmieszczę.

- Starzeje się pan, to widać. Chłopcy i ja albo zjemy wszystko, albo pękniemy.- Ruffy przykucnął na swoich potężnych nogach i zmienił temat.- Nie mamy już paliwa, szefie. Nie zostało nawet wiadro benzyny.

- Opróżnij wszystkie baki, Ruffy, i wlej tę resztę do Forda. Ruffy kiwnął głową i odgryzł kawałek mięsa.

- Pierwszą rzeczą, którą obaj zrobimy jutro rano, będzie przejażdżka Fordem do węzła Msapa. Reszta zostaje w obozie pod komendą porucznika Hendry'ego.

- O mnie mówisz?- odezwał się Hendry, podchodząc do nich.

- Tak, obejmiesz dowodzenie, podczas gdy Ruffy i ja pojedziemy do węzła Msapa sprowadzić pomoc.- Bruce nie patrzył na Hendry'ego, ale i tak trudno mu było ukryć odrazę w głosie.- Ruffy, przynieś mapę.

Rozłożyli ją na ziemi i przykucnęli wokoło. Ruffy poświecił latarką.

- Jesteśmy mniej więcej tutaj- powiedział Bruce, wskazując palcem na cienką, czarną linię drogi.- Do węzła jest jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt mil; wyprawa tam i z powrotem zabierze nam około pięciu godzin. Chyba że telegraf nie będzie działał, wówczas będziemy musieli jechać dalej, aż natkniemy się na patrol albo znajdziemy jakiś inny sposób, aby przesłać wiadomość do Elisabethville.

Niemal równolegle do drogi, zaledwie dwa cale od niej na mapie biegła gruba czerwona kreska oznaczająca północną granicę Rodezji. Zauważywszy ją, Wally zmrużył swoje małe oczka.

- Dlaczego nie zostawimy Ruffy'ego tutaj; zamiast niego ja mógłbym pojechać z tobą- powiedział, podnosząc głowę znad mapy.

- Chcę, żeby Ruffy pojechał ze mną, bo mogę potrzebować tłumacza, jeśli napotkamy po drodze jakieś plemiona- powiedział Bruce, dodając w duchu: „I nie chcę leżeć na poboczu drogi z kulą w głowie, podczas gdy ty pojedziesz do Elisabethville”.

- W porządku- mruknął Hendry.

Curry przeniósł wzrok na mapę. Jakies czterdzieści mil do granicy. Dzień szybkiego marszu. Bruce przeszedł na francuski i powiedział szybko:

- Ruffy, ukryj diamenty za deską rozdzielczą twojej ciężarówki. Dzięki temu na pewno przyślą ludzi na ratunek, nawet gdybyśmy musieli pojechać aż do Elisabethville.

- Mów po angielsku, koziółku- warknął Hendry, ale Ruffy zignorował go i kiwnąwszy głową, odparł również po francusku:

- Powiem sierżantowi Jacque, aby ich pilnował.

- Nie!- powiedział ostro Bruce.- Nie mów o nich nikomu.

- Skończcie z tym!- Głos Hendry'ego zazgrzytał nieprzyjemnie.- Chcę wiedzieć, o czym mówicie!

- Wyjeżdżamy jutro o świcie.- Bruce wrócił na angielski.

- Mogę pojechać z tobą?- Shermaine odezwała się po raz pierwszy od dłuższego czasu.

- Nie widzę powodu, żebyś miała nie jechać- powiedział Bruce, uśmiechając się do niej.

Jednakże Ruffy zakaszłał znacząco i powiedział:

- Wydaje mi się, że to nie jest zbyt dobry pomysł, szefie.

- Dlaczego?- spytał gniewnie Bruce.

- No, szefie...- Ruffy zawahał się przez chwilę, po czym kontynuował:- Wyjazd pana, pani i mój w kierunku Elisabethville będzie się wydawał chłopcom podejrzanym. Mogą sobie pomyśleć, że nie mamy zamiaru wrócić.

Bruce rozważał jego słowa.

- Ma rację- wtrącił Hendry.- Mogłoby wam przyjść do głowy, aby jechać dalej, do Elisabethville. Niech ona zostanie jako rodzaj gwarancji dla nas.

- Nie szkodzi, Bruce. Nie pomyślałam o tym. Zostanę.
- Czterdziestu chłopców będzie się panią opiekować, włos jej z głowy nie spadnie-  
zapewnił Ruffy.
- W porządku. Niech tak będzie. Wrócę szybko, Shermaine.
- Zajmę się benzyną, szefie- powiedział Ruffy, wstając.- Do zobaczenia rano.
- Chyba zjem jeszcze trochę mięsa.- Wally niedbale podniósł mapę.- Przyda ci się trochę  
snu, Curry. Nie stękaj za dużo.

Bruce był tak poirytowany, że nie zauważył, iż Hendry wziął mapę ze sobą.

## Rozdział 28

Przed świtem zaczął padać deszcz. Bruce leżący na tylnym siedzeniu Forda wsłuchiwał się w krople bębniące o metalowy dach samochodu. Był to przyjemny, usypiający dźwięk, który sprawił, iż Bruce czuł się wspaniale, trzymając w ramionach kobietę, którą kochał. Poczuł, jak ona się budzi, jak zmienia się rytm jej oddechu, a ciało porusza się sennie.

Na śniadanie były steki z bawołu, bez kawy. Zjedli je szybko i Bruce zawołał do Ruffy'ego:

- Gotowy?

- Jedziemy, szefie- powiedział Ruffy i razem z Bruce'em wsiadł do Forda.

Murzyn wypełnił swoim masywnym ciałem niemal całe siedzenie. Hełm zsunął na tył głowy. Karabin wystawił przez dziurę w przedniej szybie, a swoje wielkie stopy umieścił ostrożnie na skrzynce piwa stojącej na podłodze.

Bruce przekręcił kluczyk i włączył silnik. Rozgrzewał go na jałowym biegu, zwracając się do Hendry'ego, który zaglądał do środka przez okienko.

- Wrócimy po południu. Niech nikt nie opuszcza obozu.

- Okay- powiedział Hendry, chuchając na Bruce'a nieświeżym oddechem.

- Znajdź im coś do roboty, inaczej będą się nudzić i zaczną się bić między sobą.

Hendry przeszukał wzrokiem wnętrze samochodu. Potem zrobił krok do tyłu i powiedział:

- Okay. Ruszajcie!

Bruce obejrzał się i uśmiechnął do Shermaine siedzącej na platformie ciężarówki.

- Bon voyage!- zawołała i Bruce puścił sprzęgło. Kołysząc się wjechali na drogę pośród gromkich okrzyków pożegnania wznoszonych przez żandarmów siedzących przy ogniskach. W lusterku wstecznym Bruce zobaczył, jak obóz znika za zakrętem. Na drodze pojawiły się kałuże, ale niebo nad nimi zaczęło się wypogadzać.

- Piwko, szefie?

- Zamiast kawy?- zapytał Bruce.

- Nic tak dobrze nie wpływa na żołądek- stwierdził filozoficznie Ruffy, sięgając do skrzynki.

Wally Hendry uniósł hełm i podrapał się po głowie. Jego krótkie, rude włosy były



sztywne od potu. Ford zniknął za zakrętem, zasłonięty nagle drzewami. Ryk silnika cichł coraz bardziej. „Okay, więc nie zabrali ze sobą diamentów. Rozejrzałem się po samochodzie dokładnie. Cholera, wiedziałem, że ich nie wezmą. Nie wiadomo, czy dziewczyna orientuje się, gdzie one są. Może... nie, będzie kwiczeć jak przerażona świnia, jeśli zapytam”. Hendry spojrział w bok na Shermaine- wpatrywała się w miejsce, gdzie zniknął Ford. „Głupia dziwka!- myślał dalej.- Teraz, kiedy Curry ją posuwa, staje się taka rozmarzona. A swoją drogą to ciekawe, jak te wykształcone palanty lubują się w babkach o małych cyckach. Choć, trzeba przyznać, dupcię ma niezłą. Nie miałbym nic przeciwko temu, by samemu jej spróbować. Chryste, to by naprawdę dopiekło wielce cholernie szanownemu panu Curry, gdybym zabawił się z jego ślicznotką! Ale nie ma nadziei na to. Te czarnuchy traktują go jak boga albo kogoś w tym rodzaju. Zarąbaliby mnie, gdybym się do niej dobrał. Wybij to sobie z głowy! Zabierajmy diamenty i wynośmy się do Rodezji”.

Hendry opuścił helm na głowę i niedbałym krokiem podszedł do ciężarówki, którą poprzedniego dnia prowadził Ruffy. „Mamy mapę, kompas, trochę amunicji- teraz potrzebujemy tylko świecidełek”. Wszedł do kabiny i otworzył schowek. „Dwa funty do kawałka gówna, że schowali je gdzieś w ciężarówce! Nie przejmują się mną; myślą, że zostawili mnie uwięzowanego tutaj. Nie wpadło im do głowy, że staruszek Wally może się ulotnić. Myślą, że będę sobie siedział tutaj i czekał, aż wrócą, aby mnie zabrać do Elisabethville i przekazać bandzie czarnuchów w policyjnych mundurach, których łapy aż świerzbią, żeby załatwić białego. Cóż, to będzie niespodzianka dla słodko pierdzącego pana Curry!” Przeszukał schowek i zamknął go z hukiem. „Okay, tutaj ich nie ma. Zobaczymy pod siedzeniem. Granica nie jest strzeżona. Żeby się dostać do Fort Rosebery, mogę potrzebować trzech albo czterech dni, ale kiedy w końcu tam dotrę, będę miał kieszeń wypchaną diamentami, bezpośrednie połączenie lotnicze do Ndola i cały świat dla siebie. To dopiero będzie życie!”

Pod siedzeniem nie znalazł nic poza przybrudzonym smarami, zakurzonym podnośnikiem i kluczem. Zajął się więc badaniem podłogi. „Szkoda, że będę musiał opuścić tego drania Curry'ego. Miałem inne plany wobec niego. Ten gość naprawdę mnie wkurza! Jest tak cholernie pewny siebie. Jeden z tych, co przyprawiają człowieka o sraczkę: gładka mowa, ładna buzia i delikatne rączki. Chryste, jak ja go nienawidzę!” Złośliwie porzycinał gumowe wycieraczki pokrywające podłogę. Uniosły się tumany kurzu i Wally zaczął kaszleć. „Był na uniwerku i myśli, że jest kimś lepszym. Gnojek! Już dawno powinienem był go załatwić; wtedy, przy moście

prawie go miałem. Nikt by nie wiedział, było ciemno. Powinienem był to zrobić w Port Reprieve, kiedy biegł do biurowca. Wielki bohater, cholera! Wielki kochanek! Zawsze miał wszystko, co chciał; założę się, że jego stary dawał mu pieniądze na co tylko miał ochotę. A patrzy na ciebie tak, jakbyś był robakiem, który właśnie wypełznął z gnijącego mięsa”.

Hendry wyprostował się i chwycił kierownicę, zgrzytając zębami z nienawiści. Spojrzał przed siebie.

Obok ciężarówka przeszła Shermaine Cartier. Niosła ręcznik i różową plastikową kosmetyczkę. O jej udo obijał się pistolet.

Sierżant Jacques wstał od ogniska i zagroził jej drogę. Spierali się chwilę o coś. Nagle Shermaine dotknęła pistoletu i roześmiała się. Głęboka bruzda przecięła czoło zaniepokojonego Jacques'a, który z powątpiewaniem pokręcił głową. Shermaine roześmiała się jeszcze raz, odwróciła się i ruszyła drogą w kierunku strumienia. Włosy związane niedbale wstążką opadały jej na plecy. Obijająca się o udo ciężka broń podkreślała prowokujące kołysanie jej bioder. Zniknęła, schodząc ze stromego brzegu strumienia.

Wally Hendry zaśmiał się i oblizwał wargi.

- Doskonale się składa- szepnął.- Nawet gdyby trudzili się przez cały tydzień, nie udałoby im się tak zgrać wszystkiego na moją korzyść.

Ze zdwojoną energią zabrał się do szukania diamentów. Pochylił się i wsunął rękę za deskę rozdzielczą. Palcami wyczuł płócienne woreczki ukryte w plątaninie kabli.

- No, chodźcie do wujka Wally'ego- powiedział i szarpnął, wyciągając diamenty. Położył woreczki na kolanach i zaczął sprawdzać ich zawartość. Kiedy otworzył trzeci, zobaczył matowy blask diamentów jubilerskich.- Piękny łup- szepnął.

Zasznurował woreczek i włożył go do kieszeni panterki. Rzucił diamenty przemysłowe na podłogę i kopnął je pod siedzenie, po czym chwycił karabin i wyszedł z kabiny.

Trzech czy czterech żandarmów spojrzało na niego z zaciekawieniem, kiedy przechodził obok ogniska. Hendry chwycił się za brzuch i zrobił minę, jakby miał za chwilę zwymiotować.

- Za dużo mięsa zjadłem wczoraj- powiedział. Żandarm, który znał angielski, roześmiał się i przetłumaczył słowa Hendry'ego na francuski. Pozostali również się roześmiali, a jeden z nich zawołał coś w narzeczu, którego Wally nie rozumiał. Patrzyli za nim, jak wchodzi między drzewa.

Jak tylko stracił obóz z oczu, Hendry zaczął biec, zataczając koło w kierunku strumienia.

- To dopiero będzie frajda!- krzyknął i roześmiał się na głos.

## Rozdział 29

Około pięćdziesięciu metrów od miejsca, w którym droga przecinała strumień, Shermaine znalazła płytkie rozlewisko. Otaczały je trzciny; była tam też mała plaża z białym piaskiem, czarne gładkie kamienie wystawały nad powierzchnię cieplej i tak czystej wody, że dziewczyna widziała ławicę młodych łososi skubiących algi porastające dno.

Stała bosą na piasku i rozejrzała się uważnie dokoła, ale trzciny dobrze ją zasłaniały, a ponadto poprosiła Jacques'a, aby nie pozwolił swoim ludziom schodzić w dół strumienia podczas jej nieobecności. Rozebrała się, położyła ubranie na jednym z kamieni i z kawałkiem mydła w ręce weszła do wody. Usiadła, wystawiając tylko głowę nad powierzchnię i rozkoszując się przyjemną chropowatością piasku na nagich pośladkach.

Umyła najpierw włosy i położyła się, pozwalając, aby woda obmywała jej ciało, pieszcząc je delikatnie. Małe rybki podpłynęły do niej, coraz śmielej sobie poczynając, ocierając się o skórę i łaskocząc, tak że parsknęła śmiechem i uderzyła dłonią w wodę, aby je rozpędzić.

W końcu zanurzyła głowę i wstała. Szła powoli w stronę brzegu, oślepiąca spływającą z włosów wodą. Pochyliła się, szukając ręcznika, gdy nagle czyjaś ręka przycisnęła go do jej ust.

To był Hendry. Drugą ręką objął ją mocno w pasie.

- Jeśli choć piśniesz, to skręcę ci tę twoją cholerną szyję- powiedział szorstkim głosem prosto w jej ucho. Dziewczyna czuła na twarzy jego ciepły, kwaśny oddech.- Po prostu wyobraź sobie, że jestem Bruce'em i wtedy oboje będziemy mieli frajdę- dodał i roześmiał się nieprzyjemnie.

Przesunął szybko rękę w dół, dotykając jej bioder. Strach zelektryzował ją i pobudził do szaleńczych prób uwolnienia się. Trzymając ją mocno, Hendry wciąż się śmiał. Nagle dziewczyna otworzyła usta i palec Hendry'ego znalazł się między jej zębami. Zacisnęła szczęki jak tylko mogła najsilniej, czując w ustach smak krwi.

- Ty suko!- krzyknął Hendry, wrywając rękę. Dziewczyna już chciała krzyknąć, kiedy Hendry uderzył ją pięścią w twarz. Żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Bił ją tak długo, aż upadła. Oszołomiona ciosami leżała na piasku, nie mogąc uwierzyć w to, co się działo. Uwierzyła dopiero, kiedy poczuła ciężar Wally'ego na sobie i jego kolano brutalnie rozpychające jej uda.

Znów zaczęła się szamotać, próbując odwrócić głowę od jego ust i nieświeżego oddechu.

- Nie, nie, nie- powtarzała, wykręcając głowę z oczyma mocno zamkniętymi, aby nie oglądać ohydnej twarzy ponad sobą. Był taki silny, tak strasznie silny.- Nie- powiedziała raz jeszcze i krzyknęła z bólu, czując w środku rozdzierający ból, a na sobie unoszący się i opadający ciężar ciała mężczyzny.

Poprzez ten koszmar składający się z sapania, szarpania i popychania, czuła jego zapach i krople potu rozpryskujące się na niej. Wydawało się, że upłynęły wieki, kiedy nagle przytłaczający ciężar znikł i dziewczyna otworzyła oczy.

Stał nad nią i poprawiał ubranie. Jego twarz wyrażała znudzenie. Wytarł usta wierzchem dłoni- Shermaine zauważyła, że trzęsą mu się palce. W końcu przemówił zmęczonym, obojętnym głosem:

- Miałem już lepsze od ciebie.

Dziewczyna przewróciła się szybko na bok i sięgnęła po pistolet, który leżał na jej rzeczach. Hendry zareagował, stawiając stopę na jej nadgarstku i przenosząc na nią cały ciężar ciała. Shermaine poczuła straszny ból i jęknęła. Ale mimo bólu zdołała jeszcze wyszeptać:

- Ty świnió, ty plugawa świnió!

W tym momencie Hendry uderzył ją otwartą dłonią w twarz tak mocno, że opadła znów na plecy. Podniósł pistolet i wyciągnął naboje, rozrzucając je po piasku. Potem odpiął linę od kabury i wyrzucił broń w trzciny.

- Powiedz Curry'emu, że odstępuję mu ciebie- rzeki i zniknął w trzcinach.

Biały piasek oblepiał jej ciało jak cukier. Powoli usiadła, trzymając się za nadgarstek z twarzą zaczerwienioną w miejscu, gdzie ją uderzył. Wybuchnęła płaczem, drżąc na całym ciele.

## Rozdział 30

Ruffy podniósł brązową butelkę i popatrzył na nią smutno.

- Zdaje się, że został jeszcze tylko łyk- powiedział i wyrzucił butelkę przez okno.

Uderzyła w drzewo i roztrzaskała się.

- Zawsze możemy trafić z powrotem do obozu, jadąc śladem pustych butelek.

Bruce uśmiechnął się, po raz kolejny dziwiąc się, ile piwa może Ruffy w siebie wlać. Ale miało się też gdzie zmieścić. Widział wielki brzuch sierżanta, gdy ten pochylił się nad skrzynką.

- Daleko jeszcze, szefie?

Bruce spojrzał na deskę rozdzielczą.

- Przejechaliśmy osiemdziesiąt siedem mil- odparł i Ruffy kiwnął głową.

- Nieźle. Niedługo będziemy na miejscu.

Rozmowa urwała się. Wiatr owiewał ich, wpadając przez roztrzaskaną przednią szybę. Trawa rosnąca między koleinami z szelestem ocierała się o podwozie.

- Szefie...- odezwał się Ruffy po chwili.

- Tak?

- Chodzi mi o porucznika Hendry'ego i te diamenty. Myśli pan, że dobrze zrobiliśmy, zostawiając je w obozie?

- Nie orientuje się w terenie; jest zagubiony w środku buszu. Nawet gdyby je znalazł, nic mu z tego nie przyjdzie.

- Miejmy nadzieję, że ma pan rację- powiedział Ruffy, podnosząc butelkę do ust.- Wie pan, on jest takim facetem, którego nigdy nie można być pewnym.- Postukał się w głowę grubym, czarnym palcem.- Coś jest z nim nie tak, to jeden z najbardziej szalonych Arabów, jakiego znalazłem w ciągu długich poszukiwań.- Bruce mruknął potakująco.- Musi pan na niego uważać, szefie- stwierdził Ruffy.- W każdej chwili może pana zaatakować. Widziałem, jak to w nim wzbiera. Szykuje się do tego. To naprawdę szalony Arab!

- Będę uważał- powiedział Bruce.

- Tak, niech pan się pilnuje.

Znów zamilkli, wsłuchując się w jednostajny szum wiatru i ryk silnika.

- Są tory kolejowe, tam.- Ruffy pokazał ręką na obsypany żwirem nasyp kolejowy widniejący poprzez drzewa.

- Jesteśmy prawie na miejscu- powiedział Bruce. Wyjechali na polanę i zobaczyli górującą nad lasem wieżę wodną węzła.

- No to dojechaliśmy- powiedział Ruffy, opróżniając butelkę.

- Módl się, żeby telegraf działał, a w Elisabethville siedział telegrafista!

Bruce zwolnił, przejeżdżając obok rzędu chat. Wyglądały tak samo jak je zapamiętał: opuszczone i zaniedbane. Zacisnął mocno usta, kiedy spojrzął na dwa małe kopce ziemi usypane pod drzewami kasji. Ruffy również patrzył na nie. Żaden z nich się nie odezwał.

Bruce zatrzymał Forda przed stacją. Wysiedli, rozprostowując nogi i weszli na werandę. Drewniana podłoga dudniła głucho pod ciężkimi butami. Curry pchnął drzwi i zajrzał do środka. Ściany były pomalowane na przygnębiająco praktyczny zielony kolor, kartki papieru walały się po podłodze, szuflady jedyne biurka były otwarte. Wszystko pokrywała gruba, szara warstwa kurzu.

- Jest!- powiedział Ruffy, wskazując na telegraf z mosiądzu i lakierowanego drewna, który stał na stole pod przeciwległą ścianą.

- Wygląda na czynny- rzekł Bruce.- Mam nadzieję, że kabel nie jest przecięty.

Jak'gdyby dla rozwiania jego obaw, telegraf zaczął stukać.

- Dzięki ci Boże za to- westchnął z ulgą Bruce. Podeszli do stołu.

- Pan wie, jak to obsługiwać?- zapytał Ruffy.

- Mniej więcej- odparł Bruce, opierając karabin o ścianę. Odczuł ogromną ulgę, zobaczywszy alfabet Morse'a przyklejony do ściany taśmą klejącą. Minęło wiele czasu, od kiedy uczył się go na pamięć jako skaut. Położył dłoń na kluczu i przyjrzał się tabeli. Sygnał wywoławczy Elisabethville był „EE”. Wystukał go niezgrabnie i czekał. Niemal natychmiast telegraf zastukał, lecz za szybko, aby mógł zrozumieć. Rolka papieru była niemal na wyczerpaniu. Bruce zdjął hełm i powoli sylabizował: „Nadawaj wolniej”.

Długo trwało wystukiwanie próśb o powtórzenie. „Nie rozumiem” było nadawane po co drugim sygnale, ale w końcu Bruce'owi udało się przekazać, że ma pilną wiadomość dla pułkownika Franklina ze sztabu prezydenta Tshombe. „Czekaj”- nadeszła lakoniczna odpowiedź.

I czekali. Czekali godzinę, potem dwie.

- Ten stuknięty drań zapomniał chyba o nas- mruknął Ruffy i poszedł do samochodu przynieść skrzynkę z piwem.

Bruce wiercił się niespokojnie na drewnianym krześle obok stołu, na którym stał telegraf.

Nerwowo rozważył jeszcze raz wszystkie za i przeciw dotyczące oddania dowództwa nad obozem w ręce Hendry'ego, ale w końcu zdecydował po raz wtóry, że było to rozwiązanie bezpieczne. Nie mógł zrobić wiele złego. Chyba że... chyba że Shermaine! Nie, to było niemożliwe! Nie, w obozie było przecież czterdziestu lojalnych żandarmów, aby jej bronić. Zaczął myśleć o Shermaine i o przyszłości. Na koncie Credit Banque Suisse w Zurychu leżała roczna pensja kapitana najemników. Przeliczył franki na funty: około dwóch i pół tysiąca. Dwuletni kapitał operacyjny- wystarczy na wakacje, zanim podejmie pracę. Mogliby wynająć domek w górach, o tej porze roku powinno być dużo śniegu... Bruce uśmiechnął się. Śnieg, który chrząścił jak cukier i gruba na dwanaście cali puchowa kołdra na łóżku. Życie znów miało sens i cel.

- Z czego się pan śmieje, szefie?- zapytał Ruffy.

- Myślałem o łóżku.

- Tak? To przyjemna rzecz do rozmyślań. Tam się zaczyna życie, tam się człowiek rodzi, spędza w nim większość życia, ma się w nim wiele frajdy, a jeśli ktoś ma szczęście, to umiera w nim. Co pan powie na butelkę piwa?

Telegraf odżył na nowo. Bruce szybko się odwrócił.

„Curry- Franklin”- wystukał.

Równocześnie stanął mu przed oczami żyłasty, niewielki człowiek o zaczerwienionej twarzy. Eks-major z trzeciej brygady Legii. Aktywny działacz OAS, za którego głowę wyznaczono pokaźną nagrodę w związku z próbą zabójstwa de Gaulle'a.

„Franklin- Curry- wystukał Bruce.- Pociąg nie działa. Transport zmotoryzowany w buszu bez paliwa. Na drodze do Port Reprieve. Położenie na mapie...- odczytał dane z kartki papieru, na którą je naniósł. Nastąpiła długa cisza, potem telegraf zastukał:

„Czy własność UMC zabezpieczona?”- padło delikatnie sformułowane pytanie.

„Potwierdzam”- zapewnił go Bruce.

„Czekaj na zrzut z powietrza na twoich współrzędnych jak najprędzej. Koniec”.

„Zrozumiano. Koniec”.- Bruce wyprostował się i odetchnął z ulgą.

- Udało się, Ruffy! Zrzucą benzynę z Dakoty. Prawdopodobnie jutro rano- spojrzął na zegarek.- Za dwadzieścia pierwsza, wracamy.

Bruce prowadził Forda jedną ręką i pogwizdywał cicho, obserwując koleiny przed sobą. Był zadowolony. Wreszcie się skończyło. Jutro dostanę paliwo na żółtych spadochronach- mu-



si wieczorem ustawić sygnalizację. A dziesięć godzin później wrócą do Elisabetlwille!

Krótką rozmową z Carlem Engelbrechtem załatwi dwa miejsca- dla niego i Shermaine- na pokładzie Dakoty dalekiego zasięgu. Potem Szwajcaria i domek w górach z soplami zwisającymi z okapu... Długi odpoczynek, podczas którego zdecyduje, gdzie podejmie pracę. W Luizjanie obowiązywało prawo rzymskokatolickie czy też kodeks napoleoński? Mógłby nawet nostryfikować swój dyplom- nawet ta perspektywa cieszyła go raczej niż wprawiała w konsternację. Życie znów zaczynało być ciekawe.

- Nigdy nie widziałem, żeby pan był taki szczęśliwy- mruknął Ruffy.

- Nigdy nie miałem tylu powodów- odparł Bruce.

- To wspinała kobieta. Jest jeszcze młoda, można ją wychować.

Bruce poczuł wzbierający gniew, potem jednak rozważył słowa Ruffy'ego jeszcze raz i roześmiał się.

- Zamierza pan się z nią ożenić, szefie?

- Może.

Ruffy filozoficznie kiwnął głową.

- Mężczyzna powinien mieć wiele żon; ja mam trzy. Potrzebne mi jeszcze ze dwie.

- Mnie wystarczy jedna.

- Z jedną jest trudno. Z dwiema dużo łatwiej. Jak się ma trzy, nie trzeba nic robić. A jak są cztery, to są tak zajęte sobą, że nie sprawiają żadnych kłopotów.

- Może kiedyś posłucham twojej rady.

- Taaa, niech pan to zrobi. Jesteśmy w domu- Powiedział Ruffy. Przez drzewa widać już było obóz. Po chwili poruszył się niespokojnie na siedzeniu i dodał:- Coś się tam dzieje.

Mężczyźni stali w małych grupach. W ich postawie wyczuwało się strach i napięcie. Dwóch żandarmów podbiegło do Forda. Bruce widział, jak poruszają ustami, ale nie słyszał słów. Ogarnął go chłód, ciężki i przerażający.

Wykrzykując niezrozumiale jakieś wyrazy, sierżant Jacque próbował Bruce'owi coś powiedzieć, biegnąc obok Forda. Curry wyłowił jedynie parę słów francuskich z narzecza, którym mówił sierżant.

- ...rucznik Hendry... rzeka... pani... uciekł.

- Pańska dziewczyna- tłumaczył Ruffy.- Hendry dobrał się do niej.

- Nie żyje?- wyszeptał z trudem Bruce.

- Nie. Skrzywdził ją. On... no, wie pan!

- Gdzie ona jest?

- Na platformie ciężarówki.

Bruce wysiadł z Forda na ołowianych nogach. Wszyscy umilkli i stali zbici w gromadę, z kamiennymi twarzami, wyczekując. Bruce powoli podszedł do ciężarówki. Czuł zimno i odrętwienie. Poruszał się jak automat. Odsunął plandekę i wszedł do środka. Z trudem rozejrzał się w półmroku. Mała, nieruchoma postać leżała owinięta w koc.

- Shermaine- słowa więzły mu w gardle.- Shermaine- powtórzył i ukląkł obok niej.

Duża, sina opuchlizna zniekształciła jej twarz. Nie odwróciła głowy w jego kierunku. Leżała, wciąż wpatrując się w płócienny dach. Dotknął twarzy dziewczyny- skóra była lodowato zimna. Cofnął szybko rękę.

- Shermaine...

Tym razem dobiegł go cichy szloch. Oczy, jej wielkie nie widzące oczy zwróciły się ku niemu. Poczł ogromną ulgę- uleciał strach przed śmiercią.

- Mój Boże!- krzyknął i wziął ją w ramiona, trzymając bezwładne, kruche ciało przy piersi. Wyczuwał pod dłonią spowolniony rytm serca. Rozsunął koc- nie zauważył krwi.- Kochanie, czy jesteś ranna? Powiedz mi, czy jesteś ranna?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Spoczywała spokojnie w jego ramionach, jakby nie widząc go.

- To szok- wyszeptał.- To tylko szok.

Rozpiął jej ubranie. Czuł spojrzał na gładkie, blade ciało. Skóra była wilgotna i zimna, ale nie uszkodzona. Owinął ją z powrotem w koc i ostrożnie położył. Wstał, czując, jak coś się w nim zmienia. Wciąż doznawał chłodu, ale tym razem było to zimno palące jak suchy lód.

Ruffy i Jacque czekali na niego przy ciężarówce.

- Gdzie on jest?- zapytał Bruce cicho.

- Uciekł.

- Gdzie?

- W tę stronę.- Jacque wskazał na południowy wschód.

- Tropiłem go przez jakiś czas.

Bruce podszedł do Forda i podniósł karabin z podłogi. Otworzył schowek i wyciągnął dwa zapasowe magazynki. Ruffy zbliżył się do niego i powiedział:

- Zabrał diamenty, szefie.

- Tak- odparł Bruce i zarepetował broń.

Diamenty były nieistotne.

- Zamierza go pan ścigać, szefie?

Bruce nie odpowiedział. Zamiast tego spojrział na niebo. Słońce chyliło się już powoli ku zachodowi otoczone grubą warstwą chmur.

- Ruffy, zostań z nią- powiedział cicho.- Musi mieć ciepło. Ruffy kiwnął głową.

- Kto jest najlepszym tropicielem?

- Jacque. Przed wojną pracował jako tropiciel na safari. Bruce spojrział na Jacque'a. Wciąż czuł lodowaty chłód.

- Kiedy to się stało?

- Jakąś godzinę po tym, jak pan wyjechał- odparł Jacque Osiem godzin przewagi. Bardzo dużo.

- Zaczynj szukać śladów- powiedział Bruce cicho.

## Rozdział 31

Ziemia była rozmiękła po nocnym deszczu i ślady odcisnęły się wyraźnie. Podążali szybko za tropem.

Przypatrując się Jacque'owi Bruce czuł, jak jego zdenerwowanie znika; ślady stóp były widoczne jak na dłoni, co znacznie ułatwiało zadanie sierżanta, a jego szybki sposób poruszania się uspokajał Bruce'a. Jacque szedł pochylony, całkowicie pochłonięty obserwowaniem śladów, tylko od czasu do czasu patrząc przed siebie, by podjąć trop, to znów przyklękając, by sprawdzić strukturę gleby. Bruce nabierał coraz większej pewności, że ten człowiek zna się na swojej robocie.

Ślad Hendry'ego prowadził na południowy wschód przez niezbyt gęsty las porośnięty kępami trawy, prosto ku granicy rodezyjskiej. Po pierwszych dwóch godzinach Bruce wiedział, że Wally nie zyskał dużej przewagi. Wciąż wyprzedzał ich o osiem godzin, co przy jego tempie oznaczało jakieś trzydzieści mil.

Bruce spojrzął za siebie, na słońce wciśnięte pomiędzy dwie olbrzymie masy chmur burzowych. Te dwa kłębowiska chmur mogły udaremnić pościg.

Czas. Do zachodu słońca zostały jakieś dwie godziny. Z nadejściem nocy będą musieli się zatrzymać.

Deszcz. Chmury były nabrzmiałe, ołowiane. Bruce zauważył błyskawicę. Zaczaj liczyć i kiedy doszedł do dziesięciu, usłyszał grzmot. Jeśli deszcz spadnie przed świtem, stracą ślad.

- Musimy się pośpieszyć- powiedział.

Sierżant Jacque wyprostował się i spojrzął na niego, jakby go nie znał. Zupełnie zapomniał o jego istnieniu.

- Ziemia twardnieje- rzekł, wskazując na ślady. Bruce zauważył, że w ciągu ostatnich trzydziestu minut grunt stał się bardziej zbity i piaszczysty. Podeszwy Hendry'ego nie odciskały się już tak mocno.- Jeżeli będziemy posuwali się szybko, możemy zgubić taki słaby ślad.

Bruce spojrzął jeszcze raz na groźnie gromadzące się chmury.

- Musimy zaryzykować- zdecydował.

- Jak pan chce- mruknął Jacque. Przełożył karabin na drugie ramię, poprawił pas i zacisnął pasek od hełmu.- Allez!

Biegli truchtem przez las na południowy wschód. Kiedy pokonali milę, ciało Bruce'a

poddało się automatycznie rytmowi biegu, pozwalając jego myślom skoncentrować się na innych rzeczach.

Myślał o Wallym Hendrym. Znow zobaczył małe oczka otoczone opuchniętą, pomarszczoną skórą. Ujrzał wąskie, bezwzględne usta oraz wstrętny zarost na brodzie. Niemal czuł jego zapach. Prychnął z obrzydzeniem, przypominając sobie odór, jaki od niego bił. „Brudny- pomyślał- brudny na ciele i umyśle”. Jego nienawiść do Wally’ego była uczuciem złożonym. Czuł, jak ciąży mu na sercu, chwytając za gardło i dając siłę nogom.

A jednak nie była to tylko nienawiść. Nagle Bruce obnażył zęby jak wilk. To swędzenie, które czuł w palcach było tylko w części nienawiścią; oznaczało ono również podniecenie.

„Jakże skomplikowany jest człowiek- pomyślał.- Nigdy nie przepełnia go jedno tylko uczucie; zawsze jest ono połączone z innymi. Teraz ścigam kogoś, kogo nienawidzę i kim się brzydzę i sprawia mi to przyjemność. Odczuwam zupełnie nie związany z nienawiścią dreszczyk polowania na najinteligentniejszą i najniebezpieczniejszą zwierzynę, na człowieka. Zawsze lubiłem pościg. Odziedziczyłem to po przodkach, którzy polowali i walczyli o wielką stawkę. O Afrykę. Polowanie na tego człowieka dostarczy mi wiele przyjemności. Jeśli ktokolwiek zasłużył na śmierć, jest nim z pewnością Wally Hendry. Ja jestem jego oskarżycielem, sędzią i katem”.

Sierżant Jacques zatrzymał się tak nagle, że Bruce wpadł na niego, omal go nie przewracając.

- Co się stało?- wydyszał, wracając do rzeczywistości.

- Proszę spojrzeć!

Grunt przed nimi był rozryty.

- Zebra- jęknął Bruce, rozpoznając okrągłe, pojedyncze ślady kopyt.- Do diabła! Co za parszywy pech!

- Duże stado- zgodził się Jacques.- Rozbiegło się, szukając jedzenia.

Jak daleko mogli sięgnąć wzrokiem, ślady Hendry’ego były rozdeptane.

- Musimy posuwać się naprzód- powiedział Bruce zniecierpliwionym głosem.

Podszedł do najbliższego drzewa, wbił w nie bagnet, oznaczając koniec tropu i przeklinając cicho, wyładował swe rozczarowanie na drzewie.

- Została tylko godzina do zachodu słońca- szepnął.- Proszę cię, Boże, pomóż nam odnaleźć trop zanim zrobi się ciemno!

Sierżant Jacques ruszył już naprzód, poruszając się drogą, którą mógł posuwać się Hendry,

daremnie usiłując odnaleźć odcisk ludzkiej stopy w ziemi wzruszonej tysiącami kopyt. Bruce pośpiesznie dołączył do niego, biegnąc obok. Powoli posuwali się zygzakiem do przodu, podbiegając do siebie i rozdzielając się na odległość stu metrów.

W końcu go znaleźli! Bruce opadł na kolana, aby się upewnić. Tylko zarys przedniej części podeszwy wystający spod śladu zostawionego przez starego ogiera zebry. Bruce gwizdnął przeciągle przez wyschnięte usta i Jacque nadbiegł szybko. Rzucił tylko okiem i powiedział:

- Trop biegnie teraz trochę bardziej w prawo.

Przechylił głowę, lokalizując drzewo, które znajdowało się w równej linii od śladu. Ruszyli naprzód.

- Jest stado- powiedział Bruce, wskazując na szare cielsko prześwitujące poprzez drzewa.-  
Zwęszyły nas.

Zebra parsknęła. Ziemia zadrżała pod kopytami zwierząt. Bruce zauważył parę sztuk na brzegu stada. Były zbyt daleko, aby można było zobaczyć paski. Galopując, wyglądały jak grube, szare kucyki z uniesionymi uszami i podskakującymi rytmicznie grzywami. Po chwili zebry uciekły i zapanowała cisza.

- Przynajmniej nie biegły wzdłuż śladu- mruknął i dodał cierpko:- Niech je szlag trafi, te głupie osły. Kosztowały nas godzinę. Całą ceną godzinę!

Szukając z determinacją, śpiesząc się jak szaleńcy, posuwali się naprzód, to znów wracali. Słońce schowało się za drzewa, a powietrze ochłodziło się już w krótkim, afrykańskim zmierzchu. Jeszcze piętnaście minut i zapadnie ciemność.

Nagle las skończył się i wyszli na brzeg olbrzymiej polany. Rozciągała się na dwie mile, porośnięta wysoką trawą i ograniczona linią lasu. Gdzieś tam pojawiały się skupiska palm z pióropuszcami liści. Stada perliczek buszowały z hałasem na skraju, a pod lasem widać było bawoły pasące się pod baldachimem gałęzi. Nad lasem zamykającym polanę górował granitowy pagórek, wznosząc się na wysokość około stu metrów. Wielkie, kwadratowe odłamy skalne o stromych bokach nadawały mu wygląd zrujnowanego zamczyska. Zachodzące słońce oświetlało usypisko, zabarwiając je na pomarańczowo.

Ale Bruce nie miał czasu na podziwianie widoku; skupił się na ziemi, szukając odcisków butów Hendry'ego.

Idący po jego lewej stronie sierżant Jacque zagwizdał ostro i Bruce poczuł dreszcz emocji. Podeszedł szybko do pochylonego żandarma.

- Zboczył nieco.- Jacque wskazał na ślady biegnące skrajem polany niczym koraliki nanizane na nitkę, każde wgłębienie zacienione i wyraźne w piaszczystej, szarej glebie.

- Za późno- jęknął Bruce.- Niech szlag trafi te cholerne zebry!- Zmrok zapadał tak szybko, iż wydawało się, że jest to trik teatralny.- Idź dalej- powiedział ostro z bezsilną wściekłością.- Idź za śladem tak długo, jak tylko zdołasz.

Zaledwie ćwierć mili dalej Jacque wyprostował się. W ciemności widać było tylko błysk jego białych zębów kiedy powiedział:

- Zgubimy ślad, jeśli pójdziemy dalej.

- Rozumiem- odparł Bruce i z rezygnacją zdjął karabin.

Wiedział, że Wally Hendry wyprzedza ich przynajmniej o czterdzieści mil, a przewaga jego może się nawet zwiększyć, jeśli będzie szedł nocą. Ślady były stare. Gdyby to było zwykłe polowanie, już dawno zaprzestałby pościgu. Spojrzał na niebo. Na północy świeciły jasnożółte gwiazdy. Na południu niebo było zasłonięte czarnymi chmurami.

- Nie pozwól, aby padało- szepnął błagalnie.- Proszę cię Boże, nie pozwól, aby spadł deszcz!

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Bruce spał może ze dwie godziny, potem nienawiść rozbudziła go. Leżał na plecach i wpatrywał się w niebo. Było czarne od chmur, które tylko od czasu do czasu rozsuwały się, ukazując gwiazdy.

- Nie może padać. Nie może padać- powtarzał jak w modlitwie, patrząc na ciemne niebo i skupiając się na tym pragnieniu tak mocno, jak gdyby siłą woli chciał podporządkować sobie żywioły.

W lesie polowały lwy. Słyszał, jak samiec zaryczał, zbliżając się od południa, a jego ryk spotkał się z odpowiedzią dwóch lwic. Krótco przed świtem udało im się coś upolować i Bruce, leżąc na twardej ziemi, wsłuchiwał się w odgłosy triumfu i radości. Kiedy lwy rozpoczęły ucztę, zapadła cisza.

„Oby mnie również udało się polowanie- pomyślał.- Nie zanoszę mych prośb do Ciebie często, Panie, ale błagam Cię, okaż mi łaskę ten jedyny raz. Nie proszę Cię o to tylko dla siebie, ale również dla Shermaine i innych”. Znow stanął mu przed oczyma obraz dwójki dzieci leżących na drodze. Na policzku chłopca krew mieszała się z czekoladą. „Zasługuje na śmierć- modlił się Bruce.- Więc proszę, nie pozwól, aby padało”.

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Wreszcie nadszedł świt. Było szaro i nieprzyjemnie,

chmury wisały nisko.

- Możemy ruszyć?- zapytał Bruce po raz chyba dwudziesty; tym razem Jacque spojrzał na niego znad śladu, przy którym klęczał, i powiedział:

- Spróbujemy.

Posuwali się wolno. Jacque prowadził, pochylony nisko, uważnie przyglądając się ziemi. Bruce szedł tuż za nim, ogarnięty niecierpliwością i niepokojem, spoglądając co kilkanaście kroków na szary baldachim chmur. Zrobiło się jaśniej i pole widzenia poszerzyło się, tak że mogli rozróżnić poszarpane pióropusze palm na tle szarych chmur.

Jacque przeszedł z marszu w trucht: przed nimi kończyła się polana i zaczynał się las. Dwieście metrów dalej wznosiło się masywne usypisko pagórka. W porannym świetle był on jeszcze bardziej podobny do zamku z wieżami i blankami. W jego zarysie było coś złowieszczonego, co nappełniło Bruce'a niepokojem- odwrócił wzrok.

Pierwsza zimna kropla deszczu rozprysła się na jego policzku.

- Nie!- zaprotestował i zatrzymał się.

Jacque podniósł się znad śladów i spojrzał na niebo.

- Koniec. Za pięć minut trop zostanie rozmyty. Nie zostanie nic.

Kolejna kropla kapnęła Bruce'owi na twarz. Mężczyzna zamrugał, powstrzymując łzy wściekłości i niemocy, które zalśniły mu w oczach. Deszcz zaczął padać szybciej i obficiej, stukając w hełmy i obmywając im ramiona i twarze.

- Szybko!- krzyknął Bruce.- Idź za tropem tak długo, jak to będzie możliwe.

Jacque otwierał już usta do odpowiedzi, ale zanim zdołał wydusić z siebie choć słowo, coś pchnęło go do tyłu, jak gdyby otrzymał niewidoczny cios. Hełm spadł mu z głowy, a karabin z trzaskiem uderzył o ziemię. Równocześnie Bruce poczuł pęd powietrza i charakterystyczny świst kuli. Stał przez chwilę oszołomiony, wpatrując się w martwe ciało sierżanta Jacque'a.

Żandarm leżał z rozrzuconymi szeroko ramionami. Nie miał połowy twarzy. Ranę zalewały potoki krwi. Jego ciało drgało konwulsyjnie, a ręce uderzały o ziemię jak skrzydła ptaka schwytanego w sidła. Bruce usłyszał tłumiony przez deszcz huk strzału.

„Pagórek!- krzyczał jakiś głos w jego mózgu.- On leży na pagórku!!!”

Ruszył biegiem naprzód, klucząc zygzakami.



## Rozdział 32

Wally Hendry leżał na brzuchu na płaskim szczycie bloku skalnego. Ciało miał zeszywniałe i przemarznięte od nocnego chłodu, a skała była bardzo chropowata, jednak te odczucia nie docierały do jego mózgu. Z luźnych kawałków granitu zbudował niski wał, który zamaskował gęstymi krzewami. Przed nim podparty na murku leżał karabin, a pod ręką znajdowały się magazynki z amunicją. Urządził tę zasadzkę już dość dawno- wczesnym popołudniem poprzedniego dnia. Teraz świtało i robiło się coraz jaśniej- za parę minut będzie miał całą polanę jak na dłoni.

„Mogłem być już teraz za rzeką- pomyślał.- Mogłem być pięćdziesiąt mil stąd”. Nie próbował analizować impulsu, który skłonił go do leżenia bez ruchu na nagiej skale przez prawie dwadzieścia godzin. „Człowieku, wiedziałem, że Curry musi przyjść. Wiedziałem, że weźmie ze sobą tylko jednego czarnego tropiciela. Te wykształcone palanty mają swoje zasady- uczciwa walka, jeden na jednego czy coś w tym stylu”. Roześmiał się, kiedy przypomniał sobie dwie niewielkie postacie wychodzące z lasu w rozproszonym świetle poprzedniego wieczoru. „Drań spędził noc na polanie. Widziałem, jak zapala papierosa w nocy, cóż spodziewam się, że mu smakował- to był jego ostatni”. Wally spojrzał niespokojnie w dół- robiło się coraz jaśniej. „Ruszą teraz, idąc polaną. Muszę ich sprzątnąć, zanim wejdą znów między drzewa”. Polana leżąca pod nim wyglądała jak blada plama na ciemnym lesie. „Gnojek!- Hendry'ego znów ogarnęła nienawiść.- Tym razem nie zdąży wygłosić żadnego gładkiego przemówienia. Tym razem spuści trochę z tonu!”

Rozwidniło się jeszcze bardziej. Wally widział kępy palm odbijające się od bladobrazowej trawy wyścielającej polanę.

- Są!- krzyknął.

Wyglądali jak mrówki, jak ciemne kropki poruszające się pośrodku polany. Hendry wsunął język i chwycił karabin. „Człowieku, jak ja na to czekałem! Przez pół roku o tym myślałem. A kiedy z tym skończę, zejdem na dół i obetnę ci uszy”. Odbezpieczył broń- rozległ się metaliczny trzask. „Czarnuch z przodu, a Curry za nim. Muszę poczekać, aż się odwróca, nie chcę, żeby czarnuch dostał pierwszy. Najpierw Curry, a potem on”.

Wycelował, oddychając szybciej, podniecony tak, że musiał przełknąć ślinę, która stanęła mu w gardle. Kropla deszczu spadła mu na kark. Przestraszyła go. Spojrzał szybko w górę i

zobaczył ciemne chmury.

- Cholera!- jęknął i powrócił wzrokiem na polanę. Curry i Murzyn stali razem- czarna plama ledwo widoczna w słabym świetle. Nie można było ich odróżnić. Deszcz zaczął przybierać na sile i nagle Hendry'ego opanowało znajome poczucie niższości- wszystko, nawet natura, sprzysięgło się przeciwko niemu. Nigdy nie zwycięży, nawet ten jedyny raz!

Oni, Bóg i reszta świata. Ci, co dali mu pijaka za ojca. Nędzną chatę za dom i matkę z rakiem krtani. Ci, którzy posłali go do poprawczaka, wylali go z dwudziestu miejsc, popychali go, śmiali się z niego, wtrącili go dwa razy do więzienia. Oni wszyscy, z Bruce'em Curry jako marionetką w rękach, oni znów zwyciężą! Nawet tym razem, zawsze.

- Niech to wszystko szlag trafi!- zaklął beznadziejnie, wściekły na wszystkich.- Niech to wszystko piekło pochłonie!- dodał i strzelił do widocznej na muszce ciemnej plamki.

## Rozdział 33

Biegąc Bruce spojrzął na otwartą przestrzeń, która dzieliła go od lasu. Słyszał świst następnej kuli. „Jeżeli użyje ciągłego ognia, załatwi mnie nawet z odległości trzystu metrów”- przebiegło mu przez myśl. Bruce biegł zygzakiem jak uciekający królik. Krew szumiała mu w uszach; strach dodawał mu sił. Zjadliwe trzaski wybuchających kul wypełniły jego umysł. „Nie uda mi się”. Do linii drzew brakowało jeszcze siedemdziesięciu metrów. Siedemdziesiąt metrów otwartego terenu. „Następna seria mnie trafi”. Skręcił tak gwałtownie, że o mało nie upadł. „Nie dam rady! Dostanie mnie!”

Na jego drodze znajdowało się mrowisko, niski kopiec z gliny. Bruce zanurkował za nie, uderzając w ziemię tak mocno, że stracił na chwilę oddech.

Następna seria rozwalila zbitą glinę na kawałki, które posypały się na plecy Bruce'a. Leżał, przyciskając twarz do ziemi, rozpaczliwie usiłując złapać powietrze, rozplaszczając się za niewielkim kopcem. „Osłoni mnie? Czy jest wystarczająco duży?”

Następny grad kul trafił znów w mrowisko, wzbijając fontanny ziemi. Bruce leżał nadal cały i zdrowy. „Jestem bezpieczny”. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, strach zniknął. „Ale jestem bezradny- odpowiedziała jego nienawiść.- Przyszpilony do ziemi tak długo jak to się Hendry'emu spodoba”.

Deszcz padał mu na plecy, przenikając przez kurtkę, spływając po szyi i policzkach. Bruce obrócił głowę na bok, starając się jej nie unosić i deszcz zaczął mu opłukiwać twarz. Deszcz! Padał coraz mocniej, coraz bardziej ulewny. Zasłona z wody pokrywająca szarością skraj lasu, rozmywająca wszystkie kształty.

Wciąż dysząc, ale nie odczuwając już takiego bólu, Bruce podniósł głowę. Pagórek był rozmytym niebieskozielonym stożkiem, który po chwili znikł zupełnie za zasłoną deszczu. Bruce podniósł się na kolana; nagły ból w piersi oszołomił go. „Teraz!- pomyślał.- Teraz, zanim deszcz się przerzedzi”. Z trudem, niezgrabnie, stanął na nogach. Przez chwilę nie ruszał się, przyciskając ręce do piersi, łapiąc oddech w wilgotnym powietrzu. Potem ruszył chwiejnym krokiem w kierunku lasu.

Kiedy tam dotarł, jego nogi przestały być jak z waty, a oddech uspokoił się. Drzewa zamknęły się wokół niego, dając mu schronienie. Oparł się o jedno z nich, czując chropowatość kory i starł wodę z twarzy. Siły mu znów wracały, a wraz z nimi wracała nienawiść i

podniecenie. Zdjął karabin z ramienia i stanął na szeroko rozstawionych nogach.

- A teraz, przyjacielu- szepnął.- Będziemy walczyć na równych warunkach.

Wprowadził nabój do komory swojej FN-ki i ruszył w kierunku pagórka, stąpając ostrożnie, czując ciężar karabinu w rękach. Jego umysł rozjaśnił się raptownie, wzrok wyostrzył się, a w ciało wstąpiła nowa siła, wypierając strach i narzucając dyscyplinę. Przez ociekające wodą drzewa zobaczył zarys wzniesienia i skierował się łukiem w prawo. „Mamy dużo czasu- pomyślał.

- Mogę sobie pozwolić na małe rozpoznanie”- dodał w duchu, okrążając pagórek. Odkrył, że miał on kształt tonącego galeonu. Przy jednym końcu, niczym na rufie, wznosił się podwójny, wysoki pokład, od którego biegł stromo w dół główny pokład, jak gdyby dziób był już pod wodą. Ten stok był porośnięty drzewami, które tworzyły poplątaną masę gałęzi i liści sięgającą ramion.

Bruce kucnął i spojrzał na pochyłość i bliźniacze kamienne wieżyczki. Deszcz przeszedł teraz w mżawkę.

Hendry był na szczycie. Bruce wiedział, że uda się on na najwyższy punkt. Dziwne, jak wysokość powoduje, iż człowiek czuje się wszechmocny, niczym jakiś bóg. A ponieważ do nich strzelał, musi być na tej wieżyczce, która stoi bliżej polany, nieco wyższa od tej drugiej, ukoronowana karłowatymi krzakami.

„Teraz wiem- dokładnie, gdzie on jest. Poczekam pół godziny. Może się zniescierpliwi i wychyli się. Jeśli to zrobi, strzelę do niego z tego miejsca”. Zmrużył oczy, oceniając odległość. Jakies dwieście metrów. Ustawił odpowiednio szczyrbinkę FN-ki i sprawdził magazynek. Ręką dotknął kieszeni panterki, aby upewnić się, że dwa zapasowe są na miejscu. Potem usiadł wygodnie i czekał.

- Curry, ty sukinsynu, gdzie jesteś?- rozległ się z góry głos Hendry'ego.

Bruce zeszywniał. „Miałem rację- jest na szczycie lewej wieżyczki”.

- No chodź, koziółku. Czekam na ciebie od wczoraj! Bruce podniósł karabin i wymierzył na próbę, celując do ciemnej plamy na skale. Trudno będzie oddać celny strzał w deszczu: karabin się ślizga, a krople wody ściekają na oczy i zniekształcają obraz.

- Curry, co słysząc u twojej francuskiej dupci? Człowieku, jak ona to potrafi, co?

Dłonie Bruce'a zacisnęły się na karabinie.

- Opowiedziała ci, jak jej było ze mną? Mówiła ci, jak bardzo jej się podobało? Powinieneś być słyszeć, jak dyszała, niczym lokomotywa. Mówię ci, Curry, po prostu nie miała

dość!

Bruce czuł, że zaczyna się trząść. Zaciśnął szczęki tak mocno, że aż bolały go zęby. „Spokojnie, Bruce, o to mu właśnie chodzi”. Krople opadały monotonnie z drzew, przerywając ciszę. Powiew wiatru poruszył gałęziami drzewek rosnących na stoku. Wyteżając wzrok, Bruce czekał na jakiś ruch na lewej wieżycze.

- Stchórzyłeś czy co, Curry? Masz pietra wejść na górę? Przyznaj się, masz stracha, co?

Bruce zmienił pozycję, gotowy do błyskawicznego strzału.

- Okay, koziołku, mogę poczekać, mam cały dzień. Posiedzę sobie tutaj i pomyślę o tym, jak pieprzyłem twoją Francuzeczkę. Mówię ci, jest o czym pomyśleć! W górę, w dół, w górę, w dół! Człowieku, to było coś!

Bruce wstał ostrożnie, stając za drzewem i jeszcze raz zanalizował kształt pagórka. „Jeśli pójdę stokiem, trzymając się tej strony, aż dojdę do prawej wieżyczki, trafię na półkę skalną, która prowadzi na szczyt. Stamtąd już tylko osiem lub dziesięć metrów, a z tej odległości załatwię go w ciągu paru sekund”. Wziął głęboki oddech i wyszedł zza drzewa.

Wally Hendry zauważył ruch w lesie: szybki błysk czegoś brązowego, zbyt szybki, aby zdążył wymierzyć. Wytarł deszcz z twarzy i przesunął stopę bliżej krawędzi.

- Dalej, Curry. Skończmy z tą ciuciubabką!- krzyknął, przykładając karabin do ramienia. Oblizywał nerwowo usta. Zauważył niewielkie poruszenie gałęzi na stoku, mimo że nie było wiatru. Uśmiechnął się i przycisnął biodra do skały. „Idzie- pomyślał, rozkoszując się tym.- Pełźnie w górę pod tymi drzewkami”.- Wiem, że siedzisz tam na dole, Curry. Okay, ja również mogę poczekać.

Liście kolejnego drzewka znajdującego się w połowie stoku zakołysały się łagodnie, rozchylając się i zamykając.

- Tak.- szepnął Wally.- Tak.- Odbezpieczył karabin, znowu przesuwając językiem po wargach. „Mam go, na pewno! Będzie musiał przejść przez ten odcinek otwartego terenu. Parę metrów, ale to wystarczy”. Znów się poruszył, przesuwając się o kilka centymetrów w bok i umieszczając ramię pomiędzy dwoma dużymi kamieniami. Ustawił karabin na ogień ciągły i ostrożnie położył palec na spuście.- Zaczyna mnie to nudzić, Curry. Jeśli nie chcesz przyjść do mnie na górę, może mi pośpiewasz albo opowiesz parę kawałów, co?

Bruce przykucnął za dużym, szarym kamieniem. Przed nim był trzymetrowej długości odcinek otwartego terenu zamknięty kolejnym dużym głazem dającym osłonę. Był już niemal w

najwyższym punkcie zbocza i jak dotąd Hendry go nie zauważył. Poza trzymetrowym skrawkiem droga do podnóża prawej wieżyczki była osłonięta.

Przejście zabierze mu dwie sekundy, a przy tym istniały duże szanse, że Hendry będzie akurat obserwował las u podstawy zbocza.

Czuł się jak sprinter w blokach startowych.

- Start- szepnął i dał nura w otwartą przestrzeń i grad kul. Jedna trafiła w karabin, wytrącając mu broń z ręki z taką siłą, że sparaliżowało mu ramię, inna otarła się o jego pierś; znalazł się za głazem. Leżąc dyszał ciężko i słuchał wrzeszczącego triumfalnie Wally'ego.

- Nabrałem cię, głupi gnojku! Obserwowałem cię przez cały czas.

Bruce uniósł lewą rękę i położył na brzuchu. Wracało czucie, a wraz z nim pojawił się ból. Koniec kciuka zaklinował się przy spuście i został oderwany. Z kikuta wypływała gęsta krew, ciemna jak wiśniowa galaretka. Prawą ręką sięgnął po chusteczkę.

- Curry! Twój karabin leży za tobą. Możesz go potrzebować za parę minut. Czemu nie wyjdiesz i nie podniesiesz go?

Bruce obwiązał chusteczką skaleczony palec, aby zatamować krwawienie. Potem spojrzał na karabin- leżał trzy metry od niego na otwartym terenie. Szczerbinka była zniszczona. Ta sama kula, która roztrzaskała mu kciuk, uszkodziła zamek i magazynek. Wiedział, że z broni nie będzie już żadnego pożytku.

- Myślę, że poćwiczę sobie trochę strzelanie do celu- krzyknął z góry Hendry i znów rozległ się huk wystrzałów.

Karabin Bruce'a zniknął w chmurach pyłu i podskakujących odłamków skalnych. Kiedy wszystko opadło, Curry zobaczył, że kolba była w drzazgach, a mechanizm zamka zmienił się w kupę złomu.

„A więc karabin mam z głowy- pomyślał.- Shermaine ma mój pistolet, a ja mam tylko jedną rękę sprawną. Ciekawie się zapowiada”. Rozpiął kurtkę i zbadał pręgę na piersi w miejscu, gdzie musnęła go kula. Ślad wyglądał jak po uderzeniu bata- był czerwony i silnie piekł. Ale na szczęście nie było to nic poważnego. Zapiął panterkę.

- Okay, chłoptasiu, koniec zabawy. Schodzę po ciebie- krzyknął Hendry chropowatym, pewnym siebie głosem.

Bruce skoncentrował się maksymalnie. Rozejrzał się szybko dookoła. Co zrobić? Trzeba wspiąć się jak najwyżej, tak żeby mieć go pod sobą. Wejść na prawą wieżyczkę i poczekać na

szczycie.

Śpieszył się- strach dodawał mu sił. Pobiegł z pochyloną głową w górę stoku, kryjąc się za skałami i karłowatymi drzewkami. Dotarł do ściany prawej wieżyczki, obszedł ją i znalazł spiralną półkę skalną, którą widział z dołu. Zaczął się wspinać jak mucha po ścianie, niczym nie osłonięty, plecami zwrócony do granitowej skały. Przesuwając stopy, poruszał się wolno po wąskiej półce; przepaść pod nim z każdym krokiem stawała się większa. Był teraz sto metrów ponad lasem i spoglądając w ciemnozieloną dal, widział pagórki majaczące na horyzoncie. Deszcz przestał padać, ale chmury wciąż tworzyły gęstą zasłonę.

Półka rozszerzyła się, przechodząc w platformę. Bruce przeszedł przez nią i doszedł do ślepego zaułka- półka kończyła się krawędzią, za którą widniała tylko przepaść. Znalazł się w pułapce- szczyt był nieosiągalny. Jeśli Hendry zejdzie w dół aż do lasu i obejdzie pagórek, będzie miał Bruce'a wystawionego na cel- na półce nie było niczego, co mogłoby służyć za osłonę. Hendry będzie mógł poćwiczyć strzelanie do celu.

Bruce oparł się o skałę i próbował zapanować nad oddechem. Usta miał wypełnione gęstą śliną. Był wyczerpany i bezbronny. Kciuk dokuczał mu bezlitośnie. Rana krwawiła mimo opaski zaciskającej i od czasu do czasu spadała na ziemię czerwona jak wino kropla. Bruce przełknął ślinę i spojrzał na drogę, którą się wspinał. Na szarej skale widoczne były czerwone ślady. Zostawił Hendry'emu krwawy trop.

„W porządku, może to jest najlepszy sposób. Przynajmniej jest jeszcze szansa na walkę wręcz. Jeśli skryję się za głazem, może uda mi się strącić go w przepaść”. Zaczął nasłuchiwać, czy nie zbliża się Hendry.

Na wschodzie chmury rozstały się i pokazało się słońce, oświetlając stok pagórka. „Lepiej umrzeć w słońcu- pomyślał Bruce.- Ofiara dla boga Słońca zrzuciona z dachu świątyni”. Cierpliwie czekał, uśmiechając się niewesoło. Minuty wlokły się jak godziny. Pulsowanie w uszach odmierzało czas podobnie jak wdechy i wydechy- ile mu ich jeszcze pozostało? „Powiniennem się modlić- pomyślał- ale po tym, jak modliłem się o to, żeby nie padało, a potem spadł deszcz i ocalił mnie, nie będę taki bezczelny, żeby mówić Staruszkowi w niebie, co ma robić. Może jednak On sam wie to najlepiej... Bądź wola Twoja”- powiedział w duchu.

Dobiegł go szelest materiału ocierającego się o skałę. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał, ale usłyszał tylko pulsowanie w uszach i wiatr wiejący w koronach drzew. „Bądź wola Twoja”- powtórzył i w tym momencie usłyszał Hendry'ego tuż za skałą.

Wyprostował się i czekał. Nagle zobaczył cień pełznący wzdłuż półki- wielki, zniekształcony cień na szarym tle. „Bądź wola Twoja”. Obszedł szybko skałę, trzymając zdrową rękę przygotowaną do ciosu. Zaatakował, starając się włożyć w uderzenie całą swą siłę.

Hendry stał zaledwie o metr od niego tuż przy ścianie, z karabinem przy piersi. Hełm miał wciśnięty głęboko na czoło. Na rudawym zaroście błyszcząły krople potu. Usiłował opuścić broń i wycelować, ale Bruce był zbyt blisko. Curry rzucił się do przodu, uderzając sztywnymi palcami w krtań przeciwnika i czując, jak chrząstka trzeszczy i pęka. Hendry przewrócił się na plecy i Bruce upadł na niego. Karabin ześliznął się po skałę i zniknął za krawędzią, a oni leżeli na sobie, oplatając się nogami w potwornej parodii aktu miłosnego. Nie był to jednak akt prokreacji- był to akt zniszczenia!

Twarz Hendry'ego była opuchnięta i zaczerwieniona. Usta miał szeroko otwarte; z trudem łapał powietrze i chuchał w twarz Bruce'a kwaśnym, cuchnącym oddechem. Bruce wykręcił prawą rękę i oswobodził ją z uścisku Wally'ego. Uniósł ją i opuścił na nos leżącego pod nim mężczyzny. Z nozdrzy trysnęła krew, zalewając otwarte usta. Ciało Hendry'ego wygięło się raptownie, zrzucając Bruce'a, który uderzył o ścianę skalną tak mocno, że przez chwilę leżał oszołomiony. Wally klęknął naprzeciwko niego- jego oczy zaszyły mgłą, a z gardła wciąż dobywało się bulgotanie. Z ust ciekła mu różowa piana. Usiłował wyciągnąć pistolet z płóciennej kabury.

Bruce podciągnął kolana do klatki piersiowej, po czym gwałtownie je wyprostował. Uderzył stopami w brzuch Hendry'ego, zrzucając go z platformy. Spadając, Hendry wydawał z siebie zdławiony krzyk, który nagle się urwał. Słysząc było tylko szum wiatru w lesie u podnóża pagórka.

Przez długi czas wyczerpany Bruce siedział na półce skalnej oparty o granitową ścianę. Ponad nim chmury rozwiewały się i pojawiło się błękitne niebo. Spojrzał na ziemię i las obmyty przez deszcz. „A ja wciąż żyję!” Ta myśl ożywiła umysł Bruce'a. Chciał krzyknąć: „Ja wciąż żyję!” W końcu wstał, podszedł do przepaści, wychylił się i spojrzał na niewielką, poskręcaną postać w dole. Potem odwrócił się i zaczął schodzić, zmęczony i obolały.

Dopiero po dwudziestu minutach znalazł Wally'ego wśród rumowiska bloków skalnych i karłowatych drzewek u podnóża wieżyczki. Leżał na boku z podwiniętymi nogami, jakby spał. Bruce ukląkł i wyciągnął pistolet z jego kabury. Potem odpiął wypchaną kieszonkę i wyciągnął biały woreczek. Wstał, otworzył woreczek i zajrzał do środka. Zadowolony włożył diamenty do



kieszonki na piersi. „Teraz, kiedy nie żyje, jest nawet bardziej odpychający niż za życia”- pomyślał Bruce, bez żalu spoglądając na ciało. Nad ciałem krążył rój much.

    Nie odwracając się, ruszył w drogę. Nie czuł już zmęczenia.

## Rozdział 34

Carl Engelbrecht wszedł przez drzwi oddzielające kabinę pilotów od głównego pomieszczenia Dakoty.

- Szczęśliwi?- zapytał, przekrzykując hałas silników. Uśmiech rozkwitł na jego dużej, opalonej twarzy, kiedy stwierdził:

- Widzę, że tak!

Bruce również uśmiechnął się do niego i mocniej objął Shermaine.

- Odejdź stąd! Nie widzisz, że jesteśmy zajęci?

- Jesteś bezczelny jak na autostopowicza. Mam wielką ochotę skłonić cię, abyś wysiadł i poszedł dalej piechotą- mruknął Carl, siadając obok nich na ławce biegnącej wzdłuż kadłuba samolotu.

- Przyniosłem wam parę kanapek i kawę.

- Wspaniale! Wprost umieram z głodu.

Shermaine wyprostowała się i chwyciła termos i kanapki. Siniak na jej policzku wyglądał teraz jak cień o żółtych brzegach- od tamtej chwili minęło już dziesięć dni. Z ustami pełnymi kanapki z kurczakiem, Bruce kopnął jedną z drewnianych skrzynek, które były przywiązane do podłogi.

- Co tam macie, Carl?

- Nie wiem- odparł Carl i nalał kawy do trzech plastikowych kubków.- W tej grze nie zadaje się pytań. Wylatujesz, inkasujesz pieniądze i przekazujesz towar.- Opróżnił swój kubek i wstał.- Zostawię was na razie samych. Będziemy w Nairobi za kilka godzin, więc lepiej się prześpijcie albo coś w tym stylu!- Mrugnął znacząco.- Będziecie musieli zostać na pokładzie, kiedy będziemy uzupełniać paliwo. Ale po mniej więcej godzinie znów uniesiemy się w powietrze i pojutrze, jeśli Bóg da, a pogoda się utrzyma, wylądujemy w Zurychu.

- Dzięki, staruszk.

- Nie ma za co. I tak musiałem lecieć.- Carl odwrócił się i zniknął w kabinie pilotów.

Ghermaine odwróciła się do Bruce'a, przyglądała mu się przez chwilę i roześmiała się.

- Wyglądasz zupełnie inaczej, wyglądasz... jak prawnik! W zażenowaniu Bruce poprawił węzeł krawata.

- Muszę przyznać, że czuję się trochę nieswojo, nosząc znów garnitur i krawat.- spojrzał

na dobrze skrojony, niebieski garnitur, jedyny, jaki mu został. Potem przeniósł wzrok na dziewczynę.- Ty również wyglądasz nie do poznania w sukience- powiedział.

Shermaine miała na sobie jasnozieloną sukienkę i białe szpilki. Delikatnym makijażem zatuszowała siniaka. „Do cholery, naprawdę świetna z niej dziewczyna”- pomyślał Bruce z przyjemnością.

- Co z twoim kciukiem?- zapytała i Bruce uniósł obandażowaną dłoń.

- Już o nim zapomniałem.

Nagle wyraz twarzy Shermaine zmienił się, podekscytowana pokazała na okrągłe okienko znajdujące się za plecami Bruce'a.

- Zobacz, morze!- krzyknęła.

Woda rozpościerała się daleko pod nimi, jasnozielona na płycznach, otoczona białymi plażami i wzruszana falami, które wyglądały jak zmarszczki na powierzchni stawu.

- To jezioro Tanganika- roześmiał się Bruce.- Zostawiliśmy Kongo za sobą.

- Na zawsze?- zapytała.

- Na zawsze!- zapewnił ją.

Samolot przechylił się nieznacznie, powodując, że zbliżyli się do siebie.

W tym czasie Carl wyszukiwał punkty orientacyjne na ziemi, kierując się na północny wschód. Tysiąc pięćset metrów pod nimi cień samolotu niczym czarny owad przesuwiał się po powierzchni wody.